

ABC

Książka powstała przy współudziale finansowym:

Samorządu
Województwa Mazowieckiego



PROKOM
SOFTWARE SA

Krzysztof Czabański

A B C

**Spowiedź dziecięcia PRL-u
i „Solidarności”**

Redakcja
Krzysztof Czabański

Zdjęcie na IV stronie okładki
Maja Zalewska

**Wydawnictwo serdecznie dziękuje
pani Oldze Johann i panu Jerzemu Wysockiemu
za pomoc przy wydaniu tej książki**

© Copyright by Krzysztof Czabański, 2005 r.

Wydanie II poprawione
Warszawa 2005 r.

ISBN 83-87520-08-X

Skład, druk i oprawa
Agencja Wydawnicza i Reklamowa AKCES

*Eli,
przyjaźni z tamtych dni*

KRZYSZTOF

CZABAŃSKI



ABC

PRZEDŚWIT 1985

Reprint okadki pierwszego wydania.

Nota od Wydawcy

Proza literacka Krzysztofa Czabańskiego, „ABC”, została napisana w 1984 r. Jest to zapis przemian w świadomości Polaków, którzy porzucili PRL na rzecz walki o wolną, demokratyczną Polskę, nierozwalnie związując swój los z ruchem „Solidarność”. Jednak ludzie ci, choć kierowani szczytnymi ideami, nie wyzbyli się przecież swojej grzesznej natury. Ta i dziś aktualna książka, w wielu swoich przewidywaniach prorocza, ukazała się głównie dzięki wysiłkowi Zyty Oryszyn 20 lat temu, w małym, podziemnym nakładzie, w warszawskim wydawnictwie II-obiegowym „Przedświt”. Jest zatem nie tylko uprawnione, ale i bardzo wskazane przypomnienie jej w 25-lecie powstania „Solidarności”.

Na fotografii można mnie łatwo rozpoznać. Stoję trzeci od lewej w trzy miliony pięćset czterdziestym siódmym rzędzie. Mediator stoi w rzędzie milion dwudziestym. W rzędzie pierwszym widać koleżankę Partię, kolegę Pokoja i kolegę Socjalizma. Najpierw zmieniają się fotografie. Dałbyś sobie głowę uciąć, że stałeś obok rudawego blondyna, a tu blondyna już nie widać. Szukasz, szukasz, no, może się przesunął do innego rzędu, ach tak, jest, jest, w rzędzie dwa miliony trzydziestym ósmym. A tego kulawego w ogóle nie ma. Spełzył z odbitki do powielacza, z powielacza do negatywu, z negatywu do obiektywu, z obiektywu do pozowania, a tam kuc, kuc, schował się za plecami, zaplątał między nogami, rakiem, rakiem, chyłkiem, chyłkiem, i już go nie ma! I nigdy nie było.

Fotografie ożywają, gdy chowamy je do albumu, zamykamy w szufladzie. Czaisz się przy biurku, nasłuchujesz, delikatnie, ostrożnie, bezszelestnie wyciągasz szufladę, zbliżasz się dłonią do albumu i łaps, otwierasz nagle gwałtownie. Wiesz, jesteś pewien, że na fotografii jeszcze trwa ruch, że złapałeś ją na gorącym uczynku, ale twoje oczy niczego nie mogą dostrzec. Niecierpliwie szukasz kogoś, kto jedną nogą jest na fotografii, półgębkiem puszcza do ciebie filuternie oko, wszystko po to, żeby ukryć, że drugą nogą i całą duszą jest już poza fotografią, już gramoli się do powielacza. Szukasz, ale nie znajdujesz. Wszyscy stoją statecznie, tak, jak kiedyś, jak zawsze – nieruchomo. Nie ma jakiejś twarzy? Szeregi są zwarte, nigdzie żadnej luki, nic. Szukasz kogoś, o kim wiesz na pewno, że był, stał, uśmiechał się, podnosił groźnym ruchem pięść do góry. I tego znajomego nie ma. A przecież

tam ktoś ci nieznany potrząsa pięścią. Więc może się mylisz, może źle zapamiętałeś?

Któregoś dnia zauważyłem, że z fotografii zniknął Mediator. Nie mogłem się mylić. Był na niej na pewno. Przez wiele miesięcy śledziłem uważnie jego przesuwanie się do przodu. Jeszcze wczoraj, świetnie pamiętam, leżał jak niemowlę na dywaniku w pierwszym rządzie. Nogi zgrabnie ułożył w napis PARTIA, tyłkiem kreślił POKÓJ, brodę zaplótł w SOCJALIZM. A dzisiaj już go nie ma. Pierwszy rząd jest, napisy są, Mediatora nie ma. Poszedłem do niego. Poprosiłem o album, zajrzałem. Każdy z nas ma taki sam album, z tą samą fotografią w środku. Szukam, szukam, jest. Tak jak poprzednio, jak pamiętam było kiedyś: rząd milion dwudziesty. Pomyliłeś się, mówi. No, dobrze, a czy ja jestem na tym zdjęciu? Tknęło mnie coś, szukam, szukam – nic. Przez tydzień z lupą sprawdzałem, rząd po rządzie, nie ma. Wróciłem do domu – jestem na fotografii! Przecież taka sama. Ja jestem, Mediatora nie ma. U niego odwrotnie. Przyjrzałem się fotografii. Gdzie Marek, gdzie Adam, gdzie inni znajomi? Nie ma. W moim albumie są tylko napisy w rządzie pierwszym, ja gdzieś w tłumie, i tłum ludzi, których nie znam, anonimowych twarzy. Nikogo znajomego! Polecałem do Adama, do Marka. To samo. W ich albumach na fotografiach są tylko oni i anonimowy tłum. Więc siebie nie widzisz jak wycofujesz się ze zdjęcia. To tylko u innych, hop i już cię nie ma. W swoim albumie zostajesz. Nie będzie tam już nikogo; koleżeństwo Partia, Pokój, Socjalizm przegniją, zmurszeją, rozsypią się, ale ty będziesz zaplątany w kawałki tektury, zza skarpetki wyglądać ci będzie P., do dłoni przylepi ci się czerwona farba. Będziesz sam.

Schowałem album do szafy, przysypałem mąką. Mąka zaczęła krwawić. Wyrzuciłem album do zsypu. Wieczorem jakiś chuligan podrzucił mi przez okno zdechłego szczura. W pysku trupa tkwił album. O północy zakradłem się na ogródki działkowe. Janek ma ogródek przy torach kolejowych. Położyłem album na szynach, przejechały cztery pociągi, jeden z węglem, drugi Moskwa – Paryż, trzeci przyjaźni, czwarty tajny. Album był ładnie przycięty, akurat w formacie zdjęcia. Zdjęcie świetnie się w nim komponowało, nawet brzegi miało wyrównane. Wykopałem dół w ogródku, na dnie ułożyłem album, serce zdjęcia przebiłem osinowym kołkiem, dół zasypałem ziemią. Na

wierzchu postawiłem pomnik z granitu. Ciężki, ledwo go przytargałem z pobliskich Powązek.

Gdy wróciłem do domu, w moim fotelu siedział Janek, cały roześmiany. Co za fart, powiedział. Zima już, po co miałbym chodzić, ale poszedłem do ogródka, ot, tak. I patrz, co znalazłem w altance, to chyba twój album?

Zdjęcie oprawiłem w ramki i powiesiłem na ścianie.

Tak zostałem archiwistą. Skupowałem albumy fotograficzne, „Polska”, „Poland”, „Pologne”, „Polsza”, „Polsko”. W księgarni były śliczne, kolorowe. Otwierałem w domu, w środku trociny. Lecę do księgarni z awanturą, wymachuję albumem, otwieram, pokazuję, a tu ślicznie, kolorowo. W domu – trociny. Machnąłem ręką. Zacząłem zbierać zdjęcia. Widzę u kogoś album, proszę o herbatkę, tamten parzy, ja cichcem zdjęcia do kieszeni, różne, jak lecą, rodzinne, szkolne, z akademii, pochodu, przesłuchania, zza firanki. Chowałem je w piwnicy. Gdy miałem ich cały wór, poprosiłem Mediatora o pomoc. Wnieśliśmy wór na górę, wysypałem zdjęcia na biurko. Mediator zaraz uciekł, znowu musiał ustalić nowe Kierownictwo, Ojczyzna go potrzebowała. Zresztą miał zamówioną Moskwę, a na linii czekał papież. Uciekł, więc nie dogadałem się ze zdjęciami. Zamknąłem pokój i poszedłem spać.

Przez noc zdjęcia rosły. Rano nie mogłem otworzyć drzwi. Wszedłem przez okno. Ledwo spojrzałem, zdjęć już nie było. Umknęły pod biurko, pod szafę, między książki. Na któreś nadepnałem. Nagle nie ma pokoju. Rozpłynęły się ściany, brodzą w szarości. Poprawiłem ostrość, widzę: jestem w środku olbrzymiego zdjęcia. Rozejrzałem się na boki. Gdzie nie spojrzę same garnitury, każdy powiewa krawatem. Gęby roześmiane, rumiane, zdrowe, czerstwe, pewne siebie, oczy chytre, chytrutkie, zwężone i filujące ukradkiem, czujne.

Jeden garnitur mówi, inne klaszczą. Fruwają te rękawy z prawa na lewo i z lewa na prawo, aż furczy. Nitka płącze się w nitkę, rękaw w rękaw, klask ciągnie się od mównicy do drzwi, od podłogi do sufitu. Co jaki garnitur przedarł się przez klask na mównicę, to krzyczał: mało nam jednego garnituru, uszyjemy sobie drugi. Drugi garnitur, na miarę, drugi garnitur niech żyje!

Zauważyłem jak na salę cichcem, bocznym wejściem, drzwiczkami

pod stołem prezydiálním, wkradł się mały człowieczek w garniturze uszytym z dolarów. Chwilę poszeleścił i już siedział za stołem, pośrodku. Sala ścichła, patrzą na niego sąsiedzi i patrzą, gęba jakaś znajoma, słowiańska, wiecheć spod spodni wystaje, łapciami szura, ale te dolary i nikt nie wie, kto to. Nie minęło pięć sekund, lampy w suficie błysnęły, usłyszeliśmy pstryknięcie przesłony, ciach, człowieczek zniknął. Gwar wielki zapanował. Co to było, co to ma znaczyć?! Ktoś już wiedział, w jakiej gazecie to zdjęcie się ukaże. Zdjęcie dolarów na dostojnej sali, dolarów w oficjalnym gronie. Wiedział, więc krzyknął, że nie chcemy żadnych garniturów, zwłaszcza drugich, zastąpimy igłę nitką, ubogo, ale chędogo, przaisnie, ale kraśnie.

Zaczęło się wielkie rozbieranie. Jednemu marmury sypały się zza pazuchy, innemu chrzęściło złoto w skarpetkach, któryś flamastrem zamalowywał złoty tatuaż. Garniturami rzucali w prezydium. Tam siedział taki zwalisty i niemo poruszał ustami. Inni z prezydium przechwytywali te garnitury i składali zwalistemu na głowę. Co który garnitur złożył, to krok do tyłu, od stołu prezydiálního na bok. Po minucie za stołem nikogo już nie było, nawet oniemiały zwalisty otrzeźwiał, na salę przeskoczył, rozbierać się zaczął i dawaj, wraz z innymi, ciskać garderobę przed siebie. Kiedy wszyscy byli goli, zaszła potrzeba wybrania nowego prezydium.

Miałem tego dość i wyszedłem z pokoju. Zdjęcia zaszeleściły za mną nieprzyjaźnie. Pomyślałem, że skądś znam ten film. Monotonny, nużący, stereotypowy. Komuchy walczą w pałacu o władzę, Ruski naciska sprężyny, naród się wyzwała, Apokalipsa za progiem. Wszystko do czego sięgnąłem pamięcią okazywało się szyderczo prostackie. Na scenie byli zdrajcy i szalbierze, za którymi nie stały żadne racje. Zdrajcy z samej swojej istoty, źli dla samego zła, rezygnujący nawet z parawanu słów. A naprzeciw tych rycerzy ciemności, tych diabłów, stali aniołowie, święci aż do mdłości, sielscy i tkliwi, bezbronni i godni. Rzygać się chciało.

Miski zostały rozstawione na wszelki wypadek. Kur był zbyt pragmatyczny, a Mich zbyt inteligentny, żeby wierzyć w robotników. Jeden Lit nie mógł wyzwolić się ze swoich bolszewickich schematów. Kur stawiał na chłopów, w ruletkę nie byłby zbyt szczęśliwym graczem.

Porywisty wiatr unosił cedzone słowa nad Wisłę, prosto jak strzelił Trasą Łazienkowską. Jeszcze dyskutowali, ale decyzja była przesądzona. Ryzyko poparcia było nikłe, ryzyko przeoczenia – ogromne. Kur dał więc stempel, na Wybrzeżu rozstawiono miski i zostało już tylko czekanie, kiedy z kotła wykipi zupa, jak przekonywał Wysz. Gdzieś w tle pojawił się Lechu. Miski były po to, żeby tym razem zupa się nie zmarnowała, jak to się stało w Październiku czy Czerwcu, lub nie zeżarł jej nie ten, co powinien.

Jakoś w tym czasie spotkałem w kawiarni Polskę. Była ubrana w beżowy kostium, na nogach miała pantofelki, na głowie berecik. Nie знаła rosyjskiego, w dłoni ścisnęła nabożnie różaniec. Uśmiechała się filuternie i paplała bez chwili przerwy. Wydawało mi się, że jest pusta i próżna. Na kontuarze klęczał Styka i malował ją wódką. Później wręczył mi bukiet trawek wyciągniętych z żubrówki. Na sali pojawił się Wysz i rozstawił miski. Polska zadzwoniła po policję. Wysza zabrano na komendę i skazano na dwa złote trzydzieści groszy grzywny za prywatną konsumpcję w państwowym lokalu. Chciałem zostać kelnerem i pomóc w rozstawianiu misek, ale zabrakło mi odwagi.

Bunt narastał we mnie od dawna. Ale był to bunt kontrolowany, wyrachowany, przezorny, ostrożny, pół żartem pół serio. Bunt na pół gwizdka, grymas, którego interpretacja zależała od widza. Widz mógł zrobić ze mnie buntownika, mógł też uznać grymas za uśmiech aprobaty. Przypisany mi widz, ten, od którego zależały moje losy, wolał udawać, że widzi aprobatę, no, może nie taką stuprocentową, taką wątpiącą, błędzącą, ale aprobatę. Koledzy widzieli na mojej twarzy grymas. Sami też się półgębkiem krzywili i tak sobie grymasiliśmy do woli. Było bardzo wygodnie i przyjemnie. Władza obdarzała nas kopniakami pełnymi czułości. Pieszczeni przez wszystkich, trwaliśmy w letargu. Życie toczyło się poza nami.

Co tam dużo gadać – byłem czerwony. Na zdjęciach widać to wyraźnie i z bezwzględną ostrością. Wskoczyłem do pokoju, wyciągnąłem z szuflady swoje zdjęcia, a one same ułożyły się w album „Moja droga do socjalizmu i z powrotem”. Zdjęcia są nieme, ale mówią kolorami, sytuacją, tłem. Najpierw jest to czerwień, intensywna, bezmyślna, buntownicza za socjalizmem. Później płowieje, szarzeje, buntowniczość przeradza się w pieniactwo. Wreszcie czerwień znika, zostaje żółć przemieszana z goryczą i beznadziejnym uporem. Aż do dnia,

w którym jest obojętność bez żadnej barwy. Tylko nadal trwa podpis pod zdjęciem: oto czerwony. Kiedyś przyjrzałem się sobie w lustrze. Twarz zdała mi się obca. Zdjąłem lustro ze ściany, postawiłem na podłodze i zacząłem ćwiczyć podpis. W „c” wygiąłem się bez kłopotu, stylizowane „z” też łatwo mi przyszło, następnie było nieporadne „e”, nieproporcjonalne „r”, markowane „w”, jajowate „o”, „n” w domyśle i beznadziejne „y”. Powiedziałem żonie, że rezygnuję. Nie, to niemożliwe, powiedziała, dzieci, praca, spokój, pensja, głupota, pusty gest, co lepsze, nie rób tego. Zrezygnowałem. Można było symulować, robić swoje (łagodnie, prawda, ostrożnie, prawda, między wierszami, prawda), nikt nie kazał codziennie się podpisywać. Ot, wystarczał kiedyś złożony podpis... Z tej żółci, która mi została z czerwieni, zniechęciłem innych, pokochałem siebie. „Kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje”. Oto wierszyk egotysty.

Na obiadych chodziłem z Moralistą. Często nas fotografowano. Mówiono mi nieraz: wy wybierzcie z kim jadać, albo z nami, albo z nimi. Kto nie jada z nami, pluje nam w twarz! Moralista był zasadniczy, każdy czuł się przy nim jak gnida. Ty nie jesteś gnidą, zapewniał Moralista, bo jesteś czerwony. Czerwony to jest czerwony. A gnidą może być tylko ten, co nie jest czerwony i nie jest też anti-czerwony. Taki bezpartyjny entuzjasta reżimu. Więc siorbaliśmy zupkę, on święty, ja czerwony, w koło same gnidy. Święty nie pasował do ówczesnych fotografii. Gnidy za nic nie chciały się wyzbyć swoich czerwonych płaszczy z anti-czerwonym podbiciem. Opozycjonista śmiał się zza węgła. Budowaliśmy drugą Polskę.

Nie wiedziałem wówczas, że miski zostały już rozstawione. Jadłem sobie spokojnie nie tę zupę, nie z tego talerza i nie w tym towarzystwie. Czasem myślę sobie, że w ogóle jadałem-nie-jadałem. Trzeba było się na coś zdecydować, wybrać michę z marmuru albo koryto z ulotek – a tak, tyle żarcia zmarnowałem! Szczególnie jedna fotografia jest wymowna. Romuald dziabie ziemniaki z chłopskim uporem, jakby rąbał siekierą prominenckie dacje postawione na żyznych polach, Robert wydłubuje z kapusty kminek socjalizmu, Moralista szyderczo miesza sól z cukrem, ja pokornie kiwam głową.

Teraz sobie uświadamiam, że na żadnej fotografii nie jestem sam. Raz jest koło mnie jakiś szyderca, raz entuzjasta, raz cynik, raz głupek – a ja zawsze jednakowo, błogo bezmyślny. Ot, taki kretyń bez twarzy,

tyle, że z oczami, nosem, ustami, uszami i czym tam jeszcze. Zrobiło mi się przykro, zawałiło się coś, co budowałem całe życie. Myślałem, że jestem sam dla siebie, hodowałem w sobie to przekonanie, gładziłem je, pieściłem, karmiłem najlepszymi kęskami. Aż rozrosło się ponad miarę, zdominowało mnie, stało się moją istotą, drugim, właściwie pierwszym ja! I cały pogrzeb na nic. Byłem ewidentnie wtórny; nawet nie krzywym zwierciadłem, ale zwyczajną szybą ze spółdzielni szklarskiej „Twoje okno”, w której odbijał się cień każdego przechodnia.

Z niechęcią odłożyłem album i chciałem wyjść z pokoju. Ale nie mogłem znaleźć drzwi, ani okien. Wszędzie, gdzie spojrzałem wisiały fotografie. Bałem się zbliżyć do którejkolwiek. Wiedziałem, czułem, że wchłonę mnie jak gąbka, znowu będę w jakiejś sali, z jakimiś ludźmi, w jakichś obrazach, sytuacjach, zdarzeniach, wspomnieniach. Miałem tego dość. Wlazłem pod fotel, spod fotela przeczołgałem się pod kanapę, stamtąd wdrapałem się pod tynk, znalazłem przewody elektryczne, dotarłem do kontaktu, przekręciłem go i popłynąłem prądem do korków. Szczęśliwie mam korki automatyczne, więc tylko jedno pstryknięcie i już byłem na korytarzu. Wolny. Jeden zomowiec stał pod oknem i palił papierosa, drugi przechadzał się z automatem gotowym do strzału. Uciekłem do pokoju, tam w pierwsze lepsze zdjęcie. Spotkałem ojca, swojego i tych z korytarza. Ojciec był w mundurze, z bronią, uśmiechem, za pasem miał zatkniętego kułaka, u stóp skamlała mu kontrrewolucja. Zamknąłem oczy i zasnąłem. Przyśniło mi się, że za oknem mamy rok 1983, styczeń. Drugi rok wojny, którą komuchy zawiesiły nam na nerwach, wplotły w każdy zwój mózgu, wstrzyknęły w każdą drobinę krwi. Nigdy nie byłem taki fotogeniczny jak w czasie wojny. Kadr ostry, żadnych rozmazań, wszystko jasne i oczywiste. Spojrzenie bojowca, broda radykała, ręce składają się do czynu, nie do oklasków. Boże! Wreszcie jestem sam na zdjęciu! To jest moje i tylko moje zdjęcie! Aż dech mi zaparło z wrażenia. W nagrodę zjadłem lody.

Z dobrze ogrzewanej, klimatyzowanej, saunowanej, malowanej, cacanej, tapetowanej, sprzątej, telefonizowanej, skomputeryzowanej, skredytowanej, supermarketowanej, sterminalowanej sali wybiegł tłum rozwrzeszczanych kobiet. Na przedzie biegła dobrze odżywiona

pani, zadbana, niczym sala, którą właśnie opuściła. Pachnąc świeżymi perfumami „Diora” lub innymi (byle nie firm polonijnych; zresztą, jak na Zachodzie nazywają firmy polonijne?) biegła biegiem nie do powstrzymania. W rękach ścisnęła nożyce, coś na kształt sekatora, zrobione ze specjalnej stali, do cięcia pancerzy czołgów, była to tajna broń NATO wymyślona przez Reagana (wersja PAP-a) do spółki z papierem (wersja TASS-a), aby ludność cywilna Europy Zachodniej mogła zza krzaka odcinać lufy sowieckich czołgów, wyzwalających tęże ludność. Pani z tajnymi nożycami dopadała nie mniej tajnej bazy NATO. Zza drucianego ogrodzenia przeblyskiwały obłe kształty perszingów i kruzów. Pani wpiła się nożycami w płot, oczami była już przy raketach, szast-prast, leży w gruzach stalowy parkan, pani mknęła. Jak w bajce złe moce obracają się przeciw samemu stwórcy, tak i tutaj tajne nożyce obróciły się przeciw rakietom kowboja i maga.

Stanowiskiem raketowym dowodził sierżant marines, John Pulasky. John był potomkiem starego rodu polskiego, jego zubożałej, mniej znanej odnogi. O tej to, głęboko patriotycznej, odnodze napisał powieść rzekę faktografii i odkryć techniki Mediator. Okazuje się, że Kołacze (bo taki jest źródłosłów rodziny Pulasky) wymyślili słowiańskie koło i odkryli Mazury. Germanofile jednak, których nigdzie nie brak, ukryli przed opinią europejską te ważne fakty, wmawiając światu, że koło powstało z wirowania walców Straussa, który zresztą pisał je w leśniczówce Pranie na Mazurach. Ten szyty grubą nicią (do nabycia w sklepach polonijnych!) Strauss miał zamydląć opinii oczy i stworzyć wrażenie jakoby także Marks był Niemcem. Tak toczy się ten świątek! Ale Mediator odważnie stawiał czoła kołtunerii. Jego dzieło znam z maszynopisu ponieważ fakt, że ostatni z rodu Kołaczy, John Pulasky, był amerykańskim marines uczynił dzieło niecenzuralnym, wywrotowym, kontrrewolucyjnym i pisany na zamówienie określonych kół. John był nieświadom swojej złowieszczej roli w kraju przodków, jak również nieświadom niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad powierzonymi mu raketami.

Desery podawano zawsze na końcu. Pewien nowinkarz usiłował zmienić kolejność i zaproponował melbę z partii, jednak zakrzyczano go, że najpierw musi być przekąska z odnowy, następnie zupa reform,

później drugie danie z porozumienia i dopiero na końcu deser po fińsku. Nim siedliśmy do stołu, odebrano nam sztucce. Stół wyglądał smaczkowicie, goście byli przyzwoicie odziani. Pamiętam poprzedni obiad. Zupa była zagęszczona jednością moralno-polityczną narodu, drugie okraszone propagandą sukcesu, na deser podano przyjaźń z narodami miłującymi pokój, były też przekąski – które jedli niekiedy- ostre, pikantne, na modłę zachodnią. Pisarz pisał kiedyś o uczcie w pałacu. Jak to pisarz, pałac był w zupełnie innym kraju. I naród był inny. Warował pod pałacem na resztki z pańskich stołów. Tutaj nikt nie czekał przed pałacem. Wszystko było spożywane przy stole lub w przedpokojach. Kelnerzy, wyfraczeni i uroczyści, nie przepuścili ani kosteczki. Oberkelner Mietek R., miał dwóch pomagierów-goryli Jurka U. i Daniela P. i wolontariuszy z politycznego tygodnika. Oberkelnerów było kilku i ciągle trwał spór, który z nich jest starszym sali. Wszystko zależało od tego, komu kazał nalewać zupę Najważniejszy. Raz skinął na Mietka i wtedy Mediator dał słowo honoru, że zbliża się odwilż.

Obiadowano bez przerwy. Naród nie zwracał uwagi na Pałac, w Pałacu interesowano się tylko menu. Czas płynął. Pisarz obalił już kilka cesarzy, nawet jednego szacha. Do spraw wewnętrznych naszego suwerennego państwa się nie mieszał. Pisarz nie jadł przy pańskim stole, ba, nawet unikał Pałacu jak zarazy, ale miał podgląd na wszystko. Wojtek też nie biesiadował, lubił jednak pogrzać się w kuchni. Widział nie jedno. Wielu widziało, bardzo wielu. O, taki Mediator, na przykład. A później byli ślepi. Łaziłem za nimi jak pies, skamlałem, ocierałem się o nogi, przymilałem, dałem wygrać w tenisa, pochwaliłem raport, zachwyciłem się aluzjami, oni nabrali wody w usta i nic, ani mru, mru. Nic mi nie chcieli powiedzieć, oświetlić, naświetlić, pomóc. No, nie, kłamię, Wojtek był uczynny. Ale inni – nie. Mediator tokuwał o reformie w partii, koniecznej, niezbędnej, nieuchronnej, Moskwa tego chce, Waszyngton tego chce, no, tylko jeden instruktor nie chce, ale już, już, tylko patrzeć jak się go wyrzuci, wówczas nic już nie powstrzyma ozdrowieńczej fali. Pisarz był jeszcze uprzejmiejszy od Wojtka, ganiająca życzliwość po prostu, człowiek, którego chciałoby się bez przerwy tulić do serca. Ale milczący nad wyraz. Wojna, wojna, wojna. Wszystko inne nieważne. Niewiele więc mi dało to stanie pod pałacem, nie najadłem się, nie oświeciłem. Tyle lat rozmienionych na pozory. A mogłem rozstawiać miski.

Pozory poszły w las. Uciekłem na drzewo. Wspiąłem się po konarach, na każdym wisały książki. Właziłem w pierwszą lepszą, ale po chwili tknięty trwogą uciekałem wyżej i wyżej. Czubek był już zajęty przez Jacka S. Spojrzałem w dół, tam w nagonce też S. Spojrzałem w górę – S. Nie mogłem się mylić. Co to ma znaczyć? Broda, okulary, baskijski beret, no, nie ma najmniejszych wątpliwości S. w dwóch postaciach. Siedzi na czubku i gna jak oszalały w nagonce. Rozejrzałem się po innych drzewach. Na konarach tłok jak na Marszałkowskiej. Co konar – jakiś znajomy. A na dole to samo, co postać jakaś z nagonki przemyka też znajomy. Wszyscy się rozdwoili. Bałem się patrzeć na dół zbyt uważnie, nigdy nie lubiłem przeglądać się w lustrze. Dźwięk myśliwskiego rogu wyrwał mnie z odrętwienia. Dostojnie, z cichym szumem silnika, sunęły mercedesy i peugeoty. Przez na wpół opuszczone szyby wychyłała czasem lufa sztucera i padał strzał. Ludzie sypali się z konarów jak ulęgałki. Ale wbrew pozorom, nie było w tym widowisku niczego krwawego. Zestrzelony żył przecież nadal, tracił tylko swoją drugą postać i tym zajadlej gonił w nagonce. Czasem nie dano mu premii, mimo, że się nastarał jak mało kto. Zdziwione zwierzęta wychodziły na leśną drogę i przyglądały się jadącym samochodom. Kierowcy ostrożnie i troskliwie wymijali sarny i dziki, myśliwi życzliwie machali zwierzętom rękami w wypróbowanym pozdrowieńczym geście. Po mercedesach i peugeotach nadjechały fiaty. Pasażerowie tych samochodów nie tylko strzelali z dubeltówek, ale i – zdarzało się – z procy, rzucali maczugami i kamieniami, czym popadło. Później nadjechały małe fiaty, syrenki i motocykle. Zaczęła się jatka. Myśliwi wspinali się na drzewa, osobiście ściągali upatrzone ofiary na ziemię, kopali, gryźli, obdzierali ze skóry. Nie było już mowy, żeby taki upolowany uchował się w nagonce. Na nic jego wygibasy, miny, starania – piekło się nad ogniskiem i tyle. Dzieła dopełniali kłusownicy, którzy w zamian za wskazanie myśliwym dziesięciu smacznych kąsków sami zyskiwali prawo do jednej sztuki na własny rachunek. Przybrałem wygląd i kształt, barwę, wszystko, nawet krój czcionki, „Dzieł Marksa”, dzięki czemu przetrwałem na drzewie. Później, gdy las ucichł, długo smakowałem ciszę.

Odnależliśmy się pod jaworem, gdzie kłaskał Mediator. Zapewnił nas, że to już było ostatnie polowanie, o czym wie od kuchmistrza; kuchmistrz zbuntował się i oznajmił, że nie będzie dłużej przyrządzał

dziczyzny bez przypraw, a na przyprawę zabrakło dolarów. Wtedy zdałem sobie sprawę, że kryzys wchodzi kuchennymi drzwiami. Na salonach nikt go jeszcze nie widział, służba była zbyt dobrze wyćwiczona, żeby zakłócać spokój biesiadnikom. Poszedłem w ślady kryzysu i zacząłem się przy duchówce.

Czy kiedyś zdołam opowiedzieć, kto pichcił potrawy na pańskie stoły?! Kto przychodził próbować, czy smak jest odpowiedni do nastroju dnia?! Kto robił zupy?! Klótnie przy drzwiach, gdy jeden dostawca przekrzykiwał drugiego, że jego towar jest lepszy, zdrowszy i posilniejszy dla uczujących! Pamiętam szlachetnych Janka, Stefana, Bogdana, Andrzeja, którzy zawsze oferowali witaminy, twierdząc – na podstawie naukowych raportów, badających doświadczalnie przyszłość – że dzięki tym witaminom właśnie, artykuły mączne, ziemniaki, jadlo najrozmaitsze przyda siły, nie otyłości i gnuśności. Prężni, zvarci i kochani. Oto cud kuracja. Zresztą witaminy miały też kościelny atest. W drzwiach kuchni rozpościerali się tradycjonałści, krzyżąc, że nowa potrawa, nowy składnik, grożą zawałem, że organizmy są nieprzyzwyczajone do zmiany, po co zresztą cokolwiek zmieniać? Wyganiaли witaminarzy. A tamci, niezrażeni, debatowali nad nowym cud-menu.

Nieznacznie, chyłkiem, w kuchni zaczęli pojawiać się kelnerzy. Ot, tak, po trochę soli, kapkę octu, niby przypadkiem, tylko patrzyli, co się tam w garnkach warzy. Z czasem zaczęli przebąkiwać coś, mówić półgębkiem, no, że ten ich, ten, któremu podają, to ma takie wrażenie, jakby cukru było zbyt mało, o!, a zwłaszcza jakby jego współbiesiadnikom tego cukru nie starczało. Któregoś dnia zjawił się sam oberkelner Mietek i, w co trudno uwierzyć, przytargał ze sobą wór trzciny cukrowej. Od tej pory na tej trzcinie gotowano zupy. Raz też, pamiętam, było to chyba w piątek, złapano jednego z kelnerów jak usiłował do najważniejszej chochli nasypać środków wymiotnych. Kelnera nie wpuszczono już do pałacu, a biesiadnika, którego obsługiwał wysłano do zagranicznej garkuchni.

Tak toczyły się te monotonne dni kuchenne. Pewnego dnia mało nie spałem się w duchówce z wrażenia. Drzwi się otwierają, do kuchni wchodzi biesiadnik. Ach, wykrzyknął, musiałem pomylić korytarze, i już go nie było. Po chwili jednak wrócił, przeprosił, skoro już zajrzał, to przecież przywitać się wypada, rękę uściśnąć, o zdrowie

żony i dzieci spytać. Tak, niby nic, a w garnki zagląda. O, mówi, jarzynowa, a włoszczyzna skąd? Z samolotu, wykrzyknie, kuchmistrz. Z samolotu, powiadacie, to niedobrze. U nas na wsi, pamiętam, zawsze włoszczyzna była świeża, dorodna, i swojska, rodzima, ot, pod stodołą rosła. I już go nie było, zniknął, wyszedł. Po kuchni powiało niepewnością. Kucharzowi ręce się trzęsą, ci przy drzwiach nie wiedzą, jakiego dostawcę wpuścić, jakiego odprawić. To nie były warunki do rzetelnej pracy.

O tej kuchni mógłbym mówić miesiącami. A to taka potrawa, a to inna. Kto wszedł, co powiedział, jak wyszedł. Jak później furt ganił do tej kuchni i ganił. Co który dosypywał do garnka. Mógłbym więc tak dalej wymyślać te różne potrawy, metafory jadalne, a i niestrawne konstruować. I w tym wszystkim zawrzeć historię Pałacu, gnid, opozycjonistów i własną, osobistą. Sięgać po sowietów, zniewolenie, niszczenie Polski, po zrywy kolejne, po „Solidarność”, po wojnę wypowiedzianą narodowi 38 lat temu i po wyprowadzone rok temu czołgi. Ale mnie to znudziło. Mam ochotę uciec od polityki. Wróż też mi to radził. Wiele mi przepowiedział. Będę w mieście odciętym przez wojnę, będę na statku, który zacznie tonąć – i zewsząd jakoś wyjdę, z każdej sytuacji. W ogóle wiele szczęścia i powodzenia. Tylko mam pamiętać: polityka to nie jest zajęcie dla mnie, jak najdalej od tego. Może ten wróż miał dwa etaty? Jakby to mogło wyglądać teraz – „Waga»: w pracy pewne wydarzenia. O odbytej rozmowie koniecznie zamelduj. Awans pewny”. I tydzień w tydzień takie inseraty. Naród u nas zabobonny, w trymiga zapanowałyby ład i porządek.

To dla maluczkich. Dla wybranych prawdziwi chiromanci. Zgaduj-zgadula, co powie złota kula? Panie radiesteto, panie nawiedzony, panie nadwrażliwy, panie Klimuszko, widzi pan, kuzyn nam zaginął, wyszedł z domu 13 grudnia i do tej pory nie wrócił, niech pan wskaże, gdzie on jest, gdzie się skrył nieborak jeden, z jaką ekstremą zamieszkał? I zdjęcie pchają pod nos, na zdjęciu Zbyszek, kuzyn Zbynio, w całej Polsce panowie w kapeluszach szukają kuzyna Zbynia. Do każdego radiestety przychodzi taka zrozpaczona para mężczyzn w kapeluszach. Gdzie jest Zbynio? Zbynio, Zbynio, gdzieś ty wlaż!?! Wszyscy się o ciebie martwią, jesteśmy przecież jedną polską rodzi-

ną. Premier i sekretarz też patrzą w kulę, co im powie. Zbynio ich nie interesuje. To osoba prywatna, złapią – osądzą. Lechu też prywatny człowiek. Kilku innych też prywatni. Tych prywatnych będzie coraz więcej i więcej. Aż w całym kraju znajdują się tylko prywatni. Prywatny kraj. Toż to polska droga do finlandyzacji! Uprywatniając obywatela, zbliżasz się do neutralizacji państwa. Premier, premier w coś ty wlaź?! Ale kula nic ci nie mówi, nic nie pokazuje. To kula specjalna, wydobyta przez górników w Donbasie, polerowana winem przez Gruzinów, szlifowana przez mistrzów starocerkiewnych, pieszczona dłońmi pionierów, przytoczona z Sybiru przez ochotników. Ach, w tej kuli widzisz tylko złoto i purpurę, tron wielki sięgający nieba, i blask bijący tak w oczy, że nawet, gdybyś nie wiedział, że tak trzeba i tak padłbys na kolana. Jeszcze jeden Styka dzisiaj, choć poranek świta! Klęczą nabożnie, malując łacińskim alfabetem to, co kula cyrylicą im dyktuje. Ile bym dał, żeby zobaczyć w „Trybunie Ludu” zdjęcie z „wizyty”, pod nim podpis: od lewej klęczą... Ale to zdjęcie dla innych gazet. W tych w kiosku mogę tylko obejrzeć kolejne zdjęcie z „głęboko zakonspirowanego lokalu” (dobrze znanego służbom specjalnym), na którym widać jak pan Ekstrema wręcza tajne wzory produkcji zapalek panu Agentowi-Reaganowi.

Reagan, Reagan, miły bracie, tu przygoda czeka na cię...

Nie. Stop. To nie może być tak, że jedno słowo wywołuje drugie, że jedno skojarzenie przyciąga inne. I toczy się ta bezładna opowieść utkana z luźnych skojarzeń jak u ciotki na imieninach. Niby wszystko wiadomo, więc o czym tu gadać. Cóż można dodać do szyderczej zabawy pt. „Być Polakiem”? Tak by się chciało ułożyć epos, prosty, przejrzysty, chwytający za serce, złożony ze słów godnych, dokładnych, wymierzających każdemu i wszystkiemu to, co mu należne. Epos o kraju, w którym ludziom serca zamieniono w kamienie, w którym nienawiścią zatruto dusze, w którym zawsze niszczone to, co z ciemności rwało się do światła. I o kraju, gdzie nigdy nie zanikła walka, gdzie krwawa ciemność musiała schronić się aż w bunkrach i czołgach, gdzie słowo prawdy i czyn godności przyplącono życiem, więzieniem, cierpieniem. A fabuła tej opowieści, a jej konstrukcja? Niech się nie rwie na obrazki, na strzępy wydumanych fotografii, niech płynie gwałtownie i klarownie przez moje oczy i mój rozum, przez moje czucie. Urodziłem się w 1948 roku, kiedy dla wszystkich było już jasne,

że ten kraj został zaprzędany w niewolę. Rosłem w niewoli i rosłem w zrywach wolności. Zmieniałem się razem z tym krajem, głupiałem i mądrzałem. Będzie więc sprawiedliwie, jeżeli słowa, obrazy, oceny, wydarzenia naniżę na włókna własnych nerwów, utulę we własnych dłoniach, dam narratorowi swoje oczy – sam przestanę istnieć. Mnie już nie ma. Rozstrzelano mnie w „Wujku” i w Poznaniu, poniesiono na drzwiach w Gdańsku, rozjechało czołgiem we Wrocławiu, rozmięziono na kłamstwa w telewizji, wpisano w paragrafy w ustawach, rozerwano na strzępy w walce o pokój i socjalizm (do czytania w kolejnym numerze „Problemów pokoju i socjalizmu”).

Hola, hola, bracie! A tak w Chile, Urugwaju, Wietnamie, to twoje serce nie zostało rozstrzelane, polane napalmem? Somoza to cię nie torturował? Nie byłeś bratem Lumumby? Ładny mi humanista! Popatrz, słuchaj uważnie, do ciebie mówię z ekranu, widzisz jestem stary, mam okulary i naukowy dorobek. Ubierasz się w te swoje polskie szaty, stroisz, mizdrzysz, a trzeba spojrzeć szerzej, głębiej. Tak jak ja. Lubię wojsko i dlaczego mam tego nie powiedzieć? Zresztą, cierpienie było zawsze, zawsze był gwałt, wskaż mi, kiedy człowiek był szczęśliwy? Zostaw politykę, spójrz szerzej, na kondycję człowieka, na cierpienie zakodowane w jego losie, o!, wtedy zrozumiesz, że niewolnik może tylko pogodzić się ze swoim losem, bunt nigdy nie skończy się dobrze. Ja ci to mówię, słuchaj starego, mędrca, badacza pisma świętego i innych ksiąg uczonych, dworaka chytrego. Po co ci epos zaściankowy o jakimś kraju, o którym świat chętnie by zapomniał? Napisz jak współbije twoje serce z całą ludzkością, jak współbrzmi z jękami nieszczęśliwych w Paragwaju, o!, o tym napisz. *A później won do Pron. Tak ci radzi Arturek, który wskakuje na murek.* I hyc, wskoczył. Mam go na swojej fotografii.

Dostrzegam, że narobiłem wiele zdjęć. Mam specjalną kamerę zainstalowaną w guziku marynarki, ktoś mnie łapie za guzik, coś mówi, kamera już turkoce. Kamerę zamontował mi Leszek, najpierw prosiłem Gierałta, ale to za wielki artysta, a artysta bez strachu nie istnieje, twórczość rodzi się z lęku, więc Gierałt się bał. Leszek to rzemieślnik, zrobił i w ogóle się nie namyślał. Przy okazji, informuję kogo należy, iż nigdy się do tej kamery nie przyznam, proszę nie wrabiać mnie w CIA,

wszystkiemu zaprzeczę, pójdę w zaparte i z procesu o szpiegostwo zrobi się proces o guzik. Guzik wygracie na pewno, oddajcie go do muzeum techniki, Bond już ma lepszy sprzęt. Lojalnie muszę jednak przyznać, że bali się nie tylko artyści. Na przykład taki jeden chudy, w okularach, z wrzodami w brzuchu i nerwami na postronku. O, ten to się bał! Latał po Warszawie jak oszalały, palił kadzidła przed partią, więc latał i kadził, kładł się na torach kolejowych, byle tylko nikt nie jechał do Gdańska, groził zwolnieniem, wyrzuceniem, chodził z Szal-bierzem pod rękę i kochał Związek Radziecki. Później przestał się bać, dużo później. Ale za to na zawsze. Ach, tak bywało. Miało być jednak logiczniej i przejrzyściej. Do dzieła!

Franciszek mozolnie skrobał stalówką po papierze. Pisał swój życiorys biednego chłopca z czworaków, ostatnio robotnika przodującej brygady pracy socjalistycznej. Dzisiaj rano podszedł do niego na budowie sekretarz Zięba i powiedział: „Słuchajcie, Franek, widzimy was, obserwujemy uważnie, wiemy, że jesteście dojrzałym towarzyszem. Przyjdźcie jutro do nas, do organizacji na zebranie, opowiecie o swoim ciężkim życiu za sanacji i o tym, jak wam teraz dobrze”. Więc Franek pisał, gdyż chciał się swojego życia nauczyć na pamięć. Obok Jagna rozwieszała pranie, w kącie jasnego, nowoczesnego pokoju w blokach, stało łóżeczko, w którym spała Anusia, przy niej zwinięty w kłębek leżał kotek Mruczuś.

Literat Witek odłożył pióro i uważnie spojrzął na dopiero co zapisaną kartkę. Powieść posuwała się naprzód. Jednak literata Witka gryzła pewna myśl. Oto jego kolega, literat T., nigdy nic nie pisał, chodził tylko po knajpach, a przecież literat Witek wiedział, czuł, że T. coś tam skrobie w ukryciu. Czy, aby nie o mnie, martwił się literat Witek?

I martwił się słusznie. Bowiem literat T. pokrywał właśnie jadem stronicę poświęconą literatowi Witkowi. *Ten świętoszek – pisał literat T. – sławi prostego robotnika, którego nigdy na oczy nie widział, jeżeli już to z okien turystycznego autobusu, jeżdżącego po fabrykach w ramach akcji „Pisarze do fabryki – robotnicy do sztuki”. Jednocześnie ten drań – sączył dalej jad literat T. – składa hołdy wiernopoddanicze władzy ludowej, sławi ją, a kim on jest naprawdę w głębi duszy. Może powinien się tym zainteresować wiadomy urząd?!*

Literat Jurek popatrzył uważnie na dopiero co zapisaną kartkę pa-

pieru. Tak, to było dobre. Właściwe wyważenie akcentów, subtelne wydrwienie stylistyki, ukazanie moralnej małości pisarzy, niezależnie od tego czy któryś pisał przez te lata czy milczał. Literat Jurek pisał, więc szczególnie zależało mu na wyważeniu. Teraz pisał inaczej, wreszcie prawdziwie. Aż westchnął z dumy. No tak, wielkimi krokami zbliżała się odwilż, zrzucono gorset stalinizmu, wydawnictwo niecierpliwie czekało na jego demaskującą, drapieżną książkę. Dumny pisał dalej.

Nie widział wcale jak literat K. zacierał ręce z uciechy. Literat K. już ich miał wszystkich przyszpilonych na swoich stronicach, już wyśmiewał ich pseudozaangażowanie, obnażał tę oczywistą prawdę, że odstali od kraju, w którym zachodziło tyle znaczących przemian w świadomości, od kraju, w którym było może i nie za bogato, ale za to uczciwie i szlachetnie.

Z rękawa literata K. wysuwał się już literat Oleś. Och, ten to dopiero miał używanie, *dosyć z tym bajorem* – pisał – *dosyć z prowincją* – *do-dawał* – *po znanych i bolesnych wydarzeniach grudniowych na Wybrzeżu, wyszliśmy na prostą, wreszcie budujemy kraj naszych marzeń*. I cieszył się literat Oleś, że marność poprzednich lat mógł pokazać tak bezpiecznie, przez marność ówczesnych literatów, no, może z jedną modyfikacją, dlaczego niby to tak wyśmiewano tego Franciszka i jego piewę literata Witka, czas przywrócić właściwą miarę rzeczy.

Później literat Oleś zaczął cierpieć. Zauważył, że są jakieś książki nie tylko z księgarni. Ktoś tam coś skrobał, ktoś to potem cichcem drukował, no a ludzie jak to ludzie, nie bacząc na nic, czytali.

Literat Piotr popatrzył uważnie na dopiero co zapisaną kartkę papieru. Tak, miał ich wszystkich jak w saku. Wszystkich z Partiułą i jej bardami na czele! I robiło się już prawie normalnie.

Popatrzyłem na dopiero co napisane słowa. Robiło się prawie normalnie. Niewiele miesięcy później, było już po prostu normalnie. Literat Piotr, na przykład, mógł zobaczyć się w księgarni. Niestety, nie zdążył. Cykl wydawniczy jest dłuższy niż cykl wojskowy. Teraz zastanawia się czy wskazane jest używanie nazwiska. Oto najkrótsza historia polskiej literatury powojennej!

I tak należałoby napisać historię tego kraju. Po kolei, wydarzenie za wydarzeniem, wyczerpująco i dogłębnie, niech jedno wynika z drugiego.

Najpierw dokonano rzezi. Więc pierwsze zdjęcie z naszego albumu powinno mieć taki tytuł – RZEŻ. Główna odbyła się od razu, za jednym zamachem, później tylko dorzynano tych, którzy przetrwali. Tej rzezi zasadniczej dokonano cudzymi rękami, pozwoliło to zamącić w umysłach, komu nie zamącono ten gnił w więzieniu albo siedział cicho w domu. Następnie upozowano naród do zdjęcia pod tytułem NIEWOLNICY. Panowała praca i dyscyplina. Gdy wśród nadzorców wybuchł tumult, naród ustawił się do zdjęcia pod tytułem DEMOKRACJA. Zdjęcie to zostało usunięte z albumu zaraz po wklejeniu. Tyle tylko, że podpis pod zdjęciem sztandarowym zmienił się na NIEWOLNICY ŚWIADOMI. Gdy ludzie znowu skrzyknęli się pod sceną zbiorową DEMOKRACJA, nadzorcy zasłonili to zdjęciem NIEWOLNICY BOGACI. Gdy zdjęcie to zmurszało, ludzie ustawili się do fotografii WOLNI I NIEZALEŻNI i nie chcieli odejść od obiektywu. Trwali i trwali, bez przerwy się fotografując. Wreszcie aparaty zabrało wojsko, ale wokół nadal słychać trzask spadającej przesłony; policja na każdym rogu wywiesza fotografię NIEWOLNICY BEZ ODWOŁANIA, a tu ludzie znikają z tych fotografii, usiłują wypełznąć na zupełnie inne zdjęcie, no, czysty bałagan. A ma być przecież ład i porządek! Hej, obywatelu!

Z irytacją zatrzasnąłem album. Znowu nie mogłem znaleźć drzwi wyjściowych z gabinetu. Wszędzie fotografie i fotografie. Do kontaktu przecież nie wpełzną, bo czeka mnie to, co poprzednio. W telewizji powiedzieli, że szpieg amerykański śpiewał Lechowi kołysanki na dobranoc. Co mi kiedyś zanuci Reagan?

Reagan, Reagan, miły bracie, tu przygoda czeka na cię... Ach, trudno, niech będzie. Stoi ten facet z coltem wymierzonym w Polskę, wysniony i wymarzony jak Anders na białym koniu. Ube złapało kiedyś Andersa, właściwie to sam się do nich zgłosił. Ot, tak, przyszedł na posterunek i powiedział, że ukradziono mu białego konia. Jak się nazywacie? Anders, odpowiedział. Na wszelki wypadek przewieziono go do powiatu. Opowiedzcie jeszcze raz swoją historię, poprosił major o zszarzałej ze zmęczenia twarzy. Tak, tak, Anders, biały koń wam zginął, tak, tak. Dowcipniś z was, pojedziecie do województwa. Z województwa gorączkowe telefony do Warszawy. Tak, dobrze słyszycie, mamy Andersa, tak, mówi, że nie ma białego konia, nie chce się przyznać, gdzie schował, sami jesteście pijani! W Warszawie na Andersa czekali: pewien pułkow-

nik, kapitan i porucznik. Po dwóch nocach pytań, przekazali go na badania. Gdy i tam nie zmienił ani słowa swojej opowieści, sprawdzono fakty i dokumenty. Rozdzwoniły się telefony, posterunkowy pojechał do wskazanej wioski, rzeczywiście, jest taki chłop, Anders się nazywa, tak, miał białego konia, ale od tygodnia nikt nie widział konia ani Andersa. Żona chciała właśnie zawiadomić milicję o zaginięciu męża. Innego Andersa w Polsce nie było. A ludzie czekali. Przez jazgot zagłuszczonek słyszeli zapewnienia, że wojna jest za progiem, może na wiosnę, nie później niż jesienią. Peklowali mięso, słoiki zakopywali w lesie, obok dłubali nory pod ziemią, ma być atom, lepiej schować się naj-najgłębiej. Ameryka, Ameryka! Teraz stoi ten z coltem i obiecuje. Bano się wojny, ale strach minął. Bez przerwy nas tym straszono. Ameryka, Ameryka! Wolność, demokracja, bogactwo. A tu, nie rusz nawet palcem w bucie, bo zaraz usłyszysz, że zagrażasz polskiej państwowości. Przestałeś na chwilę klaskać i już mężowie uczeni wykrzykiwali o rozbiorach. Możesz być dumny – żyjesz otoczony Przyjaźnią! Przyjaźń jak morska fala odciąga cię od twojego brzegu, wpycha w głębinę, zatapia. Chcesz się wynurzyć, zaczerpnąć oddechu, stoi ktoś z bosakiem i łup w głowę. Marsz pod wodę! Tam klaskać i tam się cieszyć, bez chwili przerwy. No, chyba, że nie jesteś prawdziwym Polakiem, nie kochasz kraju nad Wisłą, jesteś renegatem, a, to proszę bardzo, pływaj sobie po powierzchni, jak śnięta ryba, brzuchem do góry, ty moralny trupie. Lepsze śnięcie niż zaśnięcie! Zaraz, zaraz, kto to woła? Co, bunt ryb?! Sio, do akwarium. Chcesz wojny? Niebawem! Lepsza wojna niż pokój. O!, bracie, nie ma tak dobrze, nie oddamy pokoju, będziemy walczyć o pokój do ostatniego naboju.

Ludzie głowy pokornie pospuszczali. Pokój, pokój! Aż ktoś spytał: po co? Co nam to daje? Wy tłumaczył mi to Pisarz, do którego zaprowadził mnie przewodnik pewnej listopadowej nocy. O, Najulubieńszy, powiedział Pisarz, wyobraź sobie noc, taką, jak dzisiaj. Nic nie widać ani na krok. W tej ciemności żyją ludzie, dużo ludzi, cały naród. I ktoś znalazł w sobie promyk światła. Co się wtedy dzieje, Czcigodny? Ten promyk zaczyna wędrować, z rąk do rąk, z umysłu do umysłu. Nadal panuje noc, ale w tej nocy żyją ludzie o rozświetlonych duszach. Tak zaczyna się rewolucja, Najmłościwszy. Jasne dusze nie chcą krwi. Jasne dusze brzydzą się krwią. Jasne dusze chcą prawdy i pokoju. I próbują, o Mądry. Próbują raz, próbują drugi. A noc nie ustępuje. Noc gasi ich dusze, dławi gardła, krępuje umysły. Wtedy, Najprzenikliwszy,

ludzie zaczynają myśleć, że pokój i ciemność to jedno. Nie chcą tak myśleć, bronią się przed tym, ale raz rzucone ziarno kiełkuje. Wówczas wichur straszny owiewa człowieka, wywraca w nim wszystko. Już się domyślasz, Światło Moich Dni, co dzieje się dalej? Tak, masz rację, mężczyźni patrzą na swoje dzieci, na swoje żony, na swoje domy i pytają samych siebie: czy pokój wart jest każdej ceny? Patrzą na swój dom w niewoli i mówią: po co nam pokój? To pytanie, o Mocny, rozprzestrzenia się jak zaraza, jak pożar w buszu. Ani się nie obejrzywszy, ciemności już płoną tym pytaniem. Tak, Łaskawco, tak to było.

Reagan, Reagan, miły bracie, tu przygoda czeka na cię...

We mnie to też dojrzewało powoli, by wreszcie buchnąć nagłym płomieniem. Byłem sam, odpowiadałem tylko za siebie, a przecież jak gąbka chłonałem wszystkie apele o pokój. Pax, mir, peace! Moje dzieci są małe, dopiero rozglądają się dokoła. A coś zdradziecko szepce mi do ucha: czy pokój wart jest każdej ceny? Boże, jak chciałbym być już stary! Myślę, że jeżeli pokój oznacza niewolę, to chcę wojny! Wojny, która może zniszczyć nas wszystkich. Oddałbym wszystko, oddałbym samego siebie, byle uchronić swoje dzieci od nieszczęść. Jednak myślę o wojnie, myślę, że powinna przyjść, jeżeli tylko ona jest w stanie zniszczyć zło panujące w moim kraju. „Wojeneczko-panieneczko”.

Tak, Najukochańszy, to gna jak pożar po buszu...

Ludzie nie chcą lęku, chcą nadziei. Nie chcą lęku, więc zadają sobie pytanie, czego się boją, czego nie chcą. Myślą, że to będzie odpowiedź na ich marzenia, ich dążenia. Ludzie mówią sobie, że nie chcą biedy, chcą zamożności – do zamożności, słyszą, przez pracę, więc pracują. Nie chcą cierpienia, chcą spokoju – milczą więc, bo milczenie to spokój. Aż któregoś dnia spostrzegają, że pracują, milczą, nie siedzą w więzieniu, a nadziei w nich nie ma, ani nigdzie jej nie widzą. Jest w nich tylko lęk. Czują, że źle pytali. Pytali o więzienie, nie pytali o prawo. Pytali o pracę, nie pytali o dostatek. Pytali o spokój, nie pytali o sprawiedliwość. Wiedzą już, że nadzieja to wolność, wolność pytań i wolność dążeń, wolność stanowienia o swoim losie. Nagle wszystko przestaje ich obchodzić, nie martwią się więzieniem, gdyż wiedzą, że prawa nie ma, nie gryzą się pracą, gdyż ciągle są biedni, nie łakną spokoju, gdyż spokój to śmierć. Ogarnia ich płomień wolności. Nie ma duszy, która by mu się oparła, ponieważ w każdym człowieku jest wolność – wystarczy tylko przytknąć zapalone słowo. Ci, którzy

gaszą płomień w sobie, rzucają się z wściekłością na innych. Gdzie idziecie szaleńcy, krzyczą? Co was tak gna jak ćmy do ognia?! Po co wam ta wolność, która oznacza ból, cierpienie, zniszczenie? Czy naprawdę chcecie spłonąć na stosie?! Ten krzyk już niczego nie może zmienić. Krzyczą kaci i nadzorcy, uszy prześladowanych zamknięte są na ich słowa. Wówczas nastaje czas grozy. Im głuchsze są ofiary, tym gniewniejsi oprawcy. Żyją już na dwu różnych planetach, choć szepieni nienawiścią. Nie ma dla nich ratunku. Jak człowiek w obawie przed wściekłym psem, szuka na niego kija, tak pies szuka drogi do gardła ofiary.

Och, Dobry, długo trwało nim ludzie zrozumieli, że są w niewoli wściekłego psa. Długo rozpałał się w nich płomyk wolności. Szli drogą naznaczoną przez pozory, złudzenia, kłamstwa w draperii prawdy. Biegli na każde zawołanie, każde hasło napełniało ich otuchą, wszędzie chcieli znaleźć nadzieję. Zaprawdę, musiano się nad nimi solidnie napracować, żeby wreszcie ujrzeli, iż droga do wolności prowadzi przez nienawiść i wojnę!

Mazower nie zgadza się ze mną. Uważa, że społeczeństwo zdało egzamin. Jest pełen uznania dla społeczeństwa. Społeczeństwo potrafi czekać, trwa bez upodlenia, społeczeństwo nie pójdzie do straceńczej szarży, jak również nie pójdzie w jasyr. Tako rzecze Mazower. A może to był Tadeusz? *Tadeuszek nałap muszek. Spotkamy się za dwa wieki, odemkniemy powieki, powiemy dwa słowa i odpowiedź gotowa.* Najpierw ludzie modlili się z trwogi. Jak trwoga to do Boga, jak bida to do, ach nie! Z trwogi po wojnie, z trwogi przed wojną, z trwogi przed bolszewią. Później modlili się coraz bardziej z nawyku, ale jeszcze z potrzeby jasności. Jeszcze później został niemal sam tylko nawyk. Nie wiadomo kiedy, modlitwa nabrała nowych tonów. Ludzie już nie szukali obrony, nie szukali pocieszenia, chcieli w modlitwie odnaleźć siłę. Chcieli wzmocnić, utwierdzić siłę, która w nich rosła. Wybuchła modlitwa silniejsza od strajku. Modlitwę zmiażdżono czołgami. Zamknęli się ludzie w kościołach, przepełnieni trwogą, szukający pocieszenia, jak kiedyś. Ale do ołtarza nie wznosili już ufnych twarzy, tylko pięści i słowa jak kamienie. Zaczęli złorzeczyć i wyklinać, zaczęli mocować się z Bogiem. Im już nie jest, Tadeuszu, potrzebna otucha, im potrzebne błogosławieństwo na bój ostatni. O, to jedno prawda – ostatni! Kamień na kamieniu...

Pamiętam jak wieziono mnie suką. Grudniowa noc, nie wiadomo Rosjanie czy Polacy. Bałem się. I miałem wrażenie, że w tej suce, wraz ze mną, wcale nie jadą Karol, Krzyś, Janek, ale jedzie Los. Nigdy dotąd nie miałem tak wyraźnego poczucia obecności losu. Los zadrwił sobie z nas, wyszydził, założył generalską czapkę i ostrogi przypiął do rogatywki. Orzeł w rogatywce i w ciemnych okularach, darze narodu chilijskiego dla narodu polskiego. A ja, stary osioł, dałem się nabrać!

– Imię?

– Krzysztof.

– Nazwisko?

– (...) [Dekret o stanie wojennym, art. 17, poz. 3]

– Urodzony?

– Czwartego października tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku w Warszawie.

– Imiona rodziców?

– (...) [Dekret o stanie wojennym, art. 17, poz. 3]

– Stan cywilny?

– Żonaty.

– Stan rodzinny?

– Dwoje dzieci.

– Narodowość?

– Polska.

– Obywatelstwo?

– Polskie.

– Zawód?

– Dziennikarz.

– Miejsce pracy?

– (...) [Dekret o stanie wojennym, art. 17, poz. 3]

– Od kiedy nie pracujecie?

– (...) [Dekret o stanie wojennym, art. 17, poz. 3]

Czy zrozumiał co się stało? Czy wie, że postępował źle? Czy wyciągnął wnioski? Czy wie, czego potrzeba krajowi? Czy będzie przestrzegał prawa? Czy pamięta o swoich dzieciach? Co ma zamiar robić? Czy chce być pasożytem? Czy zmienił poglądy? Kim chce być? Czy wie, że na takich jak on ciężko pracują górnicy i rolnicy, tramwajarze i murarze – i stoczniovcóm też jest obcy.

– Odmawiam odpowiedzi i proszę o skontaktowanie mnie z moim adwokatem.

Hi, hi. Z adwokatem. O naiwni sądzeni, myślą, że mogą się bronić. Karty zostały rozdane, wyroki zapadły i nie ma żadnego znaczenia, co robisz, co myślisz, kim jesteś. Wystarczy, że nie byłeś z nami w godzinie próby – teraz za to zapłacisz. O, był to dobry czas, jak na dłoni widzieliśmy, kto kim jest, wszelka swołocz wylazła z ukrycia, ujawnili się faryzeusze, przენiewiercy, karierowicze. O, widzieliśmy kto wie-sza nasze plakaty w fabrycznej hali, robotnicy się śmieją, a on wie-sza, robotnicy zrywają, on wie-sza, robotnicy rzucają kamieniami, on robi swoje. Tak, z takich jak on się teraz składamy. Silni, zwarci, gotowi. Bój to będzie ich ostatni! Hi, hi. Zima wasza, wiosna nasza! Hi, hi. Nie będzie żadnej wiosny, w ogóle nie będzie kalendarza. Niczego nie będzie tylko MY. Tylko MY. Czy rozumiał?

Zrozumiał i chciał przekazać wiadomym organom list:

Drogi Przyjacielu o wielu imionach! Zwą cię Jurij i zwą cię Erich i Fidel, zwą cię Hua i Kim, i na wiele innych jeszcze sposobów. Stukam do ciebie z sąsiedniej celi tego samego więzienia. Nie upadaj na duchu przyjacielu. Cóż z tego, że pomrzemy w więzieniu? Bylebyś wiedział, że siedzisz w celi. Pamiętaj o tym, gdy idziesz rano do pracy, gdy wracasz z pracy do domu, gdy łowisz ryby lub skopujesz ziemię na działce, gdy jedziesz na daczę lub przypinają ci order. Pamiętaj, że mieszkasz nie w domu, a w celi, że idziesz nie do pracy, a na roboty, że nie jesteś na rybach tylko wyprowadzają cię na spacerniak. Pamiętaj, a wówczas spostrzeżesz, że przywódcy, mędracy, ideolodzy, sternicy, wodzowie, ojcowie nasi, to zwykli klawisze. Gdzie podzieją się ich trony? Co stanie się z namaszczaniem danym przez Boga i Historię? Czy widział kto kiedy namaszczonego klawiszca?! „Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę będziemy klawiszami...” No, nie. Tego się nie da zaśpiewać. „Klawisze wszystkich krajów, łączcie się!” Jeszcze gorzej. Sam więc widzisz, Drogi Przyjacielu, wystarczy rzeczy nadać sprawiedliwe słowo, by stała się nie do wytrzymania. Nadaj więc to słowo, i ty Juriju, i ty Gustawie, Erichu, Fidelu, i wy wszyscy, których nie wymieniłem. A wówczas staniemy się braćmi.

Twój Wojciech.

Wyjaśniam, że list ten wpadł w moje ręce przypadkiem. Siedziałem pod stołem obrad Układu Warszawskiego w Pradze. List wyciągnąłem –

powodowany surowymi, ale prawami stanu wojennego – z kieszeni kolegi premiera. Kolega premier, gdy tylko zorientował się, że jego list został przechwycony przez obcy wywiad, opuścił Pragę w atmosferze przyjaźni i zrozumienia. Dzięki tej atmosferze na świecie panuje pokój. List wyraźnie i bez osłonek zmierzał do zakłócenia odwiecznej przyjaźni polsko-mongolskiej. *Polak Mongoł dwa krajanie, jeden pierdnie drugi wstanie*. Ten list miał być lontem, świat beczką prochu. Przy wymierzaniu mi kary, proszę wziąć pod uwagę, że zapobiegłem wybuchowi trzeciej wojny światowej.

- Czy oskarżony chciałby coś jeszcze powiedzieć?
- Nie, Wysoki Sądzie, mam już dość, idę do domu.
- Sąd udaje się na obiad, oskarżonego proszę powiesić.
- Dziękuję Wysoki Sądzie za akt łaski.

O, nie, bracie, nie tak prosto od nas uciec. Łup w grób i już?! Egzekucja zostaje zawieszona. Oglądaj dalej swoje fotografie, męcz się wspomnieniami, przeżywaj chwilę bieżącą – patrz i oceniaj, oceniaj i patrz, aż do obłędu (por. Jerzy Krzysztoń, *Obłąd*, PIW 1978, s.1 i dalsze).

W moim albumie najwięcej jest zdjęć z cyklu „Partia z narodem, naród z partią”. Pies z wami! – niemal zakrzyknąłem, w ostatniej chwili gryząc się w język. Miało być przecież poważnie. „Program partii, programem narodu”. O, tak już lepiej. Oto słowa prawdy: „Celem Związku Radzieckiego jest świat bez broni”. Spod serca wyjęte, ale kto to doceni? Myślą że to propaganda, takie tam gadanie, a to przecież szczere, niekłamane. Świat ma być bez broni. Broń tylko w rękach narodów miłujących pokój. Pozostali – rozbroić się! Natychmiast! To jest cel prawdziwy, strategiczny, wymarzony, wyśniony, już tylko o wyciągnięcie dłoni, w zasięgu oddechu. Dlatego program partii jest programem narodu. Czy nie chciałbyś być narodem panów? Czy nie chciałbyś, żeby Paryż był stolicą twojej prowincji? No, zajrzyj w głąb swego serca. Odpowiedz, jak na spowiedzi. Zali nie chciałbyś być wielkim? Już widzę jak dumą pęcznieją ci uszy, jak duma zasnuwa ci czernią okulary, jak dodaje ci energii w wygrazaniu palcem, jak kłębi ci grzywkę na czole. Och, duma tak wiele może! Duma rosła w tym kraju równoległe do nienawiści. Z dumy jest ta władza, gdyż wyrosła z upokorzenia.

Mietek R., zwany też Wice, wstał, wyszedł zza biurka i przywitał się z Intelktualistą. Usiedli w fotelach, przy gościnnym stoliku.

– No, cóż, panie Wice – powiedział Intelktualista – na porządku dziennym stanęła kwestia władzy. Nadszedł czas, żebyśmy o tym porozmawiali – i założył nogę na nogę.

Wice czuł, jak oburzenie przygniata go do fotela. Co ten fircyk francuski, to pachnidełko, cmokające fajkę z drwiącym uśmiechem skrytym w brodzie, może wiedzieć o władzy? Czy on czołgał się przez całe życie, żeby wreszcie wpełznąć do tego gmachu? Nie, on w przelocie między Rzymem a Nowym Jorkiem, wpadł na dwa wiece do fabryki i teraz kreuje się na jakiegoś przedstawiciela rzekomego ludu. Odprężony, rozluźniony, ulubieniec salonów i muz, tfu! Wice rozjaśnił się psychicznie. Jak sobie człowiek ulży zawsze to dobrze robi na nerwy. Kontrolował się jednak i od razu przywdział maskę histeryka.

– W taki sposób o niczym nie będziemy rozmawiać – prawie krzyknął. – Pan zapomina, że mówi z Wice siły przewodniej. Nie będziemy mówić o władzy, ani o czymkolwiek innym.

Intelktualista wyszedł. Na jego twarzy Wice wyczytał opinię: histeryk, któremu zabrakło sił i umiejętności, został tylko krzyk paniki i strachu. Wice był z siebie niemal dumny. Dobrze to rozegrał. Oni są ślepi jak szczenięta. Maskę histeryka przydała się po raz kolejny. Ileż dobra mu ta maska przysporzyła! Ludzie nie wiedzieli, czego się po nim spodziewać. Na tysiące różnych, przedziwnych sposobów czytali jego zachowanie i dlatego zawsze byli skłonni go tolerować, ba!, nieraz nawet stawiać na niego. Nikt nie spostrzegł, że pod maską histeryka kryło się zimne wyrachowanie. Błogosławione przebranie! Kiedyś nie był taki, nie wiedział nawet, że w Pałacu trzeba przywdziewać kostium. Długo uczył się sztuki mimikry. Pamięta dobrze jak wpatrywał się prosząco w oczy szefów, żeby wyczytać w nich werdykt. Zdał egzamin czy nie? Oczy szefów były puste. Spocony przewracał się w nocy z boku na bok. Aż któregoś dnia dopuszczono go na trasę slalomu, gdzie głównym sędzią był Stary. Zaprzysiął sobie wówczas, że nigdy nie opuści tej trasy, choćby miał jeździć na jednej narcie, choćby i na łyżwie, może w kapciach, nawet na gołych nogach, ba, na tyłku, nosie, jak kto woli, w ostateczności serce sobie z piersi wyrwie i puści je między bramki, hajda na całego! Stary doceniał to poświęcenie, ale lubił igrać z człowiekiem. – Co z tobą, smarkaczu – mówił czasem – bram-

kę opuściłeś, myślałeś, że już nieważna, hę? Tradycji nie szanujesz, no-winki ci w głowie, oj, młodość, młodość.

Wice pokornie spuszczał głowę, bąkał przeproszenie. I tylko pa-trzył, jakie miejsce przyzna mu Stary, w której dziesiątce. Bywało i tak, że Wice sumiennie całą trasę przejechał, a Stary do niego: cóż to tak człapiasz za wszystkimi, zapomniałeś, że żyjemy w wieku postępu i dynamicznego wzrostu? Chcesz kraj w stagnację wpędzić?!

Zawsze było coś nie tak. Raz przyśniło się Wice, że Stary mu czer-woną kartkę pokazał, z boiska wyrzucił. Zapamiętał to Staremu, choć to tylko sen, z nerwów przez trzy tygodnie nawet z Kłapciatym nie rozmawiał.

Na dworze wzrok trzeba było mieć wyostrzony. Nad podziw czuły węc. Język giętki nad wyraz. Kto, kiedy tak ciężko harował? Zasuważą sobie do tych swoich fabryk, pod ziemię elegancko zjeżdżają windami, na pole ze słonecznikiem wychodzą – i ani im w głowie nie postanie, że ktoś za nich orze jak wół, że dla nich przecież zarywa noce i ser-ce, w ich imieniu urabia sobie ręce po łokcie. A jeszcze nie przegap tej chwili, kiedy Stary przestaje być Starym. Widzisz go jak trzyma te swoje kartki, żółte i czerwone, jak wpisuje na tablicę miejsca poszcze-gólnych zawodników, słyszysz jak tłuszcza dworska klaszcze, a już musisz kątem oka dostrzec, że w Jury wyniki inne zapisano, że przy zielonym stoliku inne rozdano medale i miejsca. Stary cieszy się jak dziecko i ty razem z nim, ale już musisz biegać jak chłopiec na posył-ki, żeby dali ci numer startowy w nowym pałacu, tym, który wyrasta w fasadzie starego. Publicznie nosisz jeszcze starą barwę, ale po cichu, przed lustrem, stroisz się w nową. I ta cienka linia, niemal jak wy-kwintna aluzja – nosić starą barwę a jej nie nosić, nosząc odcinać się od niej, patrzcie – mówisz – mam na sobie stary garnitur, ale przecież wszyscy widzą, że on nie na mnie, że ja tylko tak dla żartu, dla zgry-wy, ot, właściwie nie wiadomo dlaczego. Ale nowej barwy nie można pokazać! A jeżeli to był falstart, jeżeli Jury zmieni zdanie, jeżeli Stary nadal będzie Starym? Więc i w lustrze oglądaj nową barwę ostrożnie, ot tak, jakbyś dla wygłupu założył, przyjrzeć się, prawda, jakie z niej, prawda, niebezpieczeństwa, prawda, dla partii i kraju płyną, prawda. Później wyczuć ten moment, idealnie, gdyż mylisz się jak saper, tylko raz – i założyć nowy garnitur, przyjść w nim jakby nigdy nic do Pałacu i zobaczyć minę Starego, który już niemal chciał coś powiedzieć, ale

zrezygnował, zamilkł, udał, że nic nie widzi. Wtedy wiesz na pewno, że wygrałeś. Tak, wygrałem, myśli Wice, wreszcie dobiegam mety, a tu przyjedzie taki spoza dworu, obcy i chce się ze mną zmierzyć. Śmiech pusty ogarnia. Przypomnij sobie kochasiu, Bydgoszcz, wtedy inaczej zaśpiewasz!

Jak wiadomo, w Bydgoszczy niejaki Jan R. uknuł zamach na prawdziwe prawa ludzi, w skrócie PRL. (Jakie PRL? Przecież skrót od „prawdziwe prawa ludu” brzmi PPL. Nie! PRL – Ależ skąd! Cicho! My decydujemy – PRL i już. Ale to bez sensu. I co z tego? Kto mówi, że PRL ma sens?!) Policja nie dopuściła do dalszych ekscesów. Niejaki Jan R. pobił się sam, nawet samookaleczył ze złości. Kierownictwo było już gotowe wezwać bratnią pomoc, żeby zapobiec dalszemu samookaleczaniu się polskiego proletariatu. Pojawiły się jednak pewne przeszkody. U chłopca Stacha zazieleniła się bruzda. Przez zielone, jak wiadomo, czołg nie przejedzie. (Stąd popularność ruchu „zielonych” na Zachodzie. „Zielone” najlepszą obroną przed Sowietami! Nie rozumieją tego zacofani stratedzy z NATO). Cały kraj stanął jak oniemiały. Wprawdzie Stach od dawna nie był chłopem, właściwie nigdy nim nie był, zawsze był bezrolny, biedny i z czworaków – o czym każdemu może zaświadczyć hrabia Dominik, zwany czasem Szalbierzem – i nigdy też w związku z tym Stach nie miał bruzdy, a tu patrzcie, bruzda Stacha wzięła i zazieleniła się. Przez tę to bruzdę, naród na nic nie zwracał uwagi. Wtedy premier z sekretarzem zagrali *va banque*. Rozdali ostrą amunicję, zapalili silniki i zasiedli do stołu. Po szczęśliwej rozgrywce, Jury biło im brawo. Twierdza została zdobyta bez jednego wystrzału, nikt z obrońców nawet się nie spostrzegł. Do chłopca Stacha Jury wysłało list z pogróżkami.

Twierdza zdobyta... Tak rosła duma Wice. Tak rosła duma w tym kraju. Duma wyrosła z upokorzenia, więc tym silniejsza. Duma, naprzeciw której stanęła nienawiść.

Nienawiść pojawiła się ukradkiem. Wychynęła czasem z jakiegoś słowa, wyskoczyła w czyimś błysku oka. Och, kiedyś było jej bardzo, bardzo dużo. Wyraźnie widzę to w swoim albumie. Co wezmę zdjęcie do ręki – w tle, nachalnie wylazi na pierwszy plan nienawiść, i już sam nie wiesz czy oglądasz zręby budowane w pocie czy w nienawiści. Ludzie nie mogą żyć w nienawiści, to sprzeczne z naturą. Fotografie zmieniają się, nienawiść niknie przykryta radosnym widokiem no-

wych kominów fabrycznych, wędrówką z wsi do miast, albo strachem. I przykucnęła nienawiść jak zając pod miedzą, rozpląnęła się w morzu frazesów; zagłuszona potrzebą wiary. Nie rozstawałem się już ze swoim albumem, kładłem go pod głowę zamiast poduszki w nocy, zakładałem w dzień zamiast swetra, jadłem w zupie na obiad, popijałem na śniadanie zamiast mleka (tym chętniej, że mleka nie znoszę i nie pijam). Chciałem, żeby wszystkie zdjęcia zmieszały się we mnie, później ustały, jedna drobina oddzieliła od drugiej, uporządkowały się historycznie i politycznie, społecznie i indywidualnie, świadomościowo i podświadomościowo – wówczas mógłbym tylko przytknąć do ust pióro wieczne, rzygnąć w nie tym, co we mnie, przyłożyć do papieru i epos gotowy! Sam by się pisał, dosłownie moimi trzewiami. Niechby tylko ktoś zarzucił, że nie jest to utwór zaangażowany?! Czy może być większe zaangażowanie niż pisanie samym sobą. Tak widziałem swój awans do grona klasyków socrealizmu. Ta wizja ciągle gnała mnie do roboty. Pierwsze strony mojego albumu zapełniają fotografie pełne mroku i trwogi. Unoszą się nad nimi ryngrafy i sztandary przesiąknięte krwią. Słysząc jeszcze tętent husarii i żarliwy szept Matki Boskiej. Ludzie są gdzieś w tle, pochowani w sobie, w swoich domach rodzinnych, we wspomnieniach – i w milczeniu. Czasem ktoś wykrzyknie, rozedrze swoje rany, inni milczą zawzięcie, bogoojczyźnianie, kontra, ale milczą. A na te same strony albumu wciskają się inne zdjęcia, chyłkiem, cichcem, lokują się gdzieś tam z boku, nieśmiało przyklejają, jeszcze niepewne czy tu ich miejsce, już krzykliwe i aroganckie. To są wyraźnie inne zdjęcia, robione innym aparatem, odbijane na innym papierze, wywoływane innymi chemikaliami – typowy produkt autarkii i ksenofobii. Na tych zdjęciach również jest nienawiść, choć z innym znakiem, skierowana przeciw czemu innemu, nienawiść przeciw tym, którzy budowali, nie nienawiść przeciw burzeniu. Ta nienawiść nie kryje się po kątach, ta nienawiść jest zmieszana z dumą, krzykliwą i jaskrawą, wyzywającą, gdyż burzy po to, żeby budować Nowe. Nowe rozświetla każdą fotografię. Nowe ma uśmiech robotnika i uśmiech chłopca. Widać jednak (ach, ta amatorszczyzna!), że są to uśmiechy doklejone, że nie jest to uśmiech z tej ziemi, że przyniesiono ten uśmiech z propagandowych plakatów innego kraju. No cóż, przywieziono stamtąd ze sobą wszystko, od czołgu do uśmiechu. Musiało trochę potrwać nim nadworni retuszerzy w miejsce gwiazdy wrysowali

orła. I te zdjęcia z pierwszych stron albumu są jeszcze nieporadne, co sugeruje, iż nieśmiałość nie ma w nich za grosz, jest tylko zadufanie za trzydzieści rubli co najmniej. To mój album na stronie czterdziestej piątej i czterdziestej szóstej. Na czterdziestej siódmej zmienia się. Nowe ma już kolorowe fotografie, nie kryje się po kątach, zajmuje niemal całe stronicę, nie widać żadnych retuszy, uśmiech ma stąd, wycyganiony nad Wisłą i Odrą, w Gdańsku, w Tatrach, na Ziemiach Odzyskanych, na Ziemiach Zastanych, na Ziemiach Oranych, Ziemiach Cacanych, Ziemiach Zabrzanych, Ziemiach Jak Rany – i na mazowieckich piaskach, pod gruszą, wierzbą płaczącą (po Dziadku – i wnuku), tylko gdzieś z brzegu albumowych stronic rzuci się czasem zdjęcie staromodne, niczym dagerotyp, zżółkłe, o naddartych brzegach, na nim jakiś starszy pan z zasadami, jakaś Ojczyzna, Honor i Bóg. Obok, fotka zamglona z lasu, o ludzkich twarzach z przesłoniętymi dla bezpieczeństwa czarnym paskiem oczami z napisem Niepodległość, Wierność, Służba. Na stronie pięćdziesiątej już nie ma tych zdjęć. Staromodne powędrowały do podręczników historii z napisem: błędne, minione; zamglone fotki trafiły do rubryki kryminalnej w gazecie. W albumie zostały zdjęcia tylko z jednego aparatu. Och, one wcale nie były monotonne! Prawda, właściwie było to jedno zdjęcie, co wyraźnie widać, gdy rozłożył obok siebie strony czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt i dalsze. Oto widać wielką nizinę, złotą od zboża i kolorową od fabrycznych dymów, nad krajem świeci słońce z wąsami i nie wiesz już nawet, co bardziej cię grzeje, czy promienie słoneczne czy ten dobrotny uśmiech, wszędzie widać krzątających się ludzi, chłop orze z pieśnią na ustach i trzymając się za ręce z innymi chłopami, robotnik toczy na tokarce lepszą przyszłość z wypiętą dumnie pierśią atlety, uczoney w ciszy gabinetu wpatrzony w portret Ojca pcha naprzód naukę na zgubę imperializmu, urzędnik baczy pilnie czy czasem nie dzieje się komu krzywda, Partia mocno dzierży ster w rękach, aby statek nasz śmiało śmigał do przodu, inteligent śpiewa hosanna. Czyż taki obrazek może być monotony?! Czy naprawdę frapuje nas tylko zło i ciemność, czy szczęście nie więcej jest warte. Nikt nie ukrywał prawdy. Popatrz tylko uważnie, oto chłop odrywa na chwilę rękę od innych bratnich rąk, by wskazać ci stonkę zasianą cichcem w nocy na polu przez Wroga. Oto robotnik ciężko wzdycha swoją pierśią atlety,

żeby wykrzyzczyć ci, że Wróg dorzucił mu opiłków żelaza do zupy regeneracyjnej z wkładką. Oto uczoney biada, że Wróg śmieje się z jego udanego przeszczepu zająca na miedzę. Oto inteligent żali się, iż Wróg cichcem kaleczy mu zdania, które mają trafić pod strzechy; kalek na wsi nie lubią. A nieugięta Partia, która bez chwili wahania wskazuje, gdzie czai się Wróg! I widzisz na zdjęciu tak wydawałoby się monotonnym, dzielnych funkcjonariuszy, którzy nie znając dnia ani nocy, nie znając co odpoczynek, co zmęczenie, wyłapują każdego Wroga nim zdąży nawet pomyśleć, że jest Wrogiem. Nadal będziesz twierdził, że w tym albumie jest coś nieprawdziwego?

Wiem, co chcesz zaskrzeczyć, że niby są i inne albumy. Z innymi zdjęciami. Gdzie są, bracie? Co z nimi robiłeś przez lata? Trzymałeś u cioci na strychu, aż zbutwiały, albo w piwnicy, gdzie zżarły je myszy? Wyciągnij swój album, sklej te strzępki zdjęć, które w nim ocalały – i co zobaczysz?! Wyrwane paznokcie i zakneblowane usta, Oko Czujności, śledzące każdy twój krok, każde drgnienie duszy, każdą myśl, i siebie zobaczysz małego ze strachu, oślizgłego w bojaźni, zaplutego drzeniem w domu. To twój album karła. A tam masz album mocarza. I jak śmiesz porównywać je ze sobą? *A na tygrysy mieli wisy...* Zapomnij o tym. Ostał ci się jeno album karła. Czym jest prawda tego albumu wobec prawdy syntetycznej, prawdy miliona serc, miliona rąk, prawdy prawd... Prawda?

Na stronie pięćdziesiątej szóstej zdjęcie ogólne rwie się na mnóstwo ulotnych fotek. Uchwyceni niegdyś przez obiektyw ludzie przestali pozować. Chłopi nadal trzymają się za ręce, nawet mocniej się uchwycili, ale widzisz, że te ręce nie są za, są przeciw. Dziwne, jak ręce mogą wyrażać duszę, jak nieuchwytne drgnienie palców powoduje złowrogi dreszcz na twoich plecach – i widzisz jak chłopi, ciągle i ciągle, i jeszcze mocniej trzymając się za ręce, przestali orać, przestali siać, zniknęli z pól zalanych dobrotliwym słońcem, idą przed siebie, idą dokąś, nie wiadomo dokąd, gnani czymś, nie wiadomo czym. Bacz tylko pilnie czy na ich czele nie pojawi się Szela. Robotnicy zatrzymali tokarki. Uwierzyli wreszcie, że to oni kształtują przyszłość, że są klasą panującą – i wyszli na ulicę wykrzyzczyć wszystkim swoją prawdę, swoją radość odzyskanej świadomości. Na zdjęciach widzisz, że nie mają piersi atletów, wzrok ich wcale nie jest orli i nie sięga w przestworza, nogi bojaźliwie idą po bruku. Widzisz ich oczy zamglone potem, ich pier-

si zapadłe i wstrząsane kaszlem, ich pokręcone zimnem palce i wykrzywione brakiem słońca nogi. A przecież, dziwne to, teraz dopiero widzisz ich siłę, teraz dopiero czujesz, że to oni są władcami. Ale tych fotek nie ma w albumie dużo. Niemal natychmiast zostały zaklejone całkiem innymi zdjęciami. Więc widzisz uczonych jak wykrzykują, że dławiono ich myśl prawdziwą, lecz teraz oni zaprawdę pokażą na co ich stać – niech drży kapitalizm! (Od którego, zresztą, towarzysze, nie wstydzmy się tego, możemy się niejednego nauczyć. Uczyć się choćby od diabła!). Widzisz inteligentów szepczących: „socjalizm – tak, wypaczenia – nie” i gardłujących o najlepszym z ustrojów, byle tylko oczyścić partię z błędów. Widzisz partię, która z lubością wkleja te zdjęcia do albumu, dziwisz się nieco tej skwapliwości, gdyż niemal każde zdjęcie to przecież krzyk o błędach i wypaczeniach – no, nie bądź człowiekiem małej wiary, partia pozwoli ci uwierzyć, że teraz będzie lepiej. Krzycz, och, krzycz – pod warunkiem, że nie zapomnisz, jak ten uczony, jak ten inteligent, jak ten i tamten, iż żyjesz w jedynym, najlepszym i nie do zmiany ustroju, wówczas partia wklei także twoje zdjęcie, ty buntowniku! Hej, gdzie tam pędzisz z tym swoim prywatnym albumem?! Po coś go ściągał ze strychu? Nie zaprzeczysz przecież, że mam takie twoje zdjęcie: pchasz się w tłumie na jakimś placu, chcesz dojść do trybuny, dorwać się do mikrofonu, wykrzyknąć, żeby nie wierzyć, odrzucić, wziąć w swoje ręce. Ale nie dojdiesz, nie to ci jest pisane. Partia czuwa nad mikrofonami, ach, mówić można wiele, mówić można niemal wszystko, z jej nadania, z jej aprobatą, z jej pozwoleniem i w jej imieniu. Wrócisz do albumu ogólnego, albumu syntetycznego, tam gdzie twoje miejsce. Idziemy z postępem, bracie, demokracja socjalistyczna nie ma sobie równej. Zobacz, do zdjęć partia dodała dźwięk. Na stronie pięćdziesiątej siódmej chłop już orze i sieje, robotnik wykrawa i obrabia – oni nie mają czasu mówić. W ich imieniu, dla ich dobra, gada uczony, gada inteligent – syntetyzuje partia. Schowaj swój album głęboko, nie chcesz chyba zostać Wrogiem. Stonka nie fruwa już na spadochronach i szpieg nie wrzuca do zupy opiłków żelaza, to prawda, ale czy to znaczy, że nie ma Wroga? Trudno o błędniejszy wniosek, Wróg jest, gdyż takie są prawidła walki klasowej. Uważaj na to, co mówisz, byś nie został Wrogiem. Oglądaj sobie spokojnie album, przerzucaj strona za stroną, i ucz się jak żyć. Zobacz jak pewne zdjęcia blakną, jak milkną – inne nabierają kolorów, ga-

datliwości. Tak, cisza, milczenie albumu to powinna być twoja główna nauka! A gdy pojmiesz jej głębię, to wtedy zobaczysz wyraźnie to, w co niektórzy nie chcą nawet dziś wierzyć, że strona pięćdziesiąta szоста naszego albumu jest stroną taką samą jak strona czterdziesta dziewiąta czy pięćdziesiąta. Tak bracie. Te ulotne fotki, to czym się tak zachwyciłeś, ekscytowałeś, przejmowałeś, wzruszałeś, to w co wierzyłeś, to nie były wcale nowe fotki, to były kawałki, fragmenty pięknej, syntetycznej fotografii ze stron poprzednich, no, powiedz to sobie uczciwie – to było jedno i to samo zdjęcie, tyle, że postrzępione nieco, porwane, świadomie pocięte przez Wielkiego Krojczego, przez Demiurga Naszych Dni, przez Tego Co Wie Najlepiej. I gdzie się pchałeś ze swoim albumem, karle? Czyżbyś zapomniał, że w tym kraju robi się zdjęcia tylko z jednego aparatu...? Czekaaj, bracie, ja ci to jeszcze przypomnę!

Zdjęcia, ten mój przewodnik po losach, to moje światło w ciemności, zadrżały mi w rękach, wypadły na podłogę, rozsypały się ze strachu. Ten strach płynął ze mnie. Kończą się kpiny i wygoda, kończą się łatwe oceny, teraz zaczynają się lata, kiedy widziałem nie tylko przez zdjęcia w albumie, ale i własnymi oczami – sam nieraz pchałem się przed obiektyw. *Obiektywie, obiektywie, nie bij mnie dotkliwie!*

Czerwonym stałem się w sposób naturalny, jak nie uprawiane pole, które musi porosnąć chwastami. Co jednak kogo obchodzą chwasty? Esej, wywiad, wspomnienia, opowiadania, filmy, sztuki, wszystko, co się tylko da o jednym jedynym – jak zostałem chwastem, co przeżywałem, co się ze mną stało później. Najbardziej drapieżne – odsłonić twarz kata! Zneglizować jego duszę. Umiarkowane – zajrzeć katu w oczy. Ufryzowane – uczłowieczyć kata, zobaczyć jego duszne problemy, odczuć wir psychiczny służby dla sprawy. Ofiary są anonimowe. Kat rozdarł je na strzępy, połamał, wdeptał w ziemię, i tak zostały. Nikt się nad nimi nie pochylił. Nawóz historii zmieszany z gliną legł pod fabrykami i daczami – kto z tej gliny ponownie ulepi człowieka? Reporterka szwenda się ze staruchami, zagląda im miłośnie w oczy, zadaje podchwytliwe pytania – i pozwala im mówić. Kat za katem, im większym byłeś katem, tym większy będziesz miał pomnik. Wyrzeźbi cię Reporterka z marmuru, wyrzeźbi cię Reporterka z granitu, kapnie

złotem, przyda rubinów, i cóż z tego, że na końcu podpali lont i wylacisz pomniku w powietrze, rozsypiesz się w proch, przecież miałeś czas na swoją obronę, stałeś dumny i wyniosły, mogłeś o sobie opowiedzieć. Zawsze miałeś głos, od kiedy tylko stałeś się katem i nawet teraz, gdy jesteś na emeryturze, gdy jesteś katem honorowym, nawet teraz chcą ci słuchać, udzielają ci czasu, nadstawiają mikrofony, wyciągają uszy. A nachyl się ty z mikrofonem nad nawozem, pogrzeb w glinie, przyjrzyj się powyrywanych paznokciom, pogadaj z zakneblowanymi ustami, połóż rękę na ranach od rozpalonego żelaza. Nie chcesz? *Re-porter-porter za twe zbytki, idź do piekła, boś ty brzydki!*

Nie napiszę o tym, jak zostałem czerwonym i co było dalej. Niech starczy, że nim byłem, teraz już nie jestem. To najkrótsza opowieść, dłuższej nie potrzeba. Opowieść tego kraju to nie jest opowieść o czerwonych. Opowieść tego kraju to opowieść o tym, jak ludzie nie stawali się czerwonymi, nie opowieść o tym jak się stawali, nawet jeśli później im to miało. To jest opowieść najważniejsza.

Zawirowały fotografie w moim gabinecie, widziałem nieprzystojne sceny, fikających do góry nogami członków nobliwych prezydiów, gości honorowych na jeszcze bardziej honorowych trybunach, łąpiących się mojego żyrandola (którego, nota bene, nie posiadam), rozdziawione gęby namaszczonych zwykle twarze – wirowało to całe towarzysztwo z fotografii, póki nie odpadło od odbitek, zwinęło się z kurzem w kącie pokoju, wyfrunęło przez wywietrznik.

I miał w ręku ten swój album, niby ten sam, a jednak inny. (Pomyliłem się w poprzednim zdaniu i napisałem „miał” zamiast „miałem”. Ale może to jest słuszne? Może tak będzie lepiej: „on miał”... Niech tak zostanie.). On trzymał w ręku album i nie mógł go poznać. Taka sama okładka, suto zdobiona złocieniami i brązem, identyczny format stronic, nie zmienione podpisy pod zdjęciami: „Pochód”, „Akademia”, „Otwarcie”, „Wręczenie”, „Narada”, „Wizyta”... Idą, maszerują ludzie ze sztandarami, powiewają chustkami, wymachują rękami, wznoszą okrzyki na cześć tych, co na trybunie łaskawie się uśmiechają, jednak te sztandary jakby nie przez nich niesione, obok ludzie wznoszą hasła i nie wznoszą, raczej ktoś przykleił im okrzyki do ust i teraz odrzucają je od siebie, ze zbrzydzeniem, jak odrzuca się coś wstrętnego – żabę,

która niespodzianie wskoczy nam na dłoń. Co zdjęcie, tak to wygląda. Ci na trybunie, przy wstędze, za prezydialnym stołem, na lotnisku, udzielili swego łaskawego uśmiechu, on też sztuczny, zza niego pogarda i duma przezierają, arogancja i dusza właściciela wygląda, Pana i Władcy to oblicze. On wertował ten album, opowieść o Polsce prawdziwej, strona po stronie, zdjęcie po zdjęciu. Przyglądał się wszystkiemu uważnie. Widział jak odpadał od ludzi lakier ról urzędowo im przypisanych. Jest okres czujności, proszę bardzo, na plecach, twarzy, w oczach, uszach, wszędzie gdzie należy, mamy odpowiednie napisy: „Nie śpij, wróg czuwa”, „Wróg nigdy nie śpi”, „Bądź czujny!”. Zmieniamy napisy? Już się robi: „Odwilż”, „Partia z narodem”, „Socjalizm tak, wypaczenia – nie”. Skóra ludzka jest odporna, można jej używać jak tablicy ogłoszeniowej, wyklejać na rozmaity sposób, zgodnie z aktualną modą: „Pomożecie? Pomożemy!”. Trwały te wyklejanki bez końca. Wszystko było naskórkowe, najwyżej odparzenia się niektórym porobiły, plamy zostały, jednak tylko zewnętrzne, w głąb człowieka drogi to nie znajdowało. Owszem, były drgnienia serca, ponieważ człowiek nie może żyć bez nadziei, bez szczypty nadziei – więc czasem myślano, przez chwilę, moment, że może jednak, a nuż, że nawet diabeł może się zmienić... Ale zostawało tylko przybieranie barw ochronnych, potakiwanie kiedy tego żądano, klaskanie, kiedy liczone oklaski, milczenie, gdyż tak najdoskonalej wyrażał się entuzjazm. W albumie zdjęcia układają się w serie. Oboczną wobec barw ochronnych była seria kabaretowa. Życie jest happeningiem, życie to igrzyska, ważne co mamy, czego używamy, reszta to wyglup, zgrywa, o, popatrz, klaszczę, a ile w tym ironii, popatrz, potakuję, a ile w tym kpiny, popatrz, milczę, a ile w tym dowcipu! Głównie uciekano jednak do Kościoła, w wiarę, w moc z innego świata. Ta moc krzepła niczym przedmurze chrześcijaństwa, nie żywiła się już historią, symbolami dni minionych, rosła w duszach ludzkich, była dzisiejsza, z chwili naszej i zwrócona w przyszłość życia naszego. Uciekano także w nienawiść, cichą, zacieklą, skrytą, czającą się za węglem okazji. Uciekano w otwarty sprzeciw, w podjęcie rękawicy, której nikt nie rzucił, gdyż w tym kraju nie było miejsca na areny polityczne. Mówiono publicznie, działano jawnie, ludzie patrzyli – mało kto się przyłączał. Patrzone. Tacy to byli aniołowie! Nie jeden skrzydła do reszty podwinął pod siebie niczym kundel i gardłował o geopolityce, realizmie, reformowalności, że pań-

stwo jest państwem... Oj, biedni oni, biedni, nikt ich nie kochał, ani czerwony, gdyż po co mu tacy obojniacy, ani naród patrzący na nich jak na błaznów; na szczęście sami się kochali aż nadto, więc było im ciepło na duszy przez długie lata.

Nagle hyc, wyskakuje z albumu moje zdjęcie. Podpis jak trzeba: czerwony. Spod lakieru widzę wyziera szczątek duszy obojniaka. Więc taki właśnie, z legitymacją czerwonego, z rozchwianą duszą obojniaka, z rękami wyciągniętymi do mocy narodowej, zszedłem w lud zasięgając opinii. Tam złapał mnie fotograf. W Zambrowie, w podłym hoteliku. Spałem, ten bezlitośnie robił zdjęcia. Usłyszałem huk, zobaczyłem jasność. Kiedy opadałem w dół, w przestrzeń bez dna, jak to tylko we śnie jest możliwe – obudziłem się. Przez pięć, dziesięć, może dwadzieścia sekund byłem pewien, że wybuchła wojna, że już się stało to, co nieuchronne. Widziałem przecież obłe kształty rakiet „Pershing” i SS-20 jak z matematyczną dokładnością zbliżały się do siebie – jedna w drodze do Bonn, druga do Moskwy, trasą zaprojektowaną przez komputery, by całkiem przypadkowo, gdyż nie można zaplanować chwili naciśnięcia czerwonych guzików i tego, co to wywoła, zderzyć się właśnie nad Zambrowem. Z ciemności wyłonił się zarys szafy, hurgot pijacki za ścianą, nie ma wojny, to był tylko sen. Zapalić zbawcze światło, upewnić się, że nic się nie stało, strach jeszcze dławi. Stolik, radio, krzesło z niechlujnie przewieszonymi spodniami, przekręcić gałkę radia, muzyka dla tych, co pracują lub nie mogą spać. Nadal trzeba sprawdzać. Czy Zambrów leży na trasie Bonn-Moskwa? Zaraz, zaraz, na północ od Warszawy, po drodze to czy nie? Mapa. Myśl nie może się uwolnić od mapy, krąży wokół równoleżników i południków. Na trasie? Spiker podaje wiadomości. Strajk w Londynie, terroryści w Padwie zastrzelili, los zakładników w rękach amerykańskich, w Dominikanie kryzys rządowy, mieszkaniac Olsztyna znalazł poziomkę. Co z propozycją Gierka o rokowaniach? Już nieaktualna? Ależ nie! W gazecie informacja na pierwszej stronie: poparcie stolic europejskich dla inicjatywy konferencji pokojowej w Warszawie. Będą rozmowy. Odkładam gazetę, więc to na pewno był sen. Spokój, spokój, przecież nie ma się czego bać, to zły sen, sen z nadmiaru rozmów, sen z ciągłego gadania o wojnie, bez przerwy chrzanię tutaj o wojnie, męcę ludzi pytaniami. Gładka twarz sekretarza: a wy wierzycie, że będzie wojna? Ja, dlaczego ja, to pana pytam, pana zdanie jest ważne.

No, więc ja to wam mogę powiedzieć tyle, że my chcemy pokoju, my prowadzimy politykę odprężenia i współpracy. My – wy, znaczy kto, jak? Walka o pokój do ostatniej rakiety? W radiu porady domowe: podlewaj kwiaty, zamknij gaz, odkurz meble. Po co nam zbrojenia? W sukurs sekretarzowi idzie zbowid. Ani chwili bez zbrojeń, jaka gospodarka to wytrzyma? No, jaka, przecież nie nasza, to pewne, nie nasza. Utrwalał władzę ludową, zwalczał wrogów klasowych i reakcyjne podziemie. Nalewa starki, pijemy, zawsze na najtrudniejszych posterunkach, także w spółdzielczości (znane hasło: spółdzielco wybierz się sam!), renta, poczucie dobrze spełnionego obowiązku, teraz już tylko opowiada, jak wygrali drugą wojnę, o trupach kobiet i dzieci na szosie z Łodzi do Warszawy, przedszkolaki słuchają i płaczą, nie nawykłe. Uważne spojrzenie, skąd znam pana nazwisko, jednak nie, za młody. Och, teraz też byś chciał poznać moje nazwisko. Nadal walczysz z podziemiem, tropisz reakcję. Rosną nowe kadry związku utrwalaczy władzy ludowej, te przyszłe bankiety, te prelekcje z serii „polowanie na (L) lisa...”.

Grymas sekretarza, czytał w „Nowych Drogach”, że w wypadku uderzenia atomowego zginie z jednej strony sto milionów, i z drugiej też sto milionów, z jakiej strony, nas jest przecież tylko trzydzieści pięć milionów, no, z naszej strony, i wtedy Chiny, im wszystko jedno, sto milionów w tę czy w tamtą, czy my jesteśmy stroną, nigdy nie słyshałem, że jesteśmy stroną, że my i wojna, o tak, my i pokój. Zawsze Kreml, Biały Dom, Paryż, Bonn, Londyn, albo Wschód i Zachód. A Warszawa? Nie mogę zasnąć, za oknem ciemno, świt przychodzi o tej porze roku późno. Podekscytowana dyrektorka liceum. Na jaką raketę by wsiadła jak czarownica na miotle? Widzą ją jak krąży nad szkołą i nad miasteczkiem. Obsmiano raz miejscową inteligencję, jakże niesłusznie, jakże niesprawiedliwie, nie doceniono, nie zauważono, nie uwzględniono. Młodzież przecież chowają na patriotów, uczą historii tych ziem, kształtują charaktery. „Wychowanie dla pokoju”, „Nigdy więcej wojny”, uczniowie piszą, uczniowie czują, tak dochodzi się do matury, osiąga się dojrzałość, tutaj to szczególnie ważne, no, powiedzmy to sobie wyraźnie, tu była silna reakcja, podziemie buszowało. Wirują mi w oczach kartki zapisane równym pismem przez maturzystę Aleksandra, nie mogę sobie wyobrazić jego twarzy. Aleksander dojrzał: *Po zaledwie siedmiodniowej okupacji niemieckiej, na*

obszary Białostockiego wkroczyły oddziały Armii Czerwonej... W skład władz włączono miejscowych działaczy lewicowych i przedstawiciele ludności... Dzielono folwarki obszarnicze, klasztorne i przydzielano działki tym, co mieli mało ziemi, bądź wcale nie posiadali... Siódmego października 1939 roku rozpoczęła się kampania wyborcza... Zaczęło się ukazywać polskie pismo codzienne społeczno-polityczne i gospodarcze pt. „Sztandar Wolności”, ...Stabilizacja życia politycznego i gospodarczego na tych obszarach przerwana została w czerwcu 1941 r. najazdem Niemiec Hitlerowskich na ZSRR. Tak, nie mogę sobie wyobrazić twarzy Aleksandra.

Ale właściwie dlaczego? Pamiętam doskonale jak Malan opowiadał o referendum na tych ziemiach. Niemal sto procent opowiedziało się za przyłączeniem białostoczczyzny do Sowietów. Taka była wola ludu. Czemu jej nie uwzględniono? Kto właściwie przekreślił nadzieje mieszkańców, prostych chłopów, rzetelnych inteligentów? Żądamy przywrócenia białostoczczyzny do macierzy! Czy krasnoarmiejcy na darmo chodzili po domach z cukierkami, agitując za wrzuceniem kartki do urny? Kto zwróci im za zdarte zelówki, kto odda łyko armii czerwonej?! Malan wziął cukierek, już wtedy poszedł na lep. Zostało mu to na długie lata. Jak przestał wreszcie ssać karmelka, trafił do Pałacu. Ot, polski kabaret!

Dyrektor tańczy, order zbowidu, sztandar szkoły, izby pamięci, al, gl, ppr, podedworny klaszcze, jęgo zdjęcia, biurko, pióro, książki, albumy, pieczołowicie przechowywane, al, gl, ppr, zadowolona werblanowa, pamięć ojca, uczniowie budują strzelnicę, już jest, w czynie, z zaangażowania, klęczą – strzelają, leżą – strzelają, pełne bezpieczeństwo, rzucają granatami, to ci młodszy, z podstawówki, na strzelanie jeszcze za młodzi, niech se porzucają granatami, z całego województwa przyjeżdżają, taka strzelnica to rzadkość, w szkole ciasno, nie ma sali gimnastycznej, jednak komitet społeczny, dobrowolny podatek i jest strzelnica, korzyść i ruch, mięśnie pracują, wychowanie fizyczne i patriotyczne, „Gdy Ojczyzna da rozkaz”, razem, uczniowie idą parami po korytarzu, powoli, statecznie, pod okiem nauczyciela, przerwa, ciasno, nie wolno biegać, głośno rozmawiać, para za parą, upiornym wężem, czy tak właśnie śniło się Zbyszkowi, maturzyście, że co piąty Polak zginął, i on idzie w szeregu, w niekończącym się szeregu, ktoś odlicza, raz, dwa, trzy... na kogo wypadnie, to nie mój sen, to Zbyszka, więc nie wiem,

czy ten szereg to był wąż ze szkolnego korytarza. Zbyszka paraliżował głos równomiernie, nieustannie, odliczający, raz, dwa...

Zbawcze radio: „Mówi Warszawa”. Uciekają półsennie majaki. Podajemy wiadomości. Nie, nie! Wyłączyć, wyłączyć. Sylwetka Alicji, krzepka, zdecydowana, skanduje każde słowo, imperialiści, kapitaliści, zysk, monopole, ucisk, wyzysk, nędza w południowej Afryce, apartheid i bomba atomowa, gnębienie murzynów, oburzenie, postępowy świat, dumna nauczycielka z wuesenesu, uczennica – przyszła studentka, wiedza, właściwa postawa, obywatelskie rozeznanie, al, gl, ppr, Alicja na szafie, wymachuje rękami, grozi, zamykam oczy, widzę ją ciągle, maszerują murzyni, gnębeni, twarze zacięte, milczą i idą, gdzie, gdzie idą, uciekam, tam Alicja, mówi, bez przerwy mówi, wojna musi być, tego nas uczy historia, musi być, musi, bez przerwy mówi uczennica Alicja, właściwa wiedza i postawa, uciekam, skręcam w boczną uliczkę, na oślep, byle dalej, byle szybciej, kończy się chodnik, dół, skok, spadam, pode mną bomba A. „A” rozciągnięte do granic obrzydliwości w uśmiechu, przebudzenie, jednak ocknąłem się w porę, jaki to optymistyczny widok: krzesło, stolik, radio, lampka. Skąd znał moje nazwisko? Szpakowaty, wylewne gesty gospodarza, łagodny uśmiech, do twarzy mu w milicyjnym mundurze, a może chodził po cywilnemu, w skórzanym płaszczu z kaburą u pasa, urząd bezpieczeństwa, mój ojciec, tak, mój ojciec, informacja wojskowa czy inna bezpieka, to było to samo, musieli się gdzieś spotykać, wspólne wakacje, czy był z nimi ten kanciasty o niewprawnej wymowie, teraz „postawiony na odcinku kultury”, szef kin, wtedy zetwuem, trzy razy tak, tak bez przerwy, samo tak, reakcja zabijała; ścigaliśmy, strzelaliśmy w obronie własnej, trupy tych od Wiarusa i innych wozili do ich rodzinnych wsi, dla przestrogi, żeby ludzie przestali się bać, może razem wozili, ten przystojny, ten kanciasty i mój ojciec?, na akademie chodzą kombataneci według rocznic, szeregowy z września, aelowiec, zetwuemowiec, nauczyciel ukierunkowuje, al, gl, ppr, młodzież słucha, nie pyta, chyba, że o ciekawostki, jak robili zasadzki, dlaczego nie było od razu tyle wojska, żeby nikt nie szumiał, dlaczego zabijano naszych. Jakich naszych? No, naszych. Kto zabijał? Też nasi. Nasi zabijali naszych, acha. Wjazd do wsi, nasi wiozą naszego, na furmance, z gołymi stopami, w przetartych spodniach, okryty stęchłym od wilgoci płaszczem, za wozem biegnie, może nie za wozem, tak, na pewno, to

zajeżdża ciężarówka, nikt za nią nie biegnie, chłopci znikają w chałupach, zza firanek zerkają baby, przy samochodzie dzieci, oglądają koła, zerkają do szoferki, żołnierz kręci kierownicą, przekręca kluczyk, do środka, wszystkiego podotykać, światełka, migacze, z tyłu wynoszą trupa, gdzie mieszkają bednarze, niecierpliwe gesty dzieci, tam, tam, nie odrywać od zabawy, skąd ta cisza, idą, mój ojciec, kanciasty, przystojniak, niosą trupa, obejście, cisza, łkanie matki, zastygła twarz chłopca, co mówią, co mówią, ojciec nie powie, kanciasty nie powie, przystojniak nie powie, jak się dowiedzieć, co mówili, może bez słowa, kładą ciało, patrzą, odchodzą, ciężarówka odjeżdża, koniec, dzieci długo patrzą na drogę, koniec zabawy, teraz dzieci płaczą, te młodsze, wiele lat później, na spotkaniach, „nie nawykłe”, płaczą bo Niemcy zabijali naszych, płaczą, bo Niemcy zabijali kobiety i dzieci, płaczą, ale już nie, już pytają, jak wypędzono wrogów, jak zaczęto się na reakcję, jak przepędzono tych, co nie chcieli polski ludowej, pytają, pytają, uśmiechają, dobra zasadzka, tratatata seria, padł człowiek, zły człowiek, i drugi, i następny, tratatata, ukryć, dobrze się ukryć i seria, seria, już na podwórku, partyzant i Niemiec, żołnierz i wróg, słuchają, będą się bawić, jaś, głupi jaś, on będzie przegranym, wrogiem, tratatata, milicja, otwierać, tratatata, jest głupi jaś, będzie zabawa, głupi jaś olbrzymieje, wypełnia cały pokój, czy to człowiek, nie ma rąk, nóg, twarzy, czy to człowiek, nie, kraj, jak wygląda kraj w pokoju, jak wygląda kraj obok tapczanu, kraj przy stoliku, czy kraj ma głowę, nafta, Iran, desant, wojna, była o arcyksięcia, była o Gdańsk, będzie o naftę, o zakładników będzie wojna, gdzie jest głupi jaś, kto będzie głupim jasiem, wschód, zachód, imperializm, kolonializm, socjalizm, gdzie głupi jaś, rakiety na głupiego jasia, mapa, znowu mapa, pokazywali w telewizji, czterdzieści dziewięć województw, na każde dwie rakiety, cel-pal, cel-pal, głupi jaś, wschód zachód, cel pal, wschód zachód – a Warszawa? W radiu koncert życzeń. Jakie mamy życzenia. Sto lat, zdrowia, szczęścia, udanych zakupów, pociechy z dzieci. Gdzie życzenia polityczne, kto je ma, chcemy, aby było to i to, popieramy, sprzeciwiamy się temu i temu, nie ma, brak, to nie w koncercie życzeń, w wiadomościach, korespondencja z Moskwy, listy od obywateli o niegrzecznej ekspedientce, napominamy, niech będzie grzeczna!, i niech nie sprzedaje rakiet byle komu, pershingi tylko w pewexie, SS-20 za ruble transferowe, ekspedientka precz od guzika!, kto naciśnie, gdzie jest przy-

cisk, wschód zachód, gdzie przycisk, nie chcemy wojny, nie mamy przycisku, po co rozbrojenie, my nie mamy przycisku, wystarczy, korespondencja z Moskwy, jak wygląda przycisk, czy rzeczywiście jest czerwony, czy leży w kasie pancерnej, czy na biurku, na czym biurku, my nie mamy, korespondencja z Moskwy, nie mamy przycisku, ale popieramy, ktoś przycisnie my popieramy, no nie, nie jak ktoś, ale jak przycisnie, ach tak, no, popieramy, nikt nas nie pyta o przycięnięcie – popieramy, nic nie wiemy – popieramy, no tak, polityka, geopolityka, położenia, założenie. Koniec. Aula, zielone sukno, godło, dźwięki fanfar, wchodzi sekretarz, dyrektorka, zbowiedowcy, redaktor, mówią, że pierwszego września, że hitler, faszyzm, ludobójstwo, ruch oporu, al, gl, ppr, kościuszkowcy, lenino, berlin, sztandar zatknięty, zwycięstwo, ludowładztwo, fabryki dla robotników, ziemia dla chłopów, oświata dla mas, postęp, wolność, sprawiedliwość, maciek i boleek grają w okręty, alicja zasłuchana, дума na twarzy, nasi, nasi, nasi, wróg, zacisnąć pasa, drobne potknięcia, ale zimna wojna, wróg, stonka na spadochronach, czujność, trochę błędów, nieuniknione – naprawione, postęp, postęp, nowa polityka, partia, gierki, słowa odbijają się o ściany, godło, uszy uczniów, trach, wylatują przez okno, nie wszystkie, niektóre zostają, alicja dumna, zasłuchana, józef, formułki, na pamięć, egzamin, stopień, na pamięć, nasi i oni, nasi i oni, łyżki w oczach, kombataneci, wczoraj w walce – dziś w pracy, nasi, młodzież w przyszłości, formułki, gra w okręty, zasłuchanie, wojtek mruga do zbyszka, ojciec mówił, oni wiedzą, mruga, słowa przez okno, trach, nauczycielka dziękuje, wzruszenie, pomożecie – pomożemy, godnie kontynuować dzieło ojców, nie zawiodą, studia, postawa, odpowiedzialność, patriotyzm, partia, redaktor notuje, dojrzałość, samodzielność, sądy osobiste, maturzyści, zdany egzamin, teraz do pracy, dla ojczyzny, dla siebie, formułki, cisza, nie ma pytań, po co poglądy, popieramy, oklaski, wstają z miejsc, euforia, słowa za okna, goście za okna, uczniowie do ławek, wczoraj dziś zawsze z partią, druga polska. Świt? Maturzyści, gromada maturzystów, mówią, jeden przez drugiego, przekrzykują się wojna, wojna, wojna, czy człowiek może się czuć bezpieczny, radio wojna, telewizja wojna, film wojna, książka wojna, wychowanie dla pokoju, plastikowe czołgi, metalowe rakiety, kolejno odlicz, co piątą, wszyscy się zbroją, bo chcą być silni, amerykanie chcą pokoju, chcą być silni, zbrojenia receptą na pokój, wszyscy silni, pełne bezpieczeń-

stwo, iran, afganistan, pomoc, za dużo pomocy, jedni udzielą i drudzy udzielą, trach, o jedną pomoc za dużo, iran, afganistan, interesy, słoń a sprawa polska, nafta a polska, trach, lęk, dożyć do studiów, dożyć do pierwszej pracy, jeszcze parę lat, dożyć, przeżyć, trach, strach, strach trach, wietnam strach, afganistan strach, chiny strach, iran strach, ludzkość, co z ludzkością, nie wschód zachód, nie rosja ameryka, nie niemcy polska, nie polska ludzkość, wojna z ludzkością, nie mamy przycisku, mamy lęk, uczyć się, może nie warto, lęk, izba pamięci, kombatanci, same zwycięstwa jak huragan, od lenino do berlina, wschód, wschód, wschód, zwycięstwo, zwycięstwo, zwycięstwo. Co to, poranna wizyta? Dyrektorka, maturzyści, zbawidowcy, sekretarz, rozsądek zwycięży, wojna to zagłada białej rasy, chińczycy, pięć lat, dziesięć lat, będą szli, dojdą, więc rozsądek, wiara w rozsądek, ale kto ma przycisk, kto rozsądek, rozsądek a interesy, więc wiara, chociaż wiadomości, nie te gazetowe, ale od kolegi dziennikarza, prywatnie, niepokoją, jak prowadzić szkołę, więc wiara, gazeta pokój, radio pokój, telewizja pokój, tylko przecieki, wrogie rozgłoszenie, prywatnie, komu wierzyć, chcemy pokoju czy nie chcemy, odprężenie czy agresja, pokój czy wojna, wojtek – nic nie wiemy, dyrektorka – prywatnie od kolegi, zbawidowiec – wolna europa podała, sekretarz – podobno jakiś ekspert amerykański, a dziennik telewizyjny, a trybuna ludu, a express wieczorny, ach, wychowanie dla pokoju, wojska tu wojska tam, nic nie wiemy, wojna o naftę, wojna o afganistan, wojna o kambodżę, nic nie wiemy, wojna o arcyksięcia – wiemy, wojna o gdańsk – wiemy, teraz, teraz nie wiemy, nie mamy przycisku, mamy lęk, wschód zachód, biały dom, kreml, paryż, bonn, a warszawa, dlaczego nie ma warszawy, nie mamy przycisku, ale chcemy chociaż wiedzieć, wiedzieć, dlaczego, kto, dlaczego, kto i dlaczego, kto, chociaż wiedzieć, chociaż wiedzieć kto, a nie „Pershing” i SS-20, i jasność, i koniec, i nic więcej.

I naprawdę proszę mi wierzyć (kto bez winy, niech mi odda sto złotych), nie wiedziałem nic wówczas o niebezpieczeństwie, jakie zawisło nad pershingami. Bodajże, zresztą, jeszcze ich wtedy nie było? A ta tłusta szorowała przez płot zawzięcie! Uch! Czuję się tak, że sam bym z nią szorował. Wtedy.

Karabin nie wystrzelił, słowo zapanowało nad krajem. Odłóżmy zdjęcia na bok, teraz liczą się tylko dźwięki. W krainie milczenia słowo ma moc dynamitu, prędkość huraganu, nimb świętości. Słowo w tym kraju wschodziło latami. Ludzie jak trawy pod naporem wiatru gięli się ku ziemi, obracali tam, gdzie ich zawiało, mówili tylko dźwiękiem, jaki niósł wiatr. Nadworny fotograf lubił robić zdjęcia łąk, soczycie zielonych, barwnych kwiatami – i biegali na wyścigi różni Mietkowie – Teodorkowie, zaczajali się pod krzakiem, byle tylko uchwycić obiektywem ten moment, kiedy zieleń nabiera soczystości nad soczystościami, kiedy kwiaty barwią się nad barwami. I barwili się jak pawie różni Danielkowie. Tak było. I popatrz jak dziwnie. Te kwiaty wielobarwne, motyle naszej rzeczywistości, tkwiły w łące szarpanej wichrem dla potrzeb fotografii jedynie, bez korzeni żadnych, wetknięte tam, gdzie akurat pasowało nadwornemu albumiście, a wichry ich nie poniosły; trawy zaś – choć mocno ziemi się trzymające, wgrzyzione w nią korzeniami i korzeniami korzeni – z ledwością, z całym natężeniem sił walczyły o byt na łące, nieraz kępkami ulatywały porwane w knieję nieprzebytą, a kwiaty ani drgnęły. Omiatał je ten wichor miłośniczo, pieścił, w oczy zaglądał, czy pszczołkę przysłać pytał. Kwiaty śpiewały niczym ptaki złotousto, tokowały, obnosiły się jak pawie, o, patrz! jak dumnie kroczyły po łące. Trawy gięły pokornie karki i milczały. Milczenie rosło latami. Nagle, milczenie tak zgęstniało, że zdało się, iż nad łąkę chmura nadeszła, co słońce najmiłościwsze zakryła. Przeciwno czemu milczą ci frustraci, zapytał wówczas Janusz, ironista z epoki dynamicznej stagnacji. Janusz znał język korzeni, czuł spletaną mowę ukrytą w ciemności, i dlatego spytał tak z głupia frant. Niestety, frantowie byli naprawdę. Kazali dorobić trawie usta, kazali dosztukować jej dłonie. Nie wystarczyło już gwizdanie wraz z wiatrem, kwiaty zachęcały trawy do mówienia. To nic, przekonywały, że mowa wasza chropowata i daleka od naszej doskonałości, to nic, ważne byście mówili własnymi głosami, klaskali własnymi dłońmi, jak nas kochacie, jak bardzo nas kochacie. Rozległ się wówczas, tu i ówdzie głosik nieśmiały, chwalczy, zapiszczała laurka, zaskrzeczał entuzjazm. Taki M. na przykład, o, ten był mistrzem skrzeczenia! Podnosił rozmodlone oczy ku górze, kącikami uszu sprawdzał czy wszyscy wpatrują się w jego świętość, moralność, czystość, i gdy był już pewien swego, wówczas chyłkiem, ukradkiem, lewą nogą schowaną pod sto-

łem puszczał skrzek, miłosny skrzek do czerwonego. Taki wariat, co to świetnie wie, gdzie są konfitury! Wielu było takich wariatów. A., ko-chany, esteta klasyczny, W., pijane dziecko szczęścia we mgle, J., filozof najlepszej szkoły i najgorszego charakteru. Przyznać jednak trzeba, że nikt z nich nie drapował się w szaty świętego, jak robił to M. Trawa mówiła czasem ludzkim głosem. Każdy taki skrzek odnotowywano skrętnie (skrzęknie?) w pewnym piśmie. Z okna mojego pokoju wi-dać fragment neonu „...TYKA”. Dlaczego ja, pytam. Dlaczego ja? To wy jesteście k! Och, po co pytać nadaremno. Wiadomo, oni zawsze wskażą palcem, kogoś innego wytkną, takie to cwaniutkie, milutkie, ulubieńcy dworu i salonów, pieszczoszki dam. Ale co tam gadać o gni-dach (już dawno opisane, jak należy przyszpilone motylki barwne a cuchnące z oślej łączki socjalizmu. Siedźcie se w formalinie!). Prze-ważnie jednak trawa milczała. Kto zaś przyłożył ucho do ziemi, mógł usłyszeć pomruk jakowyś, odgłos dalekiej burzy; z szumu tego słowa pojedyncze dawały się wydzielić. Korzenie gadały! Milczenie trawy, gadulstwo korzeni obraz dopiero jeden czyniły. Rosło milczenie nar-brzmiało słowami, ponad kraj rosło, ponad ludzi, ponad wyobrażenie człowieka.

Mam w albumie zdjęcie Karabinu wymierzonego w Słowo. Sło-wo jest wielkie, jak wielkie było milczenie, z którego wyrosło. Na na-stępnym zdjęciu widzę jak ktoś odnosi karabin do magazynu, szep-cząc tajemnie na boki, iż nie można było wystrzelić, ponieważ nikt nie wiedział, w którą stronę mierzy celownik. Na scenie zostało więc samo słowo. Karabin poszedł do naprawy. Na stronach osiemdziesiątej i osiemdziesiątej pierwszej mojego albumu króluje słowo. Odłożyłem album na półkę i pojechałem pod Warszawę. Tam, gdzie w pogrudnio-wej izolacji gorzkniej frustracji, ci, którzy przegrali. Spotkałem Rysia, pisarza, który był bardzo przejęty, gdyż czerwony rzucił się nauce do gardła. Pisarz ostatnio broni nauki; od czasu, kiedy postanowił dożyć roku dwutysięcznego stał się bardzo solenny i profesorski. To chodzą-ca życzliwość, co najwyżej bywa przejęty – obrażony nigdy. Chodzi sobie w tej masce życzliwości totalnej, chodzi, poskrobałem w maskę, popukałem, nic, cisza, wyzyskałem niecznie moment nieuwagi, wyko-rzystałem chwilę słabości. Przy siatce mierzy rakietą w piłeczkę, smecz mu się zamarzył, to ja wtedy, a w debla graliśmy, z drugiej strony siatki Tomek i Wojtek, już się szykują, jak tego smecza odparować, a ja,

nie bacząc na wynik, że partię przegrać możemy – ach, przegrać raz kiedyś tę partię, partyjkę, czy nie mogłoby się tak narodowi trafić, no, postawić tę partię, partyjkę w ruletkę w Monte Carlo, na numer jakiś postawić całą partię, i przegrać! To by było dopiero, no, nie, wiadomo jak by się skończyło, rien ne va plus, kulka się toczy, nieuchronnie na naszym numerze spoczywa, przykleiła się czy co, no tak! główna wygrana, bank rozbity, i krzycz, ile chcesz, że to oszustwo, granda jakiej świat nie widział, że kulka przyklejona, kto by na twój krzyk zwracał uwagę, nie czas żałować graczy, gdy płoną szulernie, no, tak czy siak, wygrana nasza, czyli lepiej nie stawiać tej partii, partyjki, gdyż bank rozbity, główna wygrana za progiem, partia jeszcze większa, jeszcze szlachetniejsza, jeszcze bardziej dla człowieka i z człowiekiem, jak to się wydaje już niemal niemożliwe, absolut partii nieledwie, szczęście największe ludzkości, już za progiem, naszą główną wygraną, w nas, w domu każdym, w kraju całym, więc lepiej nie ryzykować, ja zaryzykowałem, trudno, przegramy partię to przegramy – nie bacząc na nic, Pisarz do smeczka się przymierzył, ja łaps za maskę, uchylilem ją nieco, podważyłem, paznokcie do krwi zdarłem, pod maską życzliwości ujrzałem lęk śmiertelny, porażenie widmem zagłady nieuchronnej, zagłady krążącej nad światem i tylko patrzeć, kiedy spadłej niczym jastrzęb na zająca, tak to było ze mną i z Pisarzem, później już nie grał ze mną w tenisa i nie miałem szans najmniejszych, żeby i pod tę drugą maskę zerknąć, ile ich tam, ciekawe, ile i jakie.

Maski noszono jak ordery.

Chyba po raz pierwszy w życiu maski zobaczyłem w marcu. Owszem, wiedziałem, że ludzie używają masek, och, mogłem się o tym przekonać już jako dziecko, szkoła była niezłym terenem obserwacji, literatura też nie pozostawiała cienia złudzeń. Ale były to maski swojskie, pocziwe, w pewnym sensie rzetelne i uprawnione, takie dobrotliwe, ot, ktoś udawał dobrego kumpla, grał rolę ojca, ukrywał wstydliwie swoje drobne słabostki. Tymczasem w marcu, ludzie odrzucili maski pocziwości i założyli maski z kłami, hieny krążyły po Polsce, wymachując tomahawkami. Nie bawiła mnie zabawa w Indian, przyznam jednak, że nie wiedziałem jak się zachować. Zwłaszcza, że odnosiłem wrażenie, iż skalpy są prawdziwe. Postanowiłem być widzem. Nie wymachiwałem toporkiem, ani nie strzelałem z łuku, choć różną broń wciskano mi w ręce; byłem człowiekiem zaufania

i gorąco zapraszano mnie do szeregu myśliwych. Zwierzyna łowna wystrzeżała się mnie, ja nie dążyłem do zbliżenia. Tak oto, między młotem partii a kowadłem humanizmu starałem się zachować cnotę. Gdy dzisiaj oglądam stronę sześćdziesiątą ósmą mojego albumu widzę wyraźnie jak złudne to były nadzieje. Obiektyw bezlitośnie wylapał wszystkie moje pryszcze, wiem, że mało kto w to uwierzy, ale nie byłem wówczas przystojnym chłopcem, za którym oglądały się kobiety na ulicach. Więc miałem pryszcze. Siedziałem w każdej sali, w której krzyczano o czystości rasowej, i siedziałem w sali, w której uchwalono strajk. Głosowałem za strajkiem, nie krzyczałem o rasie, ale też nie wziąłem udziału w strajku i byłem czerwony. Taki w miarę porządny, wystraszony gnojek. Moje sumienie obciążają wszyscy ludzie, którzy wówczas wyemigrowali, wszyscy wyrzuceni z pracy czy ze studiów, wszyscy, którzy poszli siedzieć w kryminale, wszyscy zniesławieni i opluci. Nie czuję jednak wyrzutów sumienia i nie będę udawał teraz herosa, cierpiącego za miliony. Sumienie uspokoiłem łatwo legitymacją wydziału filozofii oj, pogonił mnie za to niejedyn patrol! (A z drugiej strony, czy dzisiaj, 25 stycznia 1983 r., nie uznamy, że była to nader pocziwa milicja?) Legitymacją więc (w istocie fałszywą, ponieważ byłem studentem Instytutu Nauk Politycznych na Wydziale Filozofii – stąd legitymacja; INP oznaczał w sensie politycznym i ideologicznym coś diametralnie innego niż Wydział Filozofii; został INP powołany, aby Wydział Filozofii zniszczyć), legitymacją zatem, czerwonym winem i pokazywaniem czystych rąk, w których nie miałem ani toporka ani skalpu (à propos, niedawno Wice pokazywał publicznie, że ma czyste ręce, spowodowało to takie wzburzenie robotników, którym nie starczało przydziałowego mydła na zmycie brudów, iż w efekcie rząd ludowy, dla zapobieżenia zamieszkom, zniósł reglamentację mydła), tymi więc atrybutami uspokoiłem sumienie. Skoro wówczas sumienie miałem spokojne, dlaczego dzisiaj miałbym rozdrapywać rany, fakt jest faktem i nie ma co fałszować historii – i tak to zrobią inni. Moja czerwień była już dość podejrzanego gatunku, ale podtrzymywały ją kobiety, a także przyjaciele. Kursowałem od kobiet bez jakichkolwiek poglądów politycznych do kobiet czerwonych – wybór między troską o dobra materialne (tak, głupi, interpretowałem niechęć do polityki) a troską o kraj (o to posądzić czerwonych, Boże!) był dla mnie dość oczywisty. Choć prawdą mówiąc nie był to żaden wybór,

tylko właśnie brak wyboru, prosta kontynuacja dotychczasowej postawy. Któregoś dnia zdobyłem się na heroiczny czyn i spotkałem się ze wszystkimi dziewczynami, niezależnie od stadium naszego związku. Przerzucały się argumentami, bon motami, złośliwościami, naiwnie sądziłem, że jestem tego powodem. Rachunek sumienia po tym spotkaniu powiedział mi, że Ania nie jest dla mnie ponieważ jest czerwona, Grażyna dlatego, że jest zbyt obrotna, Magda prostacka, Ewa na zbyt małżeńska. Tak zostałem tylko z Efą. A może zostałem z Efą dlatego, że była mężatką, miała swój dom, spotykaliśmy się nie częściej niż dwa, trzy razy w miesiącu? Nie, nie, kłamię, a tego nie chcę! Na pewno nie powiem wszystkiego, będę unikał wielu odpowiedzi, wymigiwał się, przeslizgiwał, robił esy-floresy, ale jedno jest pewne – kłamstwa tutaj nie było i nie będzie. Tego możesz być pewny, zacny Czytelniku. Umość się w fotelu, popraw okulary na nosie i czytaj spokojnie dalej! Efa to moja wielka miłość. Należę wprawdzie do tych szczęśliwców, którzy przeżyli kilka wielkich miłości, a i nie tracę nadziei na przyszłość, jednak Efa nawet na tym tle zajmuje miejsce całkiem wyjątkowe. I przecież właśnie dlatego ją wybrałem. Może kiedyś napiszę pamiętnik miłosny, niech pismo „Rzeczywistość” i także kluby oraz stowarzyszenie nie tracą nadziei – dostarczę im wówczas nader pikantny serial o miłościach prawdziwego Polaka (świadectwo chrztu do wglądu!) z różnymi rasami i typami fizjonomicznymi, genetycznymi, regionalnymi, politycznymi, ideologicznymi, fizjologicznymi i gastronomicznymi. Ot, taki miłosny Grunwald! Ale to kiedyś, teraz nie będę zanudzał nieistotnymi szczegółami, ważne jest bowiem tylko to, że dzięki Efie, dziewczynie wspaniałej, wrażliwej, delikatnej i całkiem apolitycznej, oddzieliłem wreszcie łóżko od trybuny, dupę od prezydium, uczucie od ideologii. O ile jeszcze nie tak dawno temu, jeżeli dziewczyna nie była czerwona to nie interesowały mnie jej piwne oczy, to teraz nawet piwne oczy nie mogły mi przesłonić czerwoności, a ta – na razie u dziewczyn – działała na mnie wybitnie odstręczająco. To było pierwsze nakłucie mojego pancerza głupoty. Maską została nietknięta. Z obawą zauważyłem jednak, że nie wystarczy noszenie maski, każdy był uważnie obserwowany, czy mocno zanurzały w padlinie wroga. Co to, nie chcesz jeść padliny, bracie, nie smakuje ci nerek z syjonisty, mózdzek inteligencika razi twój zmysł estetyczny, czyżbyś, braciszku, nie był z naszego plemienia, czyżbyś, co

strach powiedzieć, nie był wypróbowanym, aktywnym, zaangażowanym ludożercą?! O, strach było wówczas udawać niestrawność, założyć głodówkę. W czasach obżarstwa nigdy nie wiesz, kiedy nałożą cię na talerz. Schroniłem się do wojska, mówiąc ściślej – zaproponowano mi takie schronienie na miesiąc. W jednostce ostrzyżono nas, zabrano cywilne ciuchy, odebrano dowody osobiste – zostawiono jedynie maski, które tak się zrosły z naszymi twarzami, iż nie rozpoznałbyś, gdzie kończy się skóra, zaczyna plastik. Którejś nocy wyrwano nas brutalnie ze snu, zebrano herosów paktu warszawskiego na placu apelowym, z plecakami, bronią, w hełmach, podkutych butach i poinformowano o rozpoczęciu pomocy dla Czechosłowacji na gorącą prośbę jej mieszkańców. Nad nami trwał ciągły huk samolotów transportowych, lecących tak wysoko, że nikt ich nigdy nie dostrzegł – bez wątplenia jednak były słyszalne i pomyślałem wówczas, iż nie jest to papierowy tygrys. Z drugiej strony jest faktem, że huk mógłby być najtańszym sposobem utrzymania przyjaźni w obozie, może w ramach specjalizacji i dalszego rozwoju RWPG-ie wytwarzano gdzieś w tajnym Magadanie podniebną powłokę huku? Nie dorosłem jednak jeszcze do okrzyku „król jest nagi”, Orwell był dla mnie owocem zakazanym niczym jabłko w raj, poza tym nie byłem w raj, tylko na poligonie. Jabłek tam nie było. Założono nam maski bojowe. Nadal były w nich kły, hieni urok nie dał się ukryć, dodano sarmackości i chwactwa. Politruk opowiedział jak to pepiczki walczyły ze szwabami, taka tam partyzantka była – mówił – że raz Niemcy wypierali partyzantów z lasu, a raz partyzanci Niemców, wojowali i wojowali bez końca, któregoś dnia gajowy się zdenerwował i wyrzucił jednych i drugich z lasu. Śmiechom i okrzykiem nie było końca*. Maski czuły się znakomicie, niektóre wręcz rwały się na ten szlak chwały i awansów. Karol od pamiętnego apelu spał z karabinem zamiast poduszki pod głową, nie zrobił wprawdzie kariery, jaką zamarzył, ale ponieważ był swój, zaufany i seplenił odkomenderowano go do telewizji. Ujrzałem go w programie „Czarne okulary”, kiedy apelował do społeczeństwa o noszenie rogiatywek i dokarmianie wron. Na jego naramiennikach widniały czerwone gwiazdy, zbliżały się święta i kolędnik był na czasie. Jako kolędnik z ludu odwiedzał przede wszystkim kopalnie i stocznie, tak-

* Por. stenogram z obrad Rady Najwyższej ZSSR w październiku 1939 r.

że inne fabryki. Ale to było wiele lat później. Na razie Karol poprawił troczi u kalesonów ogólnowojskowych i szperał gwałtownie po szafce w poszukiwaniu buławy marszałkowskiej. Czechosłowacja pojechała do Jałty na wypoczynek po ciężkiej chorobie, mnie zostały umartwienia z własnym sumieniem. Znowu stchórzyłem i postanowiłem przeczekać, nie być ani po jednej, ani po drugiej stronie. Nie pchałem się do czołgu, jadącego nad Wełtawę, nie połamane moje bagnetu na placu apelowym. Zamknąłem się w magazynku broni i hodowałem koty. Klucze od magazynku powierzył mi Zdzisiek, kapral służby czynnej, w dowód zaufania i litości, gdyż ten twardy chłopak z wioski płockiej, litował się nad wychudzonymi studentami. Zdziśka wcielono do Pragi, zwierzył mi się wówczas ze swoich niechęci i lęków, w testamencie przekazał klucze. W magazynku żyłem sobie spokojnie, jak u Pana Boga w arsenale, jeżeli nie brać pod uwagę kota, który miał skłonności armijne (syn pułku czy co?) i bez przerwy repetował karabiny, żądał amunicji, chciał strzelać do ptaków przysiadłych na pobliskich dachach. Prawdopodobnie mieszkałbym sobie w tym magazynku do tej pory, nie wiedząc wcale, że jedna bratnia pomoc już dawno zwyciężyła, druga właśnie bohatercko zmagają się z wrogiem, ba!, że wojennym fortem godnym Paska zdławiliśmy w Polsce kontrrewolucję i zapewniłmy ludziom spokój i dostatek, więc mieszkałbym tam sobie nadal, gdyby nie nagła ekspedycja karna w postaci jednego majora i jednego sierżanta (podaję te dane bez obawy o odpowiedzialność karną za zdradę tajemnicy państwowej, ponieważ mój konsultant prawny, Jacek, objaśnił mi, iż podanie, że w armii polskiej znajduje się jeden major i jeden sierżant, stanowi właściwie dezinformację i jako takie, osłaniające pakt warszawski przed penetracją CIA, zasługuje na order, nie na więzienie), wzmiankowani już major i sierżant zabrali mi klucze, przy okazji także pasek, sznurowadła, żyłkę, inne ostre przedmioty i zmienili miejsce mojego pobytu. Kot dostał awans na brata pułku, co dodatkowo utwierdziło mnie w przekonaniu, iż jego donosowi zawdzięczam swoje obecne żalosne położenie w cywilu. Nie wiem czy już któryś z filozofów zauważył wpływ odebrania człowiekowi sznurowadeł na jego myślenie polityczne, mam nadzieję, że jestem pierwszym filozofem, który to dostrzegł. Z przekonania tego wywodzę swoją szkołę filozoficzną, zapisy moich monologów i dialogów zostaną skrętnie wydane przez wiernego

uczni. Tymczasem narodowi musi starczyć kilka spostrzeżeń i refleksji. Otóż, brak sznurowadeł spowodował, że zacząłem poszukiwać czegoś zastępczego. Człowiek tak niewiele posiada w sobie rezerw! Wszystkie części ciała miałem mocno zużyte i z żadnej nie mogłem sobie skrócić sznurówki. Pogrzebałem z rozpaczy w głowie i tam, ku własnemu zdumieniu, odkryłem niewykorzystane wielkie obszary mózgu. Zdumiony stanąłem przed zagadką ciała, bałem się powiedzieć o tym komukolwiek, zwierzyć się, kryłem tę tajemnicę nawet przed sobą samym, jakbym sądził, że to coś wstydlwego, moja ułomność. Dopiero po latach, na tajnych kompletach, dowiedziałem się, że to właściwość wszystkich ludzi. Wielki ciężar spadł mi z serca. Wówczas zaś, nie wiedząc, że mam do czynienia z prawidłowością natury, podniosłem swoje grzeszne ramię na boskie rozporządzenia i usiłowałem z mózgu skrócić sznurowadła. Nic mi z tego nie wyszło, nigdy prawdę mówiąc nie celowałem w pracach ręcznych, w szkole, pamiętam, miałem z tego pałę, do następnych klas byłem przepuszczany tylko dzięki mocnym dwójom z pozostałych przedmiotów – taki uśmiech fortuny dla debila. Nie skróciłem więc sznurówek, ale wywołałem dużo zamieszania w swojej głowie. I jak to zwykle bywa przy okazji mątu i łowienia ryb w brudnej wodzie, która płynie nie na nasze młyny, zamigotała mi przed oczyma przynęta imperializmu, a ja, biedny, zapomniałem już, że tkwi ona na krwawym haczyku. Zacząłem myśleć. O polityce również, to nie mogło zakończyć się niczym dobrym. Nakłuto mój pancerz głupoty po raz drugi; że była to poważna wyrwa miałem przekonać się już niedługo. Wróg ostrzył sobie pazury, żeby zabrać Gdańsk i Pomorze Polsce i czekał na sposobny moment, tymczasem rozmiękczał mój kręgosłup.

Maski z kłami nie nosiłem nigdy. Maskę z imitacją kłów odwiesiłem, już rozmiękczony, w szatni politycznej, zamieszanie było wówczas wielkie, tylu tłoczących się i krzyczących, iż mieli inne numerki i całkiem inne okrycia, że szatniarz nie zwrócił na mnie uwagi. O!, interesująca była wówczas moda! Pewien profesor krzyczał na cały głos, że szatniarz chyba zwariował, czemu mu daje smalec, kiedy wszyscy wiedzą, iż on, profesor, przyszedł na obrady w garsonce, i jak teraz wróci do domu, z gołym tyłkiem, tyle, że posmarowanym tłuszczem?! Odrzucano ze wstrętem szatniarzowi barchanowe majtki, żądano nylonów i batystów, jacyś sybaryci wołali o złoty jedwab. Prawdziwi Polacy zgorzknienie-

li, schronili się do kieleckich lasów i jedli korzonki. Pod siermięgami noszono już barwne kontusze. Główny Sędzia niedowidział, co było później powodem jego dymisji i tolerował wzrastające rozpasanie. Brakowało tylko krwi, żeby karnawał mógł się rozpocząć, a nowe stroje zaślusnąć w pełnej krasie. Zbliżał się dzień zmiany masek.

W moim albumie znajduje się wiele zdjęć balowych! Rzęsiście oświetlone sale, mozaikowe posadzki, krynoliny, pierrotty, kandelabry, kapiące złotem! Czy można się oprzeć takiemu zaproszeniu? Ruszyłem w niegdysiejsze tany... Odbijany zastał mnie w ramionach Francka, wskoczyłem mu do butonierki, zakwitłem różą. *Różo, różyczko, cóżeś ty za pani, że za tobą idą, że za tobą bieżą chłopcy szykowani, chłopcy szykowani.* Franek cieszył się ogromnym wzięciem (dlatego wolałem zakwitnąć niż go opuścić) chłopcy szykowani biegali za nim jak kot z pęcherzem. Honorowy prezes balu, Główny Sędzia, był w siódmym niebie, udało mu się bezbłędnie poprowadzić niemieckie tango z prawdziwie argentyńskim temperamentem, z tej radości okazał miłość do ludu i obniżył cenę parowozów. Entuzjazm zapanował, gdy wodzirej poloneza zaczął, najgłośniej wiwatowali Edkowie, pomniejsi przytupywali ochoczo z radości. Honorowy prezes był tak wniebowzięty, że nawet nie zauważył, iż równocześnie z polonezem ruszyły parowozy. Lud wsiadł w parowozy i ruszył przed siebie. Franek doskonale znał marszrutę; nie to, żeby ją wyznaczał, o co to, to nie, ale marszrutę znał, ponieważ na tę jego wiedzę wszyscy płaciliśmy podatki. Ruszył także parowóz dziejów, zmiatając wszystko po drodze (Pawka Korczagin utrwalał rewolucję, pionierzy nawracali własnych rodziców, NKWD rozniecało ogień czystości), wokół było podnośnie i radośnie, czysto i bystro, ideowo i zdrowo. Nie będziemy jednak – dobry przykład dał nam Pisarz – ingerować w wewnętrzne sprawy suwerennego państwa! Parowóz przetoczył się z torów szerszych na węższe (Główny Sędzia znany był z oszczędności i polskich torów do socjalizmu), gnał po naszych karkach. Właśnie najeżdżaliśmy na kolejną zwrotnicę i zdrowo nami chybotnęło. Prezes obraził się na kolejarzy, założył okulary i przestał widzieć cokolwiek. Łysy bożył się przed całym narodem, że nie odda Niemcom ani semafora (na Ziemiach Zachodnich, a i Odzyskanych), różni mędrkowie po raz kolejny i nie

ostatni, dzielili się wspomnieniami ludzi, którzy już kiedyś ulegli rozbirom. Taki był kolejowy rozkład jazdy, aż do zmiany zawiadowcy. Przy okazji, parowóz dziejów rozjechał ludzi, którym wydawało się, iż walczą o lepszą przyszłość. Miazgę poniesiono na drzwiach pod okręgową dyrekcją PKP. Dyrekcja (i to naczelna!), złożyła kwiaty i spytała miazgę o zdanie. Miazga drgnęła, podrażniona kolcami wetkniętych w nią ukradkiem róż, megafon ryknął „pomożemy”, reszta utonęła w burzy braw. Byłem różą i na własne płatki słyszałem wycharczany przez miazgę skowyt: „Obyś zdechł!”. W miazgę wetknął mnie własnoręcznie Franek, wyjąwszy uprzednio z butonierki; przyjechał prosto z balu, osobiście dopilnować ostatniego mazura. W różę zamieniałem się bez wysiłku od niedawna, ściślej od chwili, kiedy w ustronnej kawiarence umknąłem ze strachu do flakonu, ze strachu przed syberyjskim mrozem wionącym od gościa, który niespodziewanie wszedł do środka. Gość dosiadł się do Franka, nie powiedział ani słowa, zajrzał badawczo w moje rozchylone płatki i milczał jeszcze bardziej. Franek opowiadał o owocnym trudzie kolegi Prezesa, o latach ciężkiej pracy, o końskim zdrowiu i samozaparciu, on, Franek mówił dalej, i jego koledzy, szczególnie kolega Edward, bardzo chcieliby się odwdzińczy Głównemu Sędziemu, uhonorować nadzwyczajnie, bal postanowili urządzić, na cześć, na chwałę, fajerwerki, kotyliony, bon-tony, torty, poncze, hymny, ot, tak, wszystko po to, żeby dodać sił w dalszej walce, w tej naszej dalszej pracy, żeby znużenie odsunąć, zapału dodać, ach, gdyby, co uchowaj Boże, zmęczenie się do serca Prezesowi zakradło, zniechęcenie umysł ogarnęło, rozproszyć złe myśli, otuchą przyszłość rozświetlić, no, nie daj Bóg, żeby Główny Sędzia miał ręce załamać, pozwolić na to nie można, wszystko zrobić trzeba, tak to z Edwardem wymyślili, wszystko, dosłownie wszystko, aby Prezesa podtrzymać, ach, nawet, gdyby się zapierał, nawet gdyby się upierał, a to, tak między nami, powiedziec przecież możemy, że uparty to on jest, ten nasz kochany Prezes, och, uparty jest, nic mu nie ujmując, prawda, nawet dodając, prawda, bo ten upór dla sprawy, prawda, więc, gdyby się zapierał, upierał, to i tak nie pozwolić gorzknieć, odwieść od złych myśli, zasilić duszę promykami nadziei, choćby on nie wiem co wygadywał, nie wiem co robił, nie pozwolić mu odejść, nawet zdrowiem jego zaryzykować, nawet! niech tam, choć z drugiej strony żal człowieka, jak to tak, na zatracenie posyłać, spokojnie patrzeć jak serce

marnieje, oczy marnieją, nogi powłóczą, z litości aż się serce kraje, żeby taki kolega do ostatnich swych lat nie miał chwili oddechu?!, więc tak nawet Edward mówił, uszanować zdrowie trzeba, więc zapierając się, ale zdrowie uszanować. Uszanować zdrowie, prawda – spytał Franek i oczami zawisł na ustach Dziadka Mroza. Dziadek spojrział gdzieś w bok, spoglądał to na żyrandol, to na kelnerkę, głowa mu się tak kiwnęła, że nie powiedziałbyś w bok czy w górę, w dół czy na ukos, ot, rób co chcesz, nie domyślisz się! Z krzesła się zerwał, dłonią kiwnął na pożegnanie i tyle go tu było. Franek westchnął żałośnie, wypił pół litra i też wyszedł. Na noc zamknięto mnie w nieogrzewanym lokalu – taki to los róży.

Po ostatnim mazurze było już po balu. Rozdano medale dla najpiękniejszej pary, fryzurą sezonu stał się język. Posprzątano główną salę balową, usuwając gości w niemodnych strojach – mało ich zresztą było; jak się okazało, każdy przyszedł ze strojem zapasowym, niczym na bal maskowy. Przebierano się, że hej! W tancbudach dla gawiedzi wyłapano ostatnich czcicieli miazgi. Tory zostały oczyszczone, oficjalny pociąg mógł ruszyć w dalszą drogę.

Kto chciał załapał się na podróż. Wycieczka była zamożna i wesoła. Najwięcej zainteresowania budził wagon wesołków. Niejeden już wtedy kokietował, że on, biedaczek, nie zdąży nigdy załapać się na właściwy pociąg i stoi później na pustym peronie, bezradny jak opluty ślepiec. Taka była moda: nachapać się ile można, biedaka zgrywać, albo: z koryta władzy chłęptać, w salonie opozycji na kanapę się drapać. *Danielek, Danielek, nie ma ciebie wiele, wiem, że mi dokopiesz, o nic cię nie proszę, kop se kop do woli i tak cię pierdoli (twój uniżony sługa)*. Jechał ten wesoły pociąg rodem ze wschodu, pomalowany na modłę zachodnią – w nim beztroskie bractwo pasibrzuchów. Niech gwizd parowozu wyznacza nam ton naszych dni! Oto słowa pana naszego w ideologii, Łońce* niech będą dzięki!

* Wydawnictwo uprasza gorąco o aktualizację hasła. Czeka będzie sprawdzać po domach, w towarzystwie suwerennego przedstawiciela Pronu. Aktualizacja ma nastąpić w nieprzekraczalnym terminie 24-godzinnym o ogłoszeniu o intronizacji. W razie okresu przejściowego, po dostojnym zgonie, należy stosownie miejscy wykropkować.

Zapanował czas dynamicznej swawoli. Żyj i daj żyć innym! – oto kolorowa fotografia z albumu. Poprawiliśmy jakość naszych wyrobów, fotograf przywdział frak, obiektyw był ustrojony złotymi girlandami, kolorowe fotografie oprawione w złote ramki dostarczano bezpośrednio do domu szanownego klienta. Dziwna rzecz taki kolor! Oglądam zdjęcia i własnym oczom nie wierzę.

Błyszczące w słońcu srebrzyste wieżowce, sięgające hen do samego nieba, szlachetne kształty niklowanych maszyn, przestronne bryły fabryk, gdzie w radosnym trudzie tworzenia krzątają się odprężeni obywatele... Na wszystkich zdjęciach jeden i ten sam podpis: „Budujemy Drugą Polskę”. Budowaliśmy wytrwale. Każdy obywatel budował drugą Polskę, budował drugie życie własne, budował drugiego obywatela w sobie pierwszym. No, nie ukrywajmy – niebezpieczne to było hasło. Teraz, gdy przeglądam album widzę to nader wyraźnie. Och, niektórzy już i wtedy widzieli niebezpieczeństwa. Biadali nad rozpasanym konsumpcjonizmem, rozmieleniem ideologii na drobne fiaty, omamianiem umysłów zachodnim blichтром. Inni znowu bali się przekupstwa, złotej klatki niewoli. Mówili: ludzie, jesteście niewolnikami, dlaczego nie protestujecie, dlaczego gonicie za premiami, pracami zleconymi, kurzymi domkami nad wodą? Gadżetami chcecie zastąpić sumienie?! Ludzie nie słuchali jednych ani drugich – budowali swoją prywatną Polskę. Nikt nie zauważył tego, co ze zdjęć aż kole w oczy: drugą Polskę budowano nie jako kontynuację pierwszej, ba, drugą Polskę budowano przeciw pierwszej. Dziwne to było przeciw. Komuch zapędzał mnie do robienia pieniędzy, mówił, że dynamiczny rozwój państwa oznacza dynamiczny dostatek obywateli, czerpałem więc z kasy, ile się dało, zaprząłem się do zwycięskiego rydwanu – a przecież bogaciłem się przeciw komuchowi. Jeszcze o tym tak dobrze nie wiedziałem, nie zdawałem sobie z tego sprawy, komuch też był nieświadom, ale jak mógł nade mną panować, gdy stawałem się coraz zamożniejszy? Obrastałem w piórka, zapełniałem mieszkanie i portfel, w duszy hardość mi rosła. Im było lepiej, tym stawałem się hardszy. Komuch bogacił się sto, tysiąc razy szybciej ode mnie, nurzał się w marmurach i brokatach, ale to mu nie wystarczało. Chciał jeszcze panować nad moją duszą, kazał myśleć na komendę, oddawać pokłony bożkom, skandować w stadzie. Kiedyś w ogóle bym się nad tym nie zastanawiał, nie zrodziłaby się we mnie żadna myśl zdradna,

żadna wątpliwość nie wychynęłaby z mroków umysłu, ale teraz, gdy mogłem wyłączyć telewizor i wpatrywać się w ekran automatycznej pralki, gdy czułem się budowniczym dynamicznego rozwoju, gdy wzywano mnie do „Dobrej Roboty”, ideologiczny bełkot i propagandowa sztanca zdały się fuszerką, połamanym krzesłem, którego nie warto sklejać, trzeba wyrzucić. Bogaciłem się przeciw komuchowi i przeciw komuchowi kształciłem; w ogóle wszystko, co robiłem dobrego było przeciw. Wiedziałem, że komuch może panować tylko nad ludźmi biednymi, niczego nie umiejącymi, bezradnymi. Ot, na chwilę o tym zapomniał, może zamarzył sobie lekkomyślnie, wypieścił obraz władztwa nad krajem bogatym, nad ludźmi wolnymi, którzy z własnego, nieprzymuszonego wyboru bić będą przed nim czołem? Takie to podwójne fotografie mam w albumie, na każdej widać kilka planów, na pierwszym planie dekada sukcesów socjalistycznej Polski, na drugim dekada sukcesów nie socjalistycznych Polaków, właściwie nie na drugim planie, tylko też na pierwszym – bo to taka dziwna fotografia, coś jest na niej w głębi, i jeszcze coś dalej w głębi, jak się przyjrzyysz, to wszystko nie jest w głębi tylko na wierzchu, z przodu, niczym na wystawie. Nie było bowiem tak, że w ludziach rośło coś potajemnie, cichcem podgryzał robak zwątpienia, nie, to „przeciw” rośło jawnie i publicznie; na oczach wszystkich stawały szanice drugiej Polski, tej Polski bez żadnych przymiotników, tyle, że mało kto rozumiał co się dzieje.

Od ciągłego przewracania stronic albumu rozboleły mnie ręce. Niby nie jest dużo ich, raptem od czterdziestej czwartej do osiemdziesiątej czwartej, a przecież każda fotografia ciąży jak ołów, wciąga jak bagno, parzy jak ogień. Płaczą się te zdjęcia, tak porządnie ułożone, posegregowane, skatalogowane niemal. Wklejone gdzie trzeba, otoczone ramką, przyszpilone tytułem, dopowiedziane podpisem, ale gdzieś tam chyłkiem, ukradkiem, niby nic, prześwituje inne zdjęcie, z innej strony, z innej epoki, włazi na fotografię, którą oglądasz, przeszkadza, rozbija, szydzi. Irytacja z tego jedna i zamieszanie. Przeczytałem właśnie u pewnego pisarza, że kolega Edward był obiektywnie mężem opatrnościowym Polski, może nawet świata, że niby plackiem leżał przed carem, niby zruszczał na potęgę, w istocie, nieświadomie zapewne, wbijał polski gwóźdź do sowieckiej trumny. Zgadzam się z tym gwóździem i rolą kolegi Edwarda, jednak fałsz czuję, coś mi się nie klei.

Może się myłę, ale w słowach pisarza odczytałem pewną opozycję, że to niby kolega Edward zruszczał, a kolega Wiesław mniej – jeszcze jeden mit o polskim październiku i o polskiej drodze do...? Fotografie są bezlitosne w swojej wymowie! Polowanie na dusze trwało nieprzerwanie. Polskę rozbrojono, wsadzono do więzień, zdradzono, naród miał zbudować drugą ojczyznę na wzór i podobieństwo ojczyzny nadzorców. Cel był niezmienny, choć zmieniały się metody jego realizacji. Rozstrzeliwano, torturowano, opluwano, zniesławiano, odsuwano, wyjaławiano, marnotrawiono, niszczone, hamowano, spychano, no, każda metoda była dobra, byle by była skuteczna. Kolega Wiesław dbał pilnie, żeby polską drogą do szły karne kolumny niewolników, w łapciach, zgrzebnych strojach, ze zgiętymi karkami i pokornymi duszami. Kolega Edward inaczej, kazał niewolnikom unieść karki, wyprostować plecy, dumnie spojrzeć dookoła – mieliśmy być dumni, że socjalizm rośnie w siłę, ludzie żyją dostatnio. Och, te karki powinny się nadal zginać, niewolnicy powinni być nadal niewolnikami, to jasne, kolega Edward nie chciał wyzwolić niewolników, chciał, żeby niewolnicy wyglądali godniej. Co to za przyjemność władać zwierzęcym tłumem?! O ileż przyjemniej widzieć pełzających u naszych stóp ludzi. Zanedbano więc zgięte karki i zanedbano pokorne dusze. Tak wstrzymano sowietyzację, choć na moment, choć na pół roku, choć na drgnienie powieki. Ale rytuał trwał nadal. Wznoszono ołtarze dla cara, padano przed nim na twarz, składano wiernopoddańcze hołdy. Słów było tyle, że utonęła w nich rzeczywistość, ta sprzeczna z istotą imperium, ta z rozprostowującymi się karkami, czyli było całkiem inaczej niż wcześniej, kiedy to gładzono o polskiej drodze do, a bat smagał każdego, kto choćby o milimetr złamał szyk zgiętych karków. Zresztą, może się czepiam szanownego pisarza, przecież było dokładnie tak, jak zanotował, był i gwóźdź, była i trumna? Zanedbano polowań na dusze. Bez polowań nie ma zruszczenia, to sama esencja, treść zasadnicza, kościec. No, tak, krzyczano, zamazywano słowa czarnym tuszem, budowano piramidę pozorów i fałszów, ale to wszystko działo się na scenie, poza nami, widzami stłoczonymi w wielkim teatrze, było to widowisko nieuchronne, jak nieuchronne jest przebudzenie się rano po nocy, a przecież nie wpływa to przebudzenie się na przebieg naszego dnia, nikt nie interesował się, co z widowiska przenika do naszej duszy, w niej się osadza, co w niej w ogóle jest. Ba, można było

gwizdać, tupać wyjść z sali, nie powodowało to żadnej reakcji. W tym sensie już wówczas stawaliśmy się wolni. Aż pewnego czerwcowego dnia nastąpił krach. Niewolnicy znowu zakrzyknęli, że im się nie podoba. Komuchy cofnęły się o pół kroku. Nieważne, że zaraz potem urządzono wielkie polowanie, nieważne, że spędzano ludzi na stadiony, gdzie przysięgali na wierność carowi i jego sługusom, nieważne, że zaczęto niszczyć wszystko, co autentyczne i wartościowe – w ludziach został jeden obraz, obraz komucha, który się ugiął. Ten obraz był jak deszcz spadły na wysuszoną ziemię, w której kiedyś zasiano ziarno.

Nigdy nie byłem pod ziemią, no, raz kiedyś, w Wieliczce, ale tam było białe, nieprawdziwie, muzealnie. Nie wiem więc, nie umiem sobie wyobrazić, co dzieje się pod ziemią, gdy spada na nią ożywczy deszcz. I z tej swojej ciekawości, z tej prężności reporterskiej, więc z tych powodów, jak również za przykładem dziennikarzy – przebierańców – udawańców – sb-ańców, zwinąłem się w kropkę i kapnąłem w brudę. Wchłonęła mnie ziemia, jednak czułem, że nie filtruje mnie piasek, nie wstrzymuje glina, lecz cieknę pod czymś włóknistym. To były korzenie. Masa splątanych korzeni. Kryły się pod ziemią, przyczajone jak tygrys przed skokiem. To były korzenie drugiej Polski, Polski bezprzymiotnikowej, Polski przeciw. Wczoraj widziałem plakat zawieszony na murze i pilnowany przez czołgi układu warszawskiego – „Drzewo zdrady”. Od potężnego pnia odchodziły konary-nazwiska Bujak, Cywiński, Rulowski i wiele innych, pień wymalowany był w nazwę „Solidarność”, spod ziemi dochodziły do drzewa mocarne korzenie: „zdrada”, „zaprzaństwo”, „kontrrewolucja” itp. To było wczoraj, plakat wymalowali zbrodniarze, autorzy i sługusi stanu wojennego, komuchy i ich banda, niech ich szlag trafi!*

Widziałem korzenie, z których wyrosła „Solidarność”, korzenie Polski, to były prawość i duma, godność, prawda i szlachetność, to były suwerenność i kultura, polskość i to było chrześcijaństwo. A korzenie te były splątane, słabe, mocarne i drażliwe nad wyraz – i pełne brudu,

* Autor wie, że nie jest to zgodne z miłosierdziem bożym, na szczęście A. jest poganinem.

moralnego brudu! Boże, ile w nich w nich było spraw do oczyszczenia! Te korzenie to już była inna Polska, inny kraj od tego na powierzchni. Wyparowałem z ziemi ze świadomością, że tylko czekać dnia, kiedy odsłoni się czapka ziemi, spod niej wyjdzie na powierzchnię nowe państwo. Postanowiłem być ostrożny. Nadal byłem czerwony, ale grałem już inną grę i z kim innym; prawdę mówiąc, grałem ją sam. Ach, nie była to samotność cierpiętnicza, była to samotność wyrachowana, zbudowana z ostrożności i chytrości, przebiegła taktyka, żeby nikt nie uznał mnie za wroga. Mogłem być błędzącym, młodym, rozwichrzonym, szumiącym, takim swoim-nie-swoim, byle tylko nie wrogiem. Przyjaźniłem się z nader różnymi figurami, barwę miałem nijaką, każdy kto na mnie spojrzał mógł mi nadawać kolor swoich oczu, to mi wielce pomogło w tamtych latach. Oczywiście nie przyjaźniłem się z nikim, to były tylko pozory, od dawna nie potrafiłem się przyjaźnić z mężczyznami, zbyt ich wszystkich podporządkowywałem swojej chytrej taktyce, żebym mógł sobie pozwolić na spontaniczność. Przyjaźniłem się jedynie z kobietami, wreszcie zaowocowało to niegdysiejsze oddzielenie kobiet od polityki. Dzięki kobietom realizowałem swoją potrzebę przyjaźni i bliskości, dzięki mężczyznom potrzebę chytrości i zaradności. I wówczas, niespodzianie, stałem się trędowaty.

Nastał czas polowań na dusze. Ludzi zagnano na stadiony. Nigdy nie lubiłem tłumów, nie poszedłem i myślałem naiwnie, że wykręcę się kpiną, dowcipem, ot, nie mam garnituru, tłumaczyłem, jak pójść bez garnituru na taką uroczystość, jak nie uświęcić święta, toż to by była profanacja nieledwie, może i gorzej. Tak to wyglądało, może całkiem inaczej, nieważne, grunt, że stałem się trędowaty w czasie, gdy masowo zaczęto przyklejać ludziom etykiety. Spojrzałem znad maszyny do pisania, cały pokój wirował fotografiami, album zniknął z półki, zamknąłem oczy i bohaterko wszedłem między zdjęcia. Trafiłem na salę sądu nade mną. Pamiętałem wprawdzie o albumie, kołatała we mnie myśl, że jestem we wnętrzu zdjęcia, że oglądam z bezpiecznej odległości, coś co dawno już minęło, jednak nagły paroksyzm lęku okazał się silniejszy od pamięci. Ogarnął mnie chłód tamtych dni, koledzy odwracający wstydliwie twarze, współpracownicy znikający w nieznanym mi przedtem załomkach korytarzy, przełożeni, rozkładający bezradnie ręce z fałszywym uśmiechem współczucia. Były i nagłe przyjaźnie, odruchy serdeczności od osób do tej pory mi obcych.

Uratowała mnie, pozwoliła przetrwać, agentka SB. Nie widziałem tego wówczas wyraźnie, nie doceniałem kabaretu, rozgrywającego się na moich oczach i za moją przyczyną, ponieważ zajęty byłem przede wszystkim rozliczeniem z pewną przyjaźnią i lojalnością. Przyjaźń i lojalność były jednostronne, z mojej strony, jednak Jacek S. zdawał się świetlany, szlachetny – tak widzieli go wszyscy. Cóż mogłem więc zrobić z tym swoim nagłym rozpoznaniem, z tymi kilkoma sekundami, kiedy opadła maska, spod niej wyłonił się mały, pazerny, tchórzliwy człowieczek, cynik, dbający jedynie o forszę i pozycję? Schowałem te sekundy głęboko w pamięci, zaszyłem na dnie głowy, bez żalu i nerwowego oczekiwania na sprawiedliwość dziejową. Czasem jeszcze myślałem, chichocząc wewnątrz, jak wielkie będzie rozczarowanie ludzi, kiedy zobaczą swojego idola gołego jak święty komunistyczny. Wiedziałem – jak mawiała moja o wiele późniejsza przyjaciółka – że któregoś dnia rzeka przyniesie przed mój dom jego zezwłok.

Agentka SB grała w inne klocki niż ludzie, którzy naklejali mi etykiety. Była pewna, że jestem czerwony, tyle, że podpadnięty. Agentka SB zbierała już graczy do swojej drużyny na zbliżający się wielki mecz, dlatego uratowała mnie przed bezrobociem, pozwoliła przemieszkać kilka lat na marginesach polskiej prasy. Nie podejrzewała nawet, biedna, że ja już ostrzę sobie kły na nią, na innych agentów i czerwonych. Stałem na tej sali sądowej, gdzie trwał przewlekły proces wytoczony moim grzechom, czerwoni stroili się w togi, odmienicy wśród czerwonych – było wtedy takich całkiem niemało – bąkali nieśmiało na moją obronę, prokurator dobrotliwie groził palcem, ja usiłowałem ukryć rosnące kły. Ach, te dni i miesiące dekady sukcesu! Dni, kiedy w ręce wyrastał ci nóż, kiedy czekałeś niecierpliwie na wielki upadek czerwonego i kiedy byłeś pewien tego upadku, jak jest się pewnym wschodów i zachodów księżyca. Życie nauczyło nas chytryści, przywdziewaliśmy maski, byliśmy widzami, i aktorami spektaklu pt. „Polska na niby, Polska pozorów, Polska nierzeczywista”. Jeszcze wówczas zdawało mi się, że najważniejsze jest przetrwanie, taka recepta na długowieczność: przeżyć tych skurwysynów. I te nasze maski, maski obywateli kochających władzę a dbających o prywatę, były dziełem tego samego mistrza, który nakładał propagandę sukcesu maski na gospodarkę, na kulturę, na politykę. Nikt, najuważniejszy, nie zauważyłby dysharmonii między maską władzy, a maską obywateli. Bez wysiłku

więc uratowałem głowę przed ścięciem. W niezasłużoną nagrodę dostałem glejt czystego sumienia, dzięki czemu kilkadziesiąt miesięcy później, mimo obciążającej kieszeń legitymacji czerwonego, zostałem głosami ludu wybrany na działacza Ruchu.

Nie chciałem wychodzić z tego tak miło grzejącego serce wspomnieniami zdjęcia. Nie chciałem powrotu do mozolnego przedzierania się przez album, zwłaszcza, że nie jest to album zamierzchłych wspomnień, niestety, ale album z komuchami w środku, komuchami, którzy nadal szczerzą do mnie lufy swoich czołgów. Nagle spostrzegłem, że nie siedzę już na ławce oskarżonych. Rozpłynęła się w niebycie sala sądowa, znajduję się na olbrzymim stadionie, którego kopułę stanowi najprawdziwsze niebo z zawieszonymi niczym gwiazdy portretami kolejnych Ojców, kometami hasel i mgławicami osiągnięć na szczytnej drodze do. Byłem sam na tym stadionie nabrzmiałym od wielkości. Przed moimi oczami snuł się jak w kalejdoskopie ciąg porwanych obrazów, ułamki wydarzeń, frazesy z powyłamywanymi zębami. Murawa stadionu była zielona, stały na niej przepisowe białe bramki piłkarskie, brakowało jedynie sędziego i zawodników. Komputerowa tablica wyników lśniła księżycowym blaskiem, na niebie, między portretami i hasłami, na dostojnych nosach, dystygnowanych uszach, wzniosłych czołach snuł się film-epos, film-kalambur, film-horror. Mało co mogłem dostrzec, ostrość ujęć rozplýwała się w niebnej poświacie, ale to nie był zwyczajny seans. Aktorzy schodzili z ekranu, z nieba na ziemię, odtwarzali przed moimi zdumionymi oczami sceny z życia, czułem się jak na otwarciu olimpiady, gdzie barwne korowody układają się w obrazy lub słowa na soczystej zieleni murawy. Agenci w skórzanych kurtkach i z naganami w dłoniach szybko rozplýnęli się w barwnym tłumie urzędników z teczuszkami, skrętnie rozpisujących cyrylicę na paragrafy tajnych zarządzeń. Później agenci założyli fraki. Tłum sługusów budował im zamki z marmuru i złota. Zszedłem na murawę i zacząłem opukiwać nowo wznoszone mury. W marmurze dostrzegłem żyłki ludzkich cierpień, zastygłe jęki torturowanych, przedśmiertne krzyki zabijanych. Dygnitarze z niesmakiem odwracali głowy od fresków. Dzisiejsi agenci wstydzili się siebie samych sprzed lat, widziałem na ich twarzach skrępowanie eleganta, któremu na przyjęciu wysunie się zniecka na czerń półbuta biały troczek kalesonów. O, najlepiej byłoby to pominąć milczeniem, obojętnością zabelkotać

o historii, walce klas, rewolucji, dziejowych przemianach i ideowym zarze. Tłumy sługusów czatowały na jedno spojrzenie z agenckich oczu, powstawały dysertacje o ideowym wyrwaniu paznokci, klasowych aspektach miażdżenia palców, ludowym zrywem samego ludu na rzecz tegoż ludu zniewolenia. Najchętniej jednak pomijano wszystko milczeniem. Wystawna biesiada, baseny ze sztucznymi falami i pływającymi się wśród nich smukłymi reprezentantkami wszystkich ras, orgie polowań i obżarstwa, bateria koniaków i whisky, palarnie narkotyków i wyścigowe stajnie, ruletka w Monte Carlo i awionetki, czekające na rozkaz – wszystko to, a i wiele innych jeszcze rozkoszy, których pióro biedaka nie jest w stanie opisać, nie znosiło krwi, potu, zaduchu przeszłości. Budujemy Drugą Polskę, krzyczano, o pierwszej zapomnijmy. Budowano zamki i rezydencje. Przechadzając się teraz swobodnie wśród tych zamków i rezydencji, stojących na murawie stadionu, dostrzegłem bez wysiłku, że do fraków agenci założyli koszule z serii Nowoczesność. Był to zupełnie nowy Dom Mody, który zrobił oszałamiającą wręcz karierę. Niemal wszyscy agenci i ich sługusi wyglądali jak bohaterzy filmów amerykańskich z lat siedemdziesiątych, opowiadających o średniej sferze. Pachnący, elegancko ubrani, prężni w ruchach, z dziarskim uśmiechem na twarzy, nie bojący się przeszkód i w wiecznym, twórczym pośpiechu. Wśród nich przechadzały się jakieś mastodonty, o twarzach nostalgicznych ideologów, w rubaszce i ze znaczkiem Lenina w klapie. Ci wyświeżeni bali się agentów tradycyjnych, podśmiewali się z nich ukradkiem, jednak gorliwie bili głowami przed urzędowymi ołtarzami. I tak, jedni i drudzy, wcielali Polskę do Rosji. Eleganci próbowali to robić w takt muzyki lekkiej, łatwej i przyjemnej, niczym w starych filmach hollywoodzkich, ponurzy łaknęli walki klasowej, jęków odchodzących burżujów i krwi, która jest najlepszym cementem przyszłej szczęśliwości. Sługusi, wśród których prym wiodła inteligencja, gorliwie wypełniali rozkazy jednej lub drugiej grupy. Agent jest zawsze agentem i on pozostanie naszym panem!

Po równinie przed zamkami przechadzali się tłumnie ludzie. Szli krokiem miarowym, jak automaty puszczone w ruch przez nieznanego sprawcę. Odczułem nagle nieprzepatą potrzebę zagadania do kogokolwiek, podszedłem bliżej i ogarnęła mnie zgroza. To były twarze bez oczu tylko z oczodołami, usta bez języków tylko z przepastną

jamą, to były kukły. Biegłem rozpaczliwie bezradny wśród tłumu kukieł, pragnąłem ze wszystkich sił spotkać choćby jedną żywą istotę – nic z tego. Pukałem do serc, odpowiadał mi głuchy dźwięk skóropodobnego plastiku, Przerwałem swój szaleńczy bieg, wróciłem na widownię, spojrzałem jeszcze raz na murawę – i nagle zrozumiałem, że jest to przecież widok krzepiący. Jeżeli tam, w dole, przed zamkami i rezydencjami, wśród agentów i ich sługusów, defilują same kukły, manekiny, stwarzające pozór narodu, to naród jest gdzie indziej – wysłał komuchowi przed oczy swoją atrapę, sam schował się w bezpiecznym miejscu, żyje innym życiem, może nawet coś szykuje? Nagle niebo nad stadionem rozjaśniło się, powiało świeżym powietrzem, choć dałbym sobie głowę uciąć, że jest szczelnie obudowany. Manekiny nabrały życia, zamki rozsypały się w pył, agenci i ich sługusi pogubili fraki i bezradnie krzatali się wśród gruzów. Spojrzałem na niebo – było puste, poznikały gdzieś portrety i komety, mgławice i targowice, czerń powoli zaczęła ustępować jaskrawej tęczy. Wychodziłem ze stadionu, bacznie rozglądając się na boki. Nadal byłem sam. Jednak na ulicy natknąłem się na mrowie samotnych, zadumanych ludzi. Wszyscy szli z opuszczonymi głowami. Nie wiem dlaczego, ale byłem pewny, że każdy z tych ludzi właśnie przed chwilą wyszedł ze swojego stadionu.

W domu rzuciłem się do albumu. Otworzył się na stronie siedemdziesiątej dziewiętej. Gorączkowo wklejałem do niego zdjęcia, odzyskałem słuch, wzrok i mowę. Uważnie patrzyłem na zdjęcia z cyklu zaprzaństwo, zdrada, pazerność, fałsz, zło, ciemność; fotografie zwijały się pod moim wzrokiem, papier wyginał się na najrozmaitsze sposoby, barwy odpadały od ludzi i rzeczy jak tynk od zmurszałej budowl. Obok zaś rozkwitała seria kolorowych fotogramów, z nadzieją, oczekiwaniem, prawdą, godnością, wolnością i słowem. Widziałem sylwetki, uchwyconych przez policyjną kamerę dziewcząt i chłopców, którzy nieśli w ludzi drukowane słowo. Słowo rozkwitało w czytaniu jak najpiękniejszy bukiet, pięło się niczym bluszcz po ludzkich sumieniach, rozsadzało mury fałszu i ciemnoty. Widziałem szarych ludzi kontrolowanych przez fabryczne zegary, jak ze słowem pod pachą, chronili troskliwie własną godność i godność swojej pracy. Wszyscy maszerowali w poszukiwaniu sensu dni, sensu i trudu cierpień, egzystencji. Zabrakło miejsca na wklejanie zdjęć, przewróciłem stronicę

albumu, dostrzegłem liczbę osiemdziesiąt i podświadomie czułem, że na tej stronie nie będzie miejsca dla agentów. Jednocześnie wiedziałem również, że teraz każdy po wyjściu ze stadionu, wrócił do domu, do albumu, i wkleja nowe fotogramy; każdemu zostają w rękach zetłale szczątki zdjęcia z diabłem w środku. A jutro rano popędzi znów do roboty, zagoniony, oczekujący, i każdy z truchłem diabła w pamięci. Kto będzie tolerował sługusów diabła, gdy przekona się, że diabeł jest umierający?

Przyznam, że wówczas, przed laty, zapełniłem już stronicę swojego albumu zdjęciami z wyobraźni. Nie były to zdjęcia błogie i rozcudzające. Była na nich krew, dużo krwi, rozpacz, wybuch, zemsta ludu – później co Bóg da, najpewniej Ruskie. Taką miałem chorą wyobraźnię. Przypomniałem sobie o niej w samą porę i wyskoczyłem ze zdjęcia, o którym już dawno zapomniałem, zdjęcia sali sądowej, która przekształcała się następnie w stadion, później w oglądanie albumu i w nowe zdjęcia. Pora najwyższa było to zrobić, gdyż nikt by się już nie mógł rozpoznać w tym mętliku, zdjęcie w zdjęciu, oglądanie albumu w oglądaniu albumu, no, to już za dużo. *Co za wiele, to cipieje*. Czyli – hyc na powierzchnię, hyc za biurko, hyc do maszyny, hyc do pokoju. Jest rok 1983, my sobie niby nic oglądamy album z fotografiami. Taka tam niewinna rozrywka bezrobotnego.

Orkiestra grała do końca. Sługusi biegali jak kot z pęcherzem, czujnie wypatrując zmian w Pałacu. Inteligencja słała raport za raportem (tajne i jawne), partia burzyła się od dołu. Agenci rozdzielali między siebie stanowiska. Car czekał cierpliwie, żeby mianować nowego wicekróla. Nikt nie ogarniał, nie rozumiał nabrzmiałego milczenia traw, nie dostrzegał korzeni, przebijających się do słońca. Tylko tych kilku chłopców, teraz już może kilkuset, którzy przed kilku laty, postanowili rozstawić miski. Jacek K., Adam M., Krzysztof W., Bogdan B., Andrzej G., Anna W. – i inni, inni, inni...

Wielka jest siła słowa po latach milczenia. Wielka jest siła słowa wolnego, własnego, polskiego. Mknęło to słowo po kraju, przyczajało się na moment, zamierało na chwilkę, ale niepostrzeżenie ogarniało wszystkich ludzi. STRAJK. Mam wklejonych w albumie różnych mędrków, krzyczących ze zgrozą, że nie jest to polskie słowo. Och, ci pu-

ryści! Styliści i gramatycy kochani! Teraz dostrzegli, że strajk to nie jest polskie słowo, później zauważą, że i niektóre litery nie pochodzą z alfabetu polskiego. Pilnują polskości jak tylko mogą, zapracowują się, biedacy, prowadzą studia porównawcze, konsultują swoje spostrzeżenia z akademiami nauk słowiańskich, wszystko dla naszego dobra, byśmy czasem nie uronili niczego z mowy praojców, byśmy nie zaśmiecili polszczyzny, byśmy nie odłamali tej naszej gałęzi z pięknego pnia cyrylicy. Ach, zostawmy tych różnych, którzy zawsze starali się opluć to, co w Polsce działa się pięknego! Spójrzmy na nich jak na sługusów cara i wówczas będzie nam lżej. – To zbyt uproszczenie! – zawołacie ze zgrozą. – To nam niczego nie tłumaczy! – Dajcie mi spokój! Mówiłem już wam, że mam gdzieś opowieść o chwastach, o dusznych problemach komuchów. No, dobrze, dobrze, niech wam będzie. Proszę bardzo, otwieramy album, wybieramy zdjęcie pt. „Mietek R.” i włazimy do środka. Macie za swoje!

Wieśniacy stali na czatach. Mietek skryty w czeluściach leśnego bunkra nerwowo oczekiwał Kłapouchego. Wtem usłyszał dźwięk rogu, i jeszcze jeden, i jeszcze jeden. Trzy razy, pomyślał przerażony, telewizja! Odrzucił w kącie pustą już butelkę Martella i podwiesił się pod powałą, stylizując się na łowicki kilim. W sieni rozległy się energiczne kroki – to leśną siedzibę Mietka nawiedził krwawy Maciuś, za nim gnała sfera facetów z kamerami, mikrofonami, basenami, jachtami, panienkami. – Mietek, Mietek! – rozległ się błagalny krzyk Maćka. – Gdzie jesteś? Chodź tutaj, no, chodź, kurwa!

Ale Mietek milczał zawzięcie. Krwawy Maciej usiadł bezradnie w kącie i zaszlochał. – To tak – mówił półgłosem – to tacy z was przyjaciele, kawiorek pożyć, panienki pojechać, samolocikiem się przelecieć, safari machnąć, forsą kieszenie napchać, o! Do tego byliście pierwsi, mizdrzyliście się do mnie, ściskaliście po przyjacielsku, teraz, gdy w potrzebie to was nie ma, pochowaliście się po mysich dziurach, nie chcecie pomóc.

Tu Maciej przerwał. Rozejrzał się bacznie dookoła. Ryknął dziko na otaczającą go sforę i kopniakami wyrzucił ich z izby. Został sam. U powały wisiał Mietek. Krwawy Maciuś wzruszył energicznie ramionami, jakby chciał wszelkie zmory od siebie odegnać, oczy nabrały mu niezwyčajnego blasku i spiszowym głosem przemówił: Dobrze, sukinsynu! Rób jak chcesz! Ale czekaj, wyprowadzimy czołgi, rozje-

dziemy tych gnojzków, roboli, te szmaty bazgrzące coś na murach fabryk, zrobimy im wojnę aż im w pięty pójdzie, a wówczas, kiedy padną przed nami na twarz żebrząc litości, puścimy sobie magnetowid, o!, i obejrzymy uważnie w sztabie, kto apelował do matek – Polek, kto przestrzegał przed rozlewem krwi, kto nawoływał do przerwania przerw w pracy! I biada ci, biada, skurwielu jeden, żeś nie był z nami w godzinie próby!

Uśmiechnął się Maciej szeroko, radośnie, omiół wzrokiem całą izbę, puścił perskie oko do kilimu – nie dałbyś głowy, poznał nie poznał? – i wyszedł przytupując i gwizdząc beztrzesko. Mietek ciężko dysząc, spocony z emocji, opadł na podłogę. Niewiele już brakowało, żeby odezwał się do Maćka, wylazł z ukrycia, przed kamerą zasiadł i o rozbiorach pogadał, oj, niewiele. Tfu, pomyślał, ależ ten go z tymi czołgami zajechał, tfu, na psa urok.

Wtem usłyszał dźwięk rogu w melodii „Były sobie świnki trzy” się układający. Widomy to znak, że Kłapouchy nadjeżdża, melodia w dwie trzecie urwana dyskretnie podkreślała, iż – to zabawne! – świnki będą tylko dwie, nie trzy jak w tytule. Kłapouchy jechał sam, Mietek zachichotał rozbawiony własną analizą muzycznego utworu.

Przez pierwsze trzy butelki, Mietek i Kłapouchy nie powiedzieli do siebie ani słowa. Wreszcie, gdy noc księżycowa zapadła, wypłynęli galerami na jezioro; kmiotkowie energicznie machali wiosłami, po ich nagich ramionach spływał pot. Na środku jeziora Mietek i Kłapouchy ochoczo chlupnęli do wody, zaraz pod szklaną taflą znajdowały się podwodne pieczary, w nich zegnane ze szkół okolicznych młode Siłaczki, ustrojone w syrenie przybrania. Posiłowali z nimi, posiłowali, wreszcie znużeni nieco kazali się płetwonurkom w strojach szczupaków zanieść do leśnego pałacu. Tam, ćmiąc haszysz, pogadali nieśpieszno.

– Rozkazy w sprawie wojska i policji – zagaił Kłapouchy – zostały już wydane.

– „W sprawie”, a wojsku? – replikował Mietek.

– Nie jest to jeszcze jasne – przyznał Kłapouchy. – Jednak wygląda, że będzie gorąco. Dlatego nie wolno dłużej czekać, zwlekać, trzeba coś powiedzieć, niewiele, nie do końca, coś dwuznacznego, ale powiedzieć.

– Co?

– O miłości do państwa i kraju ojczystego.

- To wystarczy?
- No i, w tym kontekście, o niepokoju, który trawi duszę i serce każdego Polaka.
- Nie, to za mało, mogą później dać kopniaka.
- Nie dadzą! Wczoraj jakiś baran mówił o rozbiorach. To jak my dzisiaj o niepokojach, będzie można zawsze powiedzieć, w razie co, że to były niepokoje o rozbiory, toczka w toczkę niepokoje tego barana, w razie co innego, że to były całkiem inne niepokoje.
- Fakt. No to jesteśmy w domu. Jedziemy!

I pojechali. W kilka godzin później cały naród podziwiał troskę na szlachetnym obliczu, Mietek znów chodził po Pałacu jak po swoim folwarku.

Zadowoleni jesteście? Nie, oczywiście, że nie. Wiem o tym. Ale uwierzcie mi, komuchy naprawdę nie wiedziały, co się dzieje w kraju, podobnie zresztą jak ich sługusi i jak większość inteligencji – oni wszyscy interesowali się tylko Pałacem, oni wszyscy szykowali się na zmiany, oni wszyscy „ustawiali się” pod te zmiany. Tak było.

Zapewne dlatego karabiny nie wystrzeliły, czołgi nie wyjechały z koszar, pałki odwieszono na kołki. Jezyk przestał się podobać, każdy zapragnął zmienić fryzurę. Zapamiętali się w tym przebieraniu, opętałi trefnieniem, nawet nie zauważyli, że zostali całkiem sami. Naród powiedział sobie, że Pałac nie istnieje.

Byłem pewien, że pałace będą płonąć. Słyszałem już trzask tego ognia, słyszałem chrzęst bruku pod gąsienicami czołgów, widziałem latarnie uginające się pod czerwonymi, słyszałem salwy karnych plutonów pacyfikacyjnych. Zobaczyłem ołtarze na fabrycznych bramach. Zobaczyłem, uśmiechnięte kobiety i dzieci pod murami fabryk. Ta siła, siła wyzbyta przemocy, poraziła mnie na wiele, wiele dni. Odrzuciłem Pałac, jak odrzuca się dziurawe buty. Przestałem zaglądać, co się dzieje za jego oknami, przestałem emocjonować się „liberalizacją”, „zamordyzmem”, „twardymi”, „miękkimi” i takimi tam różnymi. Pałac stał się dla mnie martwy, obcy, odrzucony przez organizm jak nieudany przeszczep. To był pałac z innego kraju i jako taki nie interesował tutaj nad Wisłą już nikogo, no, rzecz jasna, poza komuchami, sługusami, częścią inteligencji, i kawiarnianymi plotkarzami, a także – działaczami, politykami, obywatelami, ludźmi czynu i myśli. Tam gdzieś cierpiał Mietek R., sługusy usiłowały złapać właściwy rytm i ton, domorośli

politycy łapali mnie za guzik i tokowali, tokowali, tokowali. Pamiętam spocone twarze, rozgorączkowane oczy, przestraszone słowa – mam ich wszystkich na zdjęciach.

Od lat tkwiłem w pancerzu głupoty. Och, nakluwano mi ten pancerz, czułem jak zmieniam barwę, ale nosiłem swoją maskę wysoko niczym sztandar dawno nie istniejącej armii. Wyznam pokornie – legitymacja czerwonego trzymała się mnie mocno. Nie na sercu ją nosiłem, jak kiedyś, otumaniony awansem społecznym, równością i sprawiedliwością, nie, teraz tkwiła przyklejona do podeszwy buta, a ja bezradnie potrząsając nogą, pocierając butem o trawę, usiłowałem się jej pozbyć. Nic z tego. Ach, wiem, że to już była tylko formalność, można ją było wsadzić do koperty i odesłać ot, po prostu, ale ja, durny, nie mogłem tego zrobić bez rozmowy. I zaczęło się, jak kiedyś, jak za każdym razem, jak zawsze, gdy przychodziło co do czego. Tak zrobiono mi kolejne zdjęcie z cyklu „Moja legitymacja”. Wyciągnąłem te zdjęcia z albumu, ułożyłem półkolem na biurku, wpatrywałem się w tę swoistą panoramę, i nawet nie zauważyłem, kiedy wciągnęły mnie do środka.

Aula, wielka aula wypełniona uczniami, moimi rówieśnikami, kolegami z klasy, z klas młodszych, z klas starszych, i nauczyciele o twarzach, z których nic nie można wyczytać. Szedłem krokiem dumnym i zwycięskim, jak wódz po wygranej bitwie przez zdobyte miasto. Właśnie zostałem szefem miejscowej jaczejki. Byłem dumny, ponieważ zwyciężyłem, ale byłem dumny i dlatego, że zwyciężyłem chytrze, w sposób zapewniający mi uznanie kolegów i szacunek nauczycieli. Dotychczasowy szef musiał odejść, upił się, ktoś go widział, w kiblu palił papierosy, no, dawał zły przykład, na to żadna przewodnia siła i jej młodzieżowe ramię nie mogły sobie pozwolić. Rusycystka, komisarz organizacji, zebrała nas, szef złożył rezygnację, rusycystka zażądała wyboru prymusa-chłystka i podlizucha. Chłystek siedział z błogą miną, koledzy milczeli, rusycystka czekała. Nie wiem, skąd u mnie nagle przebiegłość taka wezbrała, z jakich makiawelich to zaczerpnąłem, no, faktem jest, że wydusiłem wreszcie zdławionym głosem – wiele ryzykowałem, z cyrylicy byłem pętał ostatni i mogła mnie rusycystka uziemić na amen, bez żadnej złośliwości – więc wykrztusiłem: to my wyjdziemy na korytarz i naradzimy się. Spojrzała na mnie rusycystka nienawistnie, ale nie przeraziło mnie to zbytnio. Wiedziałem już do-

skonale, że będę szefem, ja, właśnie ja, i to właśnie dlatego, że powiedziałem te nic nie znaczące słowa, a bubek nie wydusił z siebie ani jednego dźwięku. Na korytarzu dopełniła się formalność. Teraz szedłem dumny przez aulę, ja, całkiem czerwony, najczerwieńszy w szkole, no, może poza dyrektorem, który co rusz przypominał, że był więźniem Berezki Kartuskiej. Z dyrektorem szybko nawiązaliśmy nić sympatii. On pokazywał mi bez przerwy rękę, na której miał wyrosnąć kaktus, jeżeli na coś tam pozwoli, czy coś tam odpuści. Ja, ze śmiechem, replikowałem, że nigdzie tego kaktusa nie widać – przyzwyczailiśmy się do siebie, jakbyśmy razem w tej Berezce siedzieli, ot, ideowa więź się między nami zadzierzgnęła. Biedna rusycystka czwórki mi stawiała, bo takie były konieczności walki politycznej.

W tej walce, do której właśnie z ochotą ruszyłem, wygrywałem bezwstydnie atuty od dawna uznane za bezwartościowe blotki. Byłem zadziorny, wątpiący, kłótlivy, niesforny, podchwytliwy. Bez przerwy robiłem coś nieprawomyślnego, gazetkę, konfiskowaną przez cenzurę, kabaret szkolny, w którym parodiowałem przemówienie Głównego Sędziego, jeszcze coś innego. I ku zdumieniu kolegów, piąłem się nieustannie w górę po politycznej drabinie. Koledzy nie wiedzieli bowiem, że to jest tylko moja jedna strona, maska publiczna, że karierę robiłem w poufnych rozmowach, na intymnych spotkaniach, na pogaduszkach w cztery oczy z komuchami, którzy podejmowali decyzje. Otwierałem przed komuchami duszę, szukałem razem z nimi idei, chciałem tych dwóch z brodami i tego trzeciego z bródką wcielić w życie, od razu, ach, jak chciałem! I tak mnie mierziło odstępstwo od czystości idei, irytowali różni szalbierze, drażnili deklamatorzy! Ja, podkreślałem, nie jestem deklamatorem, nie jestem karierowiczem, ja poszukuję i błądzę, to wszystko z żaru wewnętrznego, z tej idei czystej, która duszę mą przeniknęła. No, sam nie wiem, skąd u mnie tyle chytrności było! Więc piąłem się i piąłem, aż zawędrowałem na pozycję najmłodszego w kraju pracownika Aparatu. To już było coś, to była trampolina, od której można się było odbić daleko i wygodnie. A właśnie wtedy, jak na złość, po raz pierwszy, poczułem nakłucie, poczułem, że siedzę w jakimś gorsecie-pancerzu. Nakłucie nastąpiło o wiele wcześniej, jeszcze w szkole, właściwie w drodze do szkoły, w trajlusiu, który telepał się po wzniesieniu Myśliwieckiej, kiedy pewien poczciwina, kolega z sąsiedniej klasy, docisnął mnie do szyby i wysyczał:

jesteś czerwony, nienawidzę cię! Pocziwy to był chłopak, pocziwy, gdyż w gruncie rzeczy podejrzewał we mnie duszę, inaczej po cóż by się fatygował ze słowami nawrócenia na dobrą drogę. Wtedy nie rozumiałem tego, co chciał mi powiedzieć, myślałem, że to jakiś maniak, wariat nieledwie; to był chłopak i pocziwy i odważny, i bystry, gdyż rozszyfrował mnie pod maską swojaka, jaką nakładałem na użytek szkoły. Tak. Jeżeli czegoś żałuję z lat szkolnych, to swojej słabej pamięci, tego, że nie rozpoznałbym go na ulicy, że nigdy nie będę miał okazji z nim porozmawiać. Więc nakłuił mnie ten pocziwiec, ja niczym balon pancerny dopiero poniewczasie zacząłem wypuszczać powietrze – akurat wtedy, gdy stawała przede mną otworem kariera na miarę socjalistycznej Polski!

Zacząłem zastanawiać się, dlaczego ktoś mnie nienawidzi za to, że jestem czerwony. Zacząłem jeździć po kraju i rozmawiać z ludźmi. Obserwować jak ludzie żyją i porównywać. Nadal byłem zadziorny i kłótniwy, ale przestałem już być taki młody i stałem się ironiczny. To nie mogło się niczym dobrym zakończyć, zamiast awansu politycznego otrzymałem skierowanie na studia. Znowu byłem we władzach, czerwony i funkcyjny, ale nie myślałem tylko o karierze, bardziej dbałem o to, żeby mnie nie nienawidzili, tylko patrzyłem, co by tu zrobić takiego, żeby ludzie powiedzieli: czerwony, a taki uczciwy i porządny! Jednym słowem: zostałem oportunistą.

Doczekałem rozmów wyteśknionych, a przecież napełniały mnie lękiem. Różni ludzie, tacy, którym ufałem, którzy byli dla mnie ważni, byli autorytetami, pytali mnie cichcem: słuchaj, właściwie, dlaczego ty, z twoimi poglądami, z twoją postawą, masz legitymację? A komuchy już uważały mnie za obcego, za odszczepieńca. Więc to była ta wymarzona sytuacja oportunisty, jednak bałem się jej. Bronilem w tych rozmowach idei, przynajmniej tak było na początku. Bełkotałem o błędach, wypaczeniach, o konieczności powrotu do źródeł. Z czasem, ale to po latach, zaprzestałem. Piszczalem płaczkliwie o konieczności zdania rachunku, o odpowiedzialności za czyny, skoro nabroilem, to teraz moim psim obowiązkiem jest walczyć w partii, gardłować od środka przeciwko temu, co ona złego czyni narodowi, i tak dalej. Aż wreszcie, mówiłem, doczekam dnia, że mnie wyrzucą. I niech to zrobią, ale sam nie ustąpię, wypiję ten kielich do końca, spłacę rachunek.

Gardłowałem, piszczałem, wykonywałem głupawe gesty przed ko-

muchami. A teraz już mnie to znudziło, poczułem obcość całkowitą, chciałem zrzucić z siebie tę legitymację, ten pancerz głupoty, ot, tak po prostu. Ale znowu licho mnie podkusiło i zamiast wsadzić legitymację do koperty i wysłać pocztą, poszedłem na rozmowę.

Autobus długo nie nadjeżdżał, pomaszerowałem piechotą, po drodze wiele zasadzek: znajomi, księgarnie, kawiarnie, długo by o tym opowiadać, w każdym razie, nim dotarłem na Plac Zamkowy – tam było miejsce tych rozmów – zmienili się ludzie, przyjmujący legitymacje. Kolegów tam swoich spotkałem, tych samych, z którymi od lat wyrzekaliśmy na to, co się dzieje. No wiem, sam wiem, i proszę mi tego nie przypominać, że wyrzekaliśmy wprawdzie razem, ale ja w nic nie wierzyłem, przemiany komuchów miałem głęboko gdzieś, a oni właśnie o te przemiany walczyli. Tak. Więc to wiedziałem, jednak głupio mi się jakoś zrobiło i ręka z legitymacją zdrzęzała. Zaczęli mnie prosić, przekonywać, tłumaczyć, na specjalnych planszach rozkład sił pokazywać, z którego to jasno wynikało, iż ode mnie wynik batalii zależy – ustąpiłem. Schowałem legitymację do kieszeni i poszedłem swoją drogą. Dałem im czas do zjazdu.

Taka to jest ta moja panorama z legitymacją w herbie. W albumie wyraźnie widać jak wkraczam na scenę wydarzeń, niby uwolniony od pancerza głupoty, jednak z czymś szkaradnym w portfelu. Trudno.

Dobrze odżywioną panią z nożycami dojrzał John Pulasky, gdy dzieliło ją od rakiet kilka sekund biegu. Takiej sytuacji nie było w regulaminie. Nie było też czasu na zwrócenie się do przełożonych. Normalny amerykański marines, nie mówiąc już o przysłowiowym sierżancie, zbaraniałby po prostu i dopuścił jak sparaliżowane cięło do obcięcia siły atomowej NATO. Ale w Johnie zagrała krew przodków. Miał trzy sekundy. Sekunda pierwsza: John uświadomił sobie, że decyzję musi podjąć sam i że odpowiada nie tylko służbowo, ale i materialnie za rakiety (każda miliard dolarów). Sekunda druga: John przypomniał sobie dzieciństwo, rodzinę, ojca, matkę, zwłaszcza nieznanych kuzynów z dalekiej Polski, którym posyłał dolary na ich upadające gospodarstwo rolne; miał przed oczyma niemal każde słowo z ich błagalnych listów – cóż on mi pośle, gdy przyjdzie mu spłacać rakiety? Sekunda trzecia: John czekał na cud, a to podświadomie na-

sunęło mu na myśl ludzi z czerwonymi gwiazdami na czapkach i fala goryczy załała serce Johna, choć zrodzone na obczyźnie to do głębi polskie. Wtedy John nacisnął czerwony guzik.

Słowo i nienawiść rosły razem. Niezdecydowane, wątpliwe, o krętych drogach, nieśmiałe i harde, buńczuczne i lękliwe. Naprzeciw nim rosła duma. Duma panów i nienawiść niewolników, to najbanalniejszy schemat w dziejach świata. Ale duma była gorzka, przełamana w środku, w tej dumie było upokorzenie – nikt nie był cezarem, duma jak władza pochodziła z nadania, z łaski obcego władcy, namiestnik co dzień pilnował czy równo zginają się karki przed kremlowskimi ołtarzami. Co dzień musiałeś pamiętać, że twoja duma pana wywodzi się z upokorzenia. A nienawiść nie była podległa, mogłeś nienawidzić i godzić się z losem, mogłeś nienawidzić i brać się za bary z przeznaczeniem, mogłeś nienawidzić i być z tego dumny. Duma panów była pełna upokorzeń i strachu, nienawiść niewolników pełna dumy i godności.

Do tego w ludziach rosło słowo.

Ach, wiem, wiem, nie miało prawa rosnąć! Zrobiono przecież wszystko, co trzeba, żeby niewolnicy byli niewolnikami i niczym więcej. Och, tak, mogli się czasem buntować, to było oczywiste, ale ich bunt nigdy nie miał szans na zwycięstwo. Zdjęcia w moim albumie pokazują to z bezwzględną wyrazistością. Są to zdjęcia ludzi, których zamieniono w bydło robocze. Odebrano im oczy, żeby nie mogli czytać, wyrwano języki, żeby nie mogli krzyczeć, przetrącono ręce, żeby nie mogli wyrażać. Zostawiono karki do zginania i pot do pocenia. Mogli tylko zasuwać do fabryki, chlać wódkę i płodzić następnych niewolników. Obiecywano im, że dostaną niebawem, jak się postarają i wyteżą w pracy, drugą kromkę chleba – na miarę drugiej Polski.

Trudno, wejdźmy w pierwsze lepsze zdjęcie, przejdźmy się ulicą, którą przedstawia, wstąpmy do dowolnej kamienicy, zastukajmy do drzwi, jakie nawiną się nam pod rękę. Jesteśmy w robotniczej rodzinie robotniczego państwa. Otwiera mi się w kieszeni pióro literata Witka. Widzę kołyskę z dzieciątkiem, albo barłóg z alkoholikiem. Ot, taki socrealizm na dwa sposoby: na czarno i na różowo. Propagandowo i demaskatorsko. Jak brzmi zamówienie? Acha, demaskatorsko, za pieniądze obcych agentur. Ale których agentur? Dosyć żartów! Lepiej

od razu się przyznaj, że nie potrafisz opisać życia robotnika. Rzeczywiście nie potrafisz. Nigdy nie pracowałem jako robotnik, nie mieszkałem w robotniczej rodzinie, nie miałem przyjaciół wśród robotników. Są mi obcy. Są mi obcy jako robotnicy, są mi obcy jako ludzie obcej mi pracy; pracy, której nie znam i nie rozumiem, choć przywykłem za innymi powtarzać, że jest ona ciężka. Och, naczałem się w różnych mądrych książkach o tym, jak to człowiek degraduje się fizycznie, psychicznie i umysłowo, wykonując bezmyślnie, rutynowo, mechanicznie te same czynności, jak degradują go warunki pracy i warunki bytu. Jak zdegradowany jest robotnik. Inne mądre książki, głosiły apologię robotnika, jego wywyższenie i wywyższenie jego trudu. Doświadczenie podpowiadało, że jedynie bunt „tych zdegradowanych” może cokolwiek zmienić w kraju.

Stanął zapity robol na drodze wszystkim rakieto-czołgom Paktu Warszawskiego. Sam, prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, czego chce, wiedział jedynie, że nie ustąpi. Z pijakiem nigdy nie ma porządnej rozmowy.

Jesteście zawiedzeni, prawda? Oczekiwaliście łzawych lub szarpiących nerwy opowieści o nędzy, upodleniu, pocie, buncie, nienawiści, o czworakach i bimbrze. Po co opowiadać o tym, co oczywiste, rysować obrazki, które każdy z was może obejrzeć na własne oczy, jeżeli tylko zechce. W nędzy, tej dosłownej materialnej nędzy, wegetowało w robotniczym państwie zawsze trzy czwarte narodu. Nędzarze mieszkali w ruinach, jedli co popadnie, umierali młodo z chorób i braku sił (chęci) do życia. Tak było i tak jest. I tak będzie póki tchu w płucach realnego socjalizmu.

Zerwało się jednak słowo z uwięzi. Wydobył krzyk z ludzkich gardel. Ludzie otwierali usta, choć jeszcze nie wiedzieli, co powiedzą. Słowo wychodziło z nich, rozglądając się ostrożnie na boki, mrużąc oczy od światła dnia, zawisło w powietrzu, uszy chciwie odczytywały zawartą w nim treść. Ludzie z własnego krzyku dowiadawali się o co im chodzi.

– O co im chodzi?! – denerwował się dyrektor. – No powiedz, ty tu jesteś od polityki – i spojrzal na sekretarza.

– Odpierdol się! – sekretarz zerwał się z miejsca. – Skąd ja mogę wiedzieć. Zresztą, oni sami nie wiedzą, czego chcą. Tłumoki pieprzone.

Za oknem budynku dyrekcji widać było snujące się grupki ludzi. W uszy biła cisza złowroga stojących maszyn. Nagle zadzwonił telefon.

– Tak – meldował dyrektor – bez zmian. Nadal stoją. Tak. Czego chcą? Nie wiemy, niczego nie zgłaszają. Tak. Tak, zapytam. Na pewno chcą pieniędzy, tak, oczywiście, dostaną podwyżki, tak, zaraz im to powiem.

Z ulgą rzucił słuchawkę na widelki.

– Przyślij mi tutaj tego Kazia od radiowęzła – zatarł ręce – przemówię do nich, dostaną znaczną podwyżkę pod warunkiem, że od razu wrócą do roboty.

– Zapomniałeś chyba, że odcięli głośniki. Wczoraj, jak do nich przemawiałem.

– Trudno, ach, ach, to nic, pójdę do nich. Zaraz pójdę.

– Zwariował – rzucił sekretarz cierpko i uważnie omiatał wzrokiem pustą ścianę gabinetu.

W hali jacyś młodzi robotnicy wzięli dyrektora delikatnie pod ręce i zaprowadzili do stojącego na uboczu boksu – Tutaj obraduje nasz komitet strajkowy – poinformowali.

– Komitet? Po co zaraz komitet?! Przecież się dogadamy – usiłował żartować dyrektor, ale nie uśmiechnął się nikt poza nim.

Mężczyzna o pociągłej, skądś znajomej dyrektorowi twarzy, wskazał mu ręką krzesło.

– Proszę, niech pan siada – powiedział. – Właśnie opracowujemy zakładowe postulaty.

– Tak, tak – rzucił gwałtownie dyrektor – udało mi się załatwić pieniądze na podwyżki, znaczne podwyżki, po tysiąc, dwa tysiące na głowę, ale musicie zaraz wrócić do maszyn. Wszystkie postulaty rozpatrzmy już na spokojnie, wspólnie, oczywiście, wspólnie. Tylko wróćcie do pracy, na miłość boską, wiecie jakie straty codziennie ponosimy, każdej godziny?!

W boksie zapanowała cisza. Słychać było kroki robotników przechadzających się po hali.

– To co, chłopcy – spytał ten o pociągłej twarzy. – Chyba może być?

– Chyba tak – mruknął jeden z obecnych.

– W porządku. Jeszcze dzisiaj, panie dyrektorze, dostanie pan od

nas postulaty. Od jutra wracamy do roboty i od jutra również będziemy gadać, jak i kiedy spełnicie nasze żądania.

– Jasne, jasne – rzucił już na odczepnego dyrektor i pomknął do gabinetu. Nie spodziewał się, że pójdzie tak łatwo.

– Miałeś rację – powiedział sekretarzowi, który nadal nieruchomo tkwił w fotelu – Sami nie wiedzą, czego chcą. Zamigotałem im pieniędzmi i po kłopotcie. Poczekaj, zawiadomię województwo.

Tymczasem w hali trwało zebranie załogi. Komitet strajkowy oznajmiał o uzyskanych podwyżkach płac i o powrocie do następnego dnia pracy.

– Te, koński ryju – zawołał ktoś z tłumu, gdy facet o pociągłej twarzy skończył mówić. – Po co nam te papierki jak nie ma co za nie kupić?!

– Sam se wracaj do roboty – zawtórował mu jakiś bas – mnie się dobrze kima.

– Hej, mądrało, a dla Gdańska to zabrakło pieniędzy, że jeszcze stoją?!

– Zabrakło papieru do drukowania! – skomentował ktoś energicznie.

– Dajcie spokój! Przecież to nasz komitet...

– Partyjny!

Gruchnął śmiech. Nikt już nie mógł zapanować nad gwarem i hałasem. Antoni sam nie wie jak znalazł się na schodkach dźwigu i zaczął przemawiać.

– Czy nam chodziło o tysiąc złotych? – spytał. – Nie. Gdybym chciał mieć tysiąc złotych więcej, to wziąłbym nadgodziny, po co mi strajkować!

– W Gdańsku mają postulaty! – krzyknął ktoś z tłumu.

– Mają postulaty – mechanicznie powtórzył Antoni.

– I co one nas obchodzą?! – krzyknął dyrektor, który nie wiadomo kiedy znalazł się w hali. – To są ich sprawy, nie nasze, my powinniśmy zadbać o swoje!

Zapanowała cisza, ale na chwilę. Ktoś zabuczał. Zaraz po nim ktoś inny. I nie trwało ani sekundy, kiedy buczenie wypełniło halę. Antoni uniósł rękę w ucziszającym geście. Buczenie zacichło. – Pozwólmy mu mówić – zażądał Antoni. Ze zdumieniem, choć bez żadnej jeszcze refleksji, podświadomie i automatycznie, rejestrował, że jest słuchany, że niczym dyrygent kieruje zachowaniem tłumu.

– Kochani moi – zaczął dyrektor, ale zamilkł spłoszony nieśmiałym gwizdem. – No więc – ponowił dyrektor – chciałem wam powiedzieć, że zawsze bardzo sobie ceniłem waszą współpracę, zawsze stanowiliśmy jedną rodzinę, i jak to w rodzinie, oczywiście, mogło być różnie, prawda, mogły być i sprzeczki, jednak, no tak, jednak życzliwość zawsze była i wspólny był interes.

– Interes ci z portek wylazł!

Rechot zagłuszył dalsze słowa. Antoni znowu podniósł rękę w upominającym geście. Ucichło. Dyrektor mówił dalej:

– Troszku kultury, prawda. Więc było różnie. Na pewno, nie zawsze wszystko, prawda było w najlepszym porządku, nie zawsze dostawaliście to, co wam się należało. Tak, były błędy. Ale gdzie ich nie ma, prawda? Tylko ten, który nic nie robi nie błądzi. Musimy być dla siebie wyrozumiali, przecież na pewno się dogadamy, wszystko można załatwić!

– Pan sobie, to na pewno!

– Co to ja chciałem? Acha, spójrzmy lepiej na to, co przed nami. Czy wiecie, ile kosztuje każda godzina przestoju? I kto za to w efekcie zapłaci, jak nie wy?! Tak, wy, właśnie wy!

– Dzisiaj ty zapłacisz!

– Nie kłóćmy się! Przecież chodzi nam o to samo, chodzi nam o spokojną pracę i o spokojne życie. Przecież jesteśmy Polakami!

– Dajcie nam żyć!

– Przecież jesteśmy Polakami. Przecież się dogadamy.

– Dajcie nam żyć!

– Przecież jesteśmy Polakami.

– Dajcie nam żyć!

– Przecież...

– Dajcie nam żyć!

Tak to było, braciszku. Tak pokazuje mój album. Brano też pieniądze i kończono strajk. I tak było. Ciekawe jednak, że słowo nie dawało się przekupić. Ludzie wracali do maszyn, kasa wypłacała pieniądze, jednak nadal krzyczeli. Otwierali usta, z tych ust wyfruwało słowo – wpatrywali się w swojego złocistego ptaka, podziwiali jego odwagę, wolność, piękny lot nad ziemią, aż docierało do nich, że to ich własna dusza, własne myśli, że to oni sami tak wyglądają, gdy są wolni. Ponownie wyłączali maszyny, albo nie wyłączali, tylko mówili: wy-

łączymy jak Gdańsk nas poprosi, na razie pracujemy. Tak to słowo, które pojedynczo było nawet i piękne, ale nietrwałe, delikatne, kruche i bezbronne jak jętka, jak jednodniowa muszka, rosło, łączyło się z innymi pojedynczymi słowami, wykwiatało na różę o pniu jak dąb i korzeniach palmy. Ta krucha, delikatna róża mocniejsza, trwalsza była niż granit.

Zawirował pokój. Rozsypały się fotografie, na moment, by tym łatwiej ułożyć się w drogę świetlaną z bramą triumfalną na początku, a i metr dalej, i tak na każdym metrze. Jasność mnie w oczy uderzyła, musiałem gwałtownie okulary ciemne założyć, och, gdybym umiał czytać w znakach tajemnych, gdybym ten mane, tekel, fares wyczuł swymi nozdrzami, ba, zrobiłbym wtedy karierę. Ale nie dla mnie, raba, takie rzeczy.

Cóż było robić, zanurzałem się w te zdjęcia, czyli wszedłem na drogę, nie bacząc, że łuk triumfalny na głowę zwalić mi się może. Ryzyko zawsze było moim żywiołem. *Ryzyko, ryzyko, niech cię porwie лихо, tyś mój brat, tyś towarzysz, z tobą mi do twarzy.* Rozglądałem się dokoła, wytrwale się rozglądałem i niczego poznać nie mogłem. Niby te same domy, krajobrazy, ludzie, jednak jakbym do krainy aniołów trafił, między świętych zawędrował, w niebie niespodzianie się znalazł. Rączki czyściutki, spojrzenia ufne i szczerze, postęпки chwalebne. Dobroć, dobroć wszędzie! Robotnicy anioły, chłopci anioły, inteligenci anioły. Ki лихо! Wśród przyjaciół żyjemy, imperializm w pas nam się kłania, partia wznosi kościoły, księża modlą się o socjalizm, no, myślę sobie, Mediator miał rację, szczęśliwość ogólna na naszą krainę spływa, nie chciał tego jeden instruktor, ale właśnie go usunięto, więc przeszkód już nie ma, dalej razem, mili bracia, dalej w zbożnym dziele. I murarze, tramwajarze, i hutnicy i górnicy... Ach, ocukrzone moje serce, miodem spływające, ach solidarność niczym opaskę na rękaw nasunęliśmy i już tyran stał się swoim chłopem, już jest naszym bratem, jesteśmy jedną rodziną. A poza tą pieśnią, poza hosanną polską, skrobanie niosło się po kraju. Skrobał każdy swój brud, cichcem, nocą do śmietnika wynosił, w rzece topił, z brudu tego dzielni saperzy ulepiły wały nadrzeczne, potężne, już żadna powódź nam nie była straszna. W dzień czyścioszki po ulicach ganiały, w nocy skrobanie odchodziło. Tak mijały nam kartki z kalendarza. Niestety, robota dzielnych saperów na marne poszła, pewnej mroźnej nocy – jakiś czas później, rzecz

jasna – hieny podkradły się nad rzekę, każda wyszarpała słuszną miarę brudu, garnitur bojowy sobie z tego ulepiła, gniazdko wygodne uwiła, znowu była na czele i na wozie; i wówczas wielka powódź przysła. Na razie jednak brud leżał odłogiem. Nawet się go wstydzono.

Dziwowano się wszędzie i wszystkiemu. Ludzie byli nadal mali, grzeszni i paskudni. Lepkość mieli w spojrzeniu i dłoniach. Każdy pazerny i upodlony, każdy szarpiący do siebie, co się tylko da i patrzący, jak tu przetrwać kosztem innych. Więc, braciszku, przystawali świetnie do dni minionych, byli wierną kopią cudownego obrazu realnego socjalizmu, ich brud prywatny scalał się w jedność z brudem oficjalnym, brudem państwowym. Brud w służbie brudu! Oto ideał. A jednak coś zgrzytało. Dziwne to, ale fakt, sprawdzalny, namacalny, rzeczywisty i skrzeczący. Ludzie oblepieni brudem, zaprzęgali swój brud w służbę czystości. Brud i czystość, ogień i woda. Harmonia przedziwna zaistniała, żadnych zgrzytów, nic. Brud prywatny stapał się w tyglu czystości ogólnej w najprawdziwszy złoty kruszec. Ot! Duch Midasa zapanował nad umęczonym krajem.

Antoni klęczał w pierwszym rzędzie. Ołtarz stał na podwyższeniu z desek tuż przy bramie głównej. Brama była granicą dwóch światów, przecież teraz, w słowach modlitwy, niknęła, rozplywała się w powietrzu, tłum klęczących robotników i tłum klęczących po drugiej stronie bramy mieszkańców miasta, stanowiły jedność. Miasto otulało strajkującą fabrykę życzliwością, broniło ulicami pełnymi kobiet i dzieci; kwiaty utkane w bramie symbolizowały nadzieję i poparcie – były zaporą przeciwczołgową. Trwała msza. W hali W-4, w rogu, obok boksu poligrafów, stał włączony telewizor. Jeden z drukarzy ocierając ręce z farby, wyszedł na moment z boksu. Leniwie rzucił okiem na ekran telewizora. Nagle dotarło do niego, co ogląda. Wrzaskiem przywołał kolegów. Tysiące osób modliło się przy bramie, tylko kilku drukarzy oglądało jak facet z wąsami razem z dygnitarzem podpisywali jakiś papier. Koniec strajku?

Gdy skończyła się msza, drukarze opowiedzieli kolegom o transmisji. O tłumach, o wiwatach, o wielkim niczym wieża długopisie. Antoni zwołał wiec. Drukarze powtórzyli wszystkim swoją opowieść.

– Koniec strajku? – spytał Antoni.

– Ja im nie wierzę! – krzyknął ktoś z tłumu.
– Komu nie wierzysz? Wałęsie?
– A skąd wiesz, że to był Wałęsa? Widziałeś go kiedyś?!

– Jasne! Czekamy aż nasi wrócą z Gdańska – niecierpliwili się chłopak w kraciatej koszuli. – W tym pudełku to mogli sobie puścić, co chcieli.

Nieufność zapanowała na hali. Siedziała w ludzkich sercach od dawna, więc nie trudno było ją przywołać. Ale nie była to już nieufność w opozycji do ufności, tak jak nienawiść bywa często opozycją do miłości. To była nieufność bez żadnych więzi z ufnością, nieufność bez oczekiwania, nieufność tożsama z odrzuceniem. Ludzie zaczęli ufać, odradzali w sobie ufność niezbędną do życia jak tlen, ale ufali tylko sobie i sobie podobnym. Nawiązywali nici ufności w fabryce i w mieście, opłatywali tymi nićmi cały kraj, i gdy zrozumieli, że te nici wystarczą im do życia, że niczego więcej nie potrzebują, że w swoim kraju starczą sami sobie, to w tym krył się zarodek przyszłej tragedii. Wyzwoleni całkowicie, udawali później wytrwale, że spierają się o kolor kajdanków i o luz na przegubach dłoni. Tłum modlący się po obu stronach bramy, nie zwracający uwagi na to, co oficjalne, obstaający przy swoim, powodował, że oficjalne coraz skrzętniej zaczęło się podszywać pod autentyczne, że oficjalne chciało zatopić się w tłumie, udając, że nigdy nie było niczym innym, jak tylko potem i oddechem tych ludzi. Ludzie wystarczali sami sobie i dlatego napraszali się o karę. Siedzieli pod bramą długo, tak długo, aż oficjalne wyciekło z nich niczym ropa z rany, oderwało się od nich jak odrzucony przeszczep, oficjalne zrzuciło maskę i założyło karabin. Zniknął tłum przed bramą, porwały się nici, samotni i szarzy stanęli przy maszynach, padli pod kulami, zamknięto ich w więzieniach z kratami i w więzieniach o nazwach miast, osiedli, ulic. Tak, w fotografii bramy ustrojonej kwiatami, otoczonej rozmodlonymi ludźmi, otulonej radością i nadzieją, czaiło się już zgoła inne ujęcie, niczym z Grottgera – dla mniejszości na dwa miesiące, dla niektórych na parę lat – lub z piwnicznej izby Konopnickiej – to dla większości i na dłużej.

Ale, cóż przeszłości z terażniejszej mądrości! Ludzie zaczęli sobie robić zdjęcia. Mam ich mnóstwo w albumie. Och, rzecz jasna, ukrytych gdzie się da, w wydrążonym jabłku, w ząbku czosnku, wklejonych w roczniki „Trybuny Ludu”, podrzuconych spolegliwym znajomym.

No, niby nic teraz za to nie grozi, cóż, najwyżej zabiorą „do depozytu” na wieczne nieoddanie, wezwą parę razy na przesłuchania, takie tam macanki-cacanki. A jednak, byłoby szkoda. Więc odjąłem dzieciom od ust tak im potrzebne witaminy i przerobiłem na skrytki. Słusznie można by powiedzieć, że zaćma nienawiści rzuciła mi się na mózg, mały Morozow wiedziałby, co z takimi, jak ja należy robić.

Na razie, w kraju zapanował uśmiech, diabeł schował się do ciemnego kąta, drżąc ze strachu. Po ulicach biegają kołędnicy z Kuroniem i Gwiazdą, pocziwy lud raduje się dobrodusznie, diabeł zwija się pod różgami. Nic nie dzieje się tak naprawdę, wszystko jak w noworocznej szopce, z kukielkami, podrabiającymi kukielki właśnie, nie żywych ludzi. Och, wiem doskonale, że to nie było tak. Patrząc przecież na fotografie, swoje oczy mam, widzę, co trzeba. I widzę, że całkiem zwyczajni ludzie robili całkiem zwyczajne rzeczy, którymi nie wiadomo dlaczego zachwyił się cały świat, i niemal cały drżał z niepokoju. Kiedyś jednak, jeżeli będzie jeszcze jakieś kiedyś, opowiemy sobie o tamtych miesiącach wbrew fotografiom, za to zgodnie z kołędnikami, diabłem, uśmiechem, walką światłości z ciemnością. Tak będzie.

Usłyszałem dzwonek do drzwi i ze strachu zanurzyłem się w pierwszą z brzegu fotografię. Resztką wystającego na powierzchnię ucha, usłyszałem głos znajomego, ale nie mogłem się już cofnąć. *Wpadło, przepadło.*

Za stołem siedzieli kilkunastu sztywnych ponuraków. Miałem dotkliwe wrażenie, że ich znam, choć przecież widziałem te gęby pierwszy raz w życiu. Nie mogłem wyrwać się ze zdjęcia, wrócić za biurko i obejrzeć album, ale byłem pewien, że na każdej stronie są ich podobizny; siedzą za stołem prezydialnym, stoją na trybunie prowincjonalnego pochodu, asystują przy przecięciu wstęgi. Sól partii. Zawsze tacy sami faceci, czas się ich nie miał, jedynie zmieniał się ubiór – jak moda ideologiczna dyktuje, od tenisówek, dwurzędówek, skórzanych płaszczy, przez ortaliony, gabardyny, granaty marynarek, do zamszowych kurtek i wysokich butów. Teraz gadali, powoli, z namaszczeniem, troska biła z ich lic. Szukali więzi z robotnikami, ze swoją klasą. Bo tak, więź została naderwana, nie przez nich rzecz jasna, oni zawsze, razem ze swoją klasą, oni z klasy, ba, oni klasą, ale więź naderwana żdziebko, zaprzędana za wille i konsumpcję, przez tych tam, gdzieś na niebotycznych szczytach, a oni zawsze z robociarzami, no i oni z partią,

acha, oni z partią i oni z robociarzami, więc skąd ta więź przeklęta, ta naderwana, no, skąd? Nie mędrkować jednak, nie pieniać, jest jak jest, będzie jak będzie, a będzie tak: więź zacerujemy, zawiążemy, zasupłamy, że sam diabeł się nie rozezna. Po tej więzi jak po sznurku, przyjdą do nas wszyscy, jak po sznurku, jak po powrozie, co na szyję, tfu, jak po sznurku, z którego szczęście utkamy. Ale, cholera, na razie nie leżą, na co czekają, co?, ogłosił więc zdecydowanie, gromko, że my czekamy, że my właśnie po to, żeby do nas, żeby przyjść, żeby poskarżyć się co boli, och, my to pochuchamy na biedaków, rany opatrzymy, do serca utulimy, no, niech przyjdą, no, do jasnej ciasnej, niech wreszcie przyjdą!

Spójrzmy szerzej, dlaczego nie przychodzą? Spojrzałem szerzej. Stół i gęby bez zmian. Ale ten, co teraz mówi, inny, uduchowiony z lekka, szlachetne rysy twarzy, już się prawie nabrałem, kiedy nagle błysk, tak, to typowa baba z brodą, czyli facet kurwa, ta kurwa z pożądanymi, okrasza każdy stół czerwonego, o obliczu szlachetnym i manierach inteligenta, słówkiem obcym zajędzie, wytłumaczy nowe pojęcie, ten, co potrafi złapać w lot nowe prądy, jaki jest zgryźliwy wieczorem w domu, jak pogardza, im bardziej pogardza, silniej, tym wierniej służy, chętniej, na czterech łapkach. Spójrzmy szerzej, mówi, dlaczego nie przychodzą. Nie przychodzą, bo nie mają zaufania do administracji, a i do nas – powiedzmy sobie szczerze – nieco je utracili, no cóż, zbyt tolerowaliśmy poczynania administracji, zbyt się z nią utożsamiliśmy, to znaczy, wiadomo, że nie, że walczyli my ze złem, gdzie się tylko dało, tak walczyli my zażarcie, no cóż, jednak. W tej walce zażartej, czasu nam zabrakło, energii, licho wie czego, ot, żeby się tą walką pochwalić, pokazać ją innym, och, żeby inni wiedzieli, że my z nimi, a przeciw złu. Tak, skromność to dobra cecha, to pożądana cecha, ale teraz – powiedzmy sobie szczerze – zbieramy jej owoce, gorzkie owoce.

Zamilkł, na sali zrobiło się jakoś przyjemniej, powiało zyczliwością. Nastął czas satysfakcji. Ziewnąłem z niechęcią i nieukrywaną wzgardą. Sekretarz omiół mnie czujnym spojrzeniem. W takich dniach, jak dzisiejsze, facet z prasy, z centrali, to znacząca persona, posłaniec zmian politycznych, napisze dwa słowa i kariera gotowa, albo i po karierze. I nic, swołocz, nie zdradzi, w co teraz gramy i za ile. Tylko pyta, albo słucha. Pary z ust ani ani. Pomogłem sekretarzowi, ot, podkuśiło mnie, żeby być animatorem wydarzeń, dlatego pogardę okazałem. Se-

kretarz złapał ją w lot. Otóż, powiedział, zróbmy krok dalej, i powiedzmy sobie od razu, że nie jesteśmy bez winy. Tak, tak to właśnie jest. Jaki z tego wniosek, towarzysze? Bardzo prosty, tak prosty, że nadziwić się wręcz nie mogę, iż niektórzy jeszcze go nie widzą – i tu spojrział uważnie na babę z brodą. Tamten z emocji nie wytrzymał i krzyknął: pokajając się czas, pokajając! Sekretarz machnął niecierpliwie ręką – Wy się, towarzyszu, możecie pokajać, widać macie za co, ale partia kajac się nie będzie, partia grzechu nie popełniła! Partia – prawda, musi wyjść z za swoich biurów i pójść prosto do ludzi, tam, przy ich warsztatach pracy, spytać, co ich boli, wsłuchać się w głos klasy robotniczej, w głos klasy chłopskiej. Wniosek: nie czekać aż przyjdą, pójść do nich, wyjść naprzeciw, cierpliwie rozmawiać, cierpliwie tłumaczyć, uczyć się ludzkich pragnień. To jest czas działania, nie czas kajania!

Zabrał głos socjolog. Mamy tutaj, powiedział, towarzyszu sekretarzu ankiety, to nam pozwoli zejść do ludzi nie w ciemno, a w jasno, z wiedzą o nich, o tym czego chcą. – I co nam z takiej wiedzy?! – wrzasnął sekretarz. – Przez całe lata tylko ankiety wypełniali i było dobrze, teraz nagle jest źle!

– Ale to z Warszawy.

– To co, że z Warszawy?! Tam właśnie tych gryziopiórków różnych masa, tam ci uczeni radzili i radzili, ankiety były i co, do czego to doprowadziło?!

– Ale to stamtąd.

– Skąd stamtąd?

– No, z, no wiecie, no, stamtąd.

Sekretarz oklapł. – Co mamy z tym zrobić? – spytał.

– Zebrać i wysłać prosto do Warszawy.

– Jak to do Warszawy, a komitet?

– Bez komitetu!

– Bez komitetu?!

Sekretarz był wyraźnie zagubiony. Coś się dzieje, czego złapać nie sposób, jakieś ruchy, ankiety, hasła jeszcze nie wyraźne, już trzeba to wszystko opanować, nauczyć się, przecież nie wiadomo czego. Kto chciałby jeszcze zabrać głos, spytał na odczepnego i zapadł w nicość.

Zniknęła życzliwość i poczucie satysfakcji przed chwilą obecne na tej sali. Na stole pojawił się zezwłok szczura. Zabierano głos obficie, choć bez chęci. Słowami odpychano szczura jak najdalej od siebie,

w przeciwległy róg stołu. Krążył ten zezwłok niczym kula bilardowa, każdy drżał, żeby uderzony ręką mistrza nie trafił do jego otworu.

– Panowie – zagaił nagle ze swojska sekretarz – nie chrzańcie mi tu więcej o szczurze, gdzie on jest?! – i dramatycznym gestem wyciągnął rękę w stronę padliny. – Gdzie? Ja go nie widzę! Czy wy go widzicie? Nie. No właśnie. Ale on jest. Czuję jego zgniły zapach. Ale gdzie jest?! – zawiesił głos. – Tam! – i wskazał ręką w górę.

– Co macie na myśli, towarzyszu – spytał nerwowo instruktor z dzielnicy.

– No, tam, znaczy się, na samej górze, tam w Pałacu, tam.

– Acha – mruknął instruktor i na wszelki wypadek przybrał minę pokerzysty.

Nagle furknęło okno, trzasnęły okiennice, zgrzytnęły framugi, szczur niczym rakieta wystrzelił w powietrze, i już go nie było, gnał do Warszawy, gnał krętą drogą, gnał przez biura i komitety, urzędy i instytucje, dołączały się do niego inne szczury, całe watahy szczurów gnały do stolicy, aż tam, zebrane z całej Polski, wezbrały w jedność szczurzą i tą jednością spadły na piersi Pałacu, oślizgłymi łapami zaparły Kierownictwu dech w piersiach, omotały szyję szczurze zęby, zajrzały w struchlałe oczy Głównego Sędziego. Tak dobiegły szczury swoich dni, nie został po nich w kraju nawet lekki zapaszek. Partia poczuła się oczyszczona.

– Wystarczy okno uchylić – zażartował sekretarz – żeby już było czym oddychać, żeby się atmosfera polepszyła, o to najbardziej chodzi, prawda? No, teraz do roboty!

Niestety, były to już czasy anarchii i aparat fotograficzny mógł mieć każdy, kto chciał. Nawet niektórzy czerwoni robili ukradkiem prywatne zdjęcia. W tak zbożnym momencie, kiedy utrudzeni ludzie porwali się od stołu, żeby ruszyć do roboty, entuzjasta socjalistycznych reform, wyciągnął zza pazuchy jeszcze mokrą odbitkę i zaczął wykrzykiwać:

– Szczur! Szczur! Szczur! Mam naszego szczura, patrzcie, oto on, to nasz portret, o! A w fiolce mam zapach, chcecie, żebym otworzył?

Sparaliżowało ludzi w jednej chwili. Jak kto stał, z ręką opartą o krzesło, z nogą na pół wyciągniętą spod stołu, z palcem w drodze do ucha, zamarli w bezruchu. Entuzjasta darł się, jakby go obdzierano ze skóry:

– Otworzę fiolkę, otworzę! Poczujecie, co ludzie o was myślą, o was,

o nas, tak, niestety, o nas. Ale nie myślcie, że teraz tak łatwo wam pójdzie, o, nie. Teraz odpowiecie za wszystko, teraz wszystko się zmieni, teraz przestaniecie zaśmiewać partię, my tej partii blask przywrócimy, my!

– Co za my?! – zawył sekretarz – Co za my?! My to my, a nie wy, i już!

– Będą wybory – cicho, ale dobitnie wycedził entuzjasta, nagle uspokojony – będą wybory. – I wychodząc z sali delikatnie zamknął drzwi za sobą.

– Tak, to tak – rzekł sentencjonalnie masywny towarzysz, do tej pory nie zabierający głosu. – Proszę – powiedział do sekretarza, wysypując z teczki kupkę czerwonych legitymacji – przekazuję w wasze ręce moją organizację podstawową. Acha – dodał, sięgając po portfel – oto i moja legitymacja.

Szare sylwetki zaczęły wymykać się z sali bez słów. Przy stole, nad stołem czerwonych tekturek, tkwił oniemiały sekretarz. Pomyślałem, że nic tu po mnie i również uciekłem. Na korytarzu dognałem entuzjastę. Czuję, że idzie na tajne zebranie. Nie był mi chętny, ale wstyd mu było się wyłgać. Tak trafiłem na spęd entuzjastów. Miało to zresztą tę wygodę, że nie musiałem wychodzić ze zdjęcia, wracać na biurko, nie wiadomo, co zastać w domu, otwierać albumu, szukać nowych fotografii i znowu w nie włączyć. Dzięki własnej bystrości, miałem te wszystkie kłopoty z głowy.

– Jak wykosić złodziei i szalbierzy? – zastanawiał się niski, nieco rozklapiany facet, o zdecydowanych, energicznych ruchach.

– W pionie głównego energetyka mamy przewagę.

– W ilu oddziałówkach wygrają nasi kandydaci?

– W czterech na pewno.

– To wystarczy – wtrącił się mój przewodnik – na konferencji my będziemy zablokowani, oni w rozsypce.

– Nie lekceważ ich, ze strachu zblatują się jeszcze silniej.

– Nie teraz, na razie walczą o własną skórę.

– No dobrze, ale co dalej? – wtrącił wymoczkowaty blondyn.

– Trzeba się dogadać z innymi zakładami i wygrać w dzielnicy, później na wojewódzkiej.

– Ale najważniejszy to Zjazd!

– Niech najpierw do niego dojdzie.

- Dojdzie, dojdzie, zawalczymy o to.
- Co ty, nadzwyczajny? Ruskie się nie zgodzą.
- A co mają do gadania?!

Byłem zdruzgotany. Zdruzgotany ich naiwnością i udawaniem. Grupa harcerzy postanowiła nadać ludzką twarz potworowi. Postanowiła ulepszyć, zmodyfikować potwora. Wyrwać mu kły i przyklepić słodki uśmiech, stępić szpony i założyć kolorową czapkę na głowę, wyrwać z piersi kamień, włożyć na to miejsce duszę. Więc wili się potworowi w rękach i nogach, zanurzali w jego kosmatościach, babrali w jego wyziewach i odchodach. Ot, reformiści. Te złudzenia, że obóz koncentracyjny, byłby rajem, gdybyśmy zasadzili w nim kwiatki i grali w domino z nadzorcami!

Nie miałem ochoty tego słuchać, oglądać. Bzdetów o przywróceniu norm leninowskich, bełkotu o proletariackim charakterze, blekotu o powrocie do źródeł. Oderwaliśmy się od źródeł? Znakomicie! Teraz tylko zasypmy tę rzekę zła, która płynie od tych pieprzonych źródeł, i nie mówmy już o tym więcej. No, a broń Boże, żadnych tam powrotów, do żadnych tam źródeł! Żeby nas znowu zalało?! Zapomnijmy o źródłach, zasypmy rzekę – oto mój plan hydrologiczny, nowy, wspomniały plan Wisła, na miarę naszych czasów i dwudziestego pierwszego wieku.

Za oknem stan wojenny (zawieszony, odwieszony, wprowadzony, uprawniony, zakończony, nieskończony), czyli jasność i prostota: faszyzm, nie jakieś cholerne źródła. No i dobrze.

Kolega W. wyśmiałby mnie nielitościwie, gdyby przeczytał, co właśnie napisałem. Dla kolegi W. ruch partii był ruchem największej polskiej szansy. Ach, dodałby jeszcze kolega W., także zacny profesor L. znęcałby się nad tobą za tę opozycję anioł-diabeł. To takie uproszczenie! Kolega W. widzi wszystko w różnorodności i skomplikowaniu, we wzajemnym powiązaniu i sprzężeniu. Dlaczego ja mam klapki na oczach? Dlaczego tak prostacko postrzegam, co jest do postrzeżenia? Ba, gdybym znał przyczyny swoich ułomności byłbym Freudem, no, Kępińskim, no, Rumiańcem, ach, trudno, zapewne Lowellem... *Degenerat, degenerat, robisz z siebie teatr, degenerat, degenerat, toż ty już literat!*

Więc mamy klapki na oczach. To prawda. Coś mi jednak mówi, szepce miłośnie do uszka, że klapki na oczach ma także rzeczywistość.

Może to nie ja upraszczam, tylko rzeczywistość upraszcza? Jeżeli rzeczywistość postrzega anioła i diabła, to kto ma rację – ja, powtarzając za rzeczywistością, czy np. kolega W. komplikując rzeczywistość? A może kolega W. mataczy? Może, nie daj Bóg, mąci? Apage satanas! Co ja plotę, przecież kolega W. to marksistowski anioł, ja co najwyżej anioł zagłady, tak naprawdę to pośledni diabeł, no, pomocnik diabła, no, terminator – i to jeszcze z tych diabłów zacofanych, przegranych, odeszłych wraz z poprzednimi epokami.

Dopowiedzmy do końca, marzy mi się kapitalizm, och, nie tak, jak wszystkim, nie żeby wyjechać, emigrować, obłowić się, kupić to czy tamto. Nie. Ja chcę przywrócić kapitalizm w Polsce. Mówię to jasno i wyraźnie, żeby nikt nie miał wątpliwości i żeby nie było do mnie późniejszej pretensji. Jak mi się uda. Żeby nikt nie krzyczał, że go oszukałem, zwiodłem, wziąłem na lep mętnych haseł. Żadnej mętności, wszystko kawa na ławę: żądam kapitalizmu! (Czy zanotowali ci, co trzeba? Nie przegapić, że poprzednio wypowiedziałem się za wojną!)

Komuchy obchodzą mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg, dlaczego mam się przejmować ich ewolucją, skoro w ogóle ich nie chcę? No, jasne, w demokracji mogliby sobie istnieć, rozwijać tę swoją ideologię, gdzieś tam na marginesach normalnego społeczeństwa, bo w normalnym społeczeństwie mogliby być tylko na marginesie. Prawda, przyznaję bez bicia (w sądzie tego nie potwierdzę, cofnę wszystkie zeznania i powiem, że byłem bity!), no więc przyznaję, że raz kiedyś, tak pod koniec Gierka, zainteresowałem się komuchami na serio. To, myślę sobie, rozwinął się nam czerwony na całkiem tłustego burżuja, we łbie mu się od zbytku i swawoli przewraca, a nuż, myślę, weźmie i mianuje się właścicielem kraju, właścicielem znaczy kapitalistą. No, to wtedy już tylko jeden krok. Ale czerwony pękł, do źródeł zechciał wrócić, i tak moje nadzieje szlag trafił! Faszyzm bez kapitalizmu, tego już nie idzie wytrzymać.

Otwieram album, na stronach 80 i 81 fotografia anioła. Anioł furczy nad krajem, anioł swoim płaszczem dobroci, mądrości i sprawiedliwości wokół zamiata. Słowo wyszło z ludzi, anioł zagarnia je pod siebie, zagarnia i zagarnia, z ust jego hasła wykwitają. Odnajdują się ludzie w słowach anielskich, odnajdują w nich swoje słowa i myśli,

trochę ścieniowane, podretuszowane ździebko. No nie, nie przejdzie aniołowi przez gardło słowo socjalizm, ale i kapitalizm go dławi. Ludzie chcieliby żyć normalnie, bez żadnej polityki, po prostu, no, czyli, no czyli, no, właśnie, właśnie... A tu anioł cap i chowa ich słowo pod swe anielskie skrzydła, otula, sercem grzeje i pieśni anielskie o sprawiedliwości zawodzi. Żeby tych ludzi ochronić! Żeby przed diabłem ukryć, żeby diabłu wmówić, o, popatrz, ludzie chcą sprawiedliwości, czyż ty nie chcesz tego samego, czyż ty tego nie głosisz od lat, czyż nie ma tego w twoich pismach wszystkich? Diabeł kręci się, wierci, wnąchał pismo nosem, tylko musi tę swoją fałszywą minę robić do jeszcze fałszywszej gry! I tak krygują się wzajemnie, obchodzą na paluszkach, miłośnie w oczy patrzą – ludzi z widoku utracili.

Brudni są ludzie jak ich życie. Kradną, oszukują, sprzeniewierzają zaufanie innych, mącą, znęcają się, zaprzędają duszę. Patrzą jak się tu wygodnie urządzać. Wiem, że się powtarzam, wiem, że już o tym pisałem, muszę przecież wytłumaczyć, dlaczego nie ma we mnie miłosierdzia bożego, duch chrześcijański nie ożywia mej duszy, nie – jedyne, co mogę, to nie zwracać na ludzi uwagi. Ale są jeszcze samozwańcy wychowawcy. Och, ci to by ludzi na aniołów przerobili! Ci to by im zło rozżarzoną żelazną z serc wypalali, wszystkie złe nawyki wraz z wątrobą wyrwali. I robią to, nasi wychowawcy, robią od lat. Tych to nie nawidzę. Ze szczerego serca. Nie potrafię nie zwracać na nich uwagi.

Nie dziwi więc mnie zdjęcie, jakie w albumie znalazłem, że z zamkniętymi oczami rzucam się w wir wydarzeń. Nie dziwi, ponieważ był to czas, kiedy wychowawców odesłano na ośłą ławkę.

Patrząc, a tu ten anioł, ta dobroć, sprawiedliwość fruująca, światłość nad światłościami, dydaktyzmem cuchnie. Woła: ludzie, jesteście święci! Ludzie, jak za panią matką, powtarzają: jesteśmy święci, święci, święci... No, znalazł się jeden sprawiedliwy w tej słodkiej Gomerze i zapiszczał: brudni, brudni, brudni. Okrzyknięto go agentem SB, KGB, WDE, BDB, PLE, PLE, PLE. Ależ przepraszam! Oczywiście, że to było inaczej – agentami okrzykiwano agentów, rolnikami rolników, czystymi czystych. Tak było i inaczej być nie mogło. Z samej swojej istoty, jako rzeczą bolszewicy. Skoro w Polsce zapanował anioł, to – z samej swojej istoty – wszystko, co czyniono w jego imieniu było

anielskie. Dlatego krzywd zaznali tylko krzywdziciele, męk męczyciele, dręć dręczyciele. Och, podniosło się larum o przebaczeniu i pojednaniu. Taki jeden deklarował nawet dekadę pokory – sypcie włosy popiołem, agitował własnych funkcjonariuszy, gdy ci tylko patrzyli, jak tu ukryć się w rozgardiaszu.

Nienawiść nie miała więc powodzenia. Zresztą, krzywdy konkretne były z lekka historyczne, winnych nie tropiono namiętnie, koncentrując się na budowie pomników ofiar, krzywdy ogólne – zbyt abstrakcyjne, żeby pchnąć do czynów. Rzucano nas sobie w ramiona, pocałunki braterskie składano, ale każdy czuł chłód sztyletu schowanego w nogawce.

Skąd sztylet u nieczystych w imię czystości schowany? Dlaczego jedni brudni oburzali się na innych brudnych?

Mam w tej sprawie pewien prywatny domysł. Skromny, nieśmiały a obrazoburczy zarazem. Ot, myślę sobie, że chodziło głównie o suwerenność brudu. Zawsze będziemy krętaczami, kłamcami, oszustami, podlecami, cwaniaczkami, katami, złodziejami, co tam kto chce jeszcze. Nic się w naszej naturze ludzkiej nie zmieniło przez wieki i nie zmieni. Och, dążymy do doskonałości, to oczywiste. Chcemy być prawi, godni, sprawiedliwi, dobroczyniacy, miłośnicy, spolegliwi, twórczy. Co śmieszniejsze, bywamy tacy, no, bywają tacy, no, czasem ktoś się taki trafia, no, nie można powiedzieć, żeby nikogo takiego nigdy nie było... Tak. I oto do nas, ułomnych, przyszedł czerwonny i wziął nas za mordę. Brudny ten czerwonny, że świat nie widział. Tylko, że innym brudem, brudem przeciw człowiekowi, nie z folgowania jego naturze. Przeciw człowiekowi dlatego, że obcy, z innego świata ten czerwonny – ze świata rabów, świata niewolników, świata despotów. I tak na człowieku legły dwie warstwy brudu – jego własny, swojski brud i brud narzucony, brud innego narodu, innej kultury. Pozywiści stwierdzili, że trzeba chronić substancję własnego brudu przed przenikaniem brudu obcego, radykałowie i romantycy – rzucili hasło powstania w imieniu jednego brudu przeciw drugiemu brudowi. Ruszył naród z mydłem do boju! Och, nie było jedności. Niektórzy proponowali szczotki, inni gąbki, także pumeks był modny; wychynęli na powierzchnię zwolennicy biczów wodnych, mydła ziołowego i inni znachorzy, nawiedzeni. W całym kraju odbywało się wielkie szorowanie. Okazało się, że kąpiel jest spóźniona – zmieszały się nam te brudy

przez lata. A jak tu zmywać własny brud? Toż to świętokradztwo, cynizm, kosmopolityzm. Zwarły się szeregi obrońców własnego brudu nawet kosztem przymieszki z brudem obcym. Czystość nie przejdzie, krzyczeli znawcy hiszpańskiego (w wolnym tłumaczeniu „no pasaran”). Rada w radę postanowiono więc zakreścić prysznicę, zagwarantować obcemu brudowi autostrady i tory wolne od łaźni, własnego brudu na wszelki wypadek nie tykać, uznając przewodnią rolę brudu obcego i suwerenność brudu własnego. Ale dylemat myć – nie myć, i co myć?, wcale nie zniknął. Postronni higieniści zauważyli ciekawe zjawisko. Jeżeli ktoś stał twardo na stanowisku obrony obcego brudu, sam był nim oblepiony, choćby nie wiem jakich szczotek i mydeł używał, codziennie demonstrował publicznie czyste ręce, to brud i tak wyłaził na wierzch. Brud był bowiem w duszy, sercu, umyśle. To nie był brud fizyczny, tylko psychiczny. Zaobserwowali jeszcze higieniści, że człowiek brudny własnym brudem, gdy zrywał się do walki z brudem obcym, czyścił w oczach, jaśniał i świetlił. Gdy mocnym strumieniem polano brud obcy, gdy strużki tego brudu spłynęły gdzieś w kąty, pojaśniał nam cały kraj. Nie potrafili tego wytłumaczyć higieniści – jak to się dzieje, że naród tak samo brudny jak inne narody świata, nagle rozblęsnął niczym gwiazda zaranna. Gęgali zgryźliwie, że cóż to za przemiany i postęp, cóż to za łaźnia, skoro dusze brudne jak zawsze, jak zwykle, jak nigdy nie będą inne?!

Chodzili tacy badacze pisma po kraju, wypatrywali każdej drobiny swojskiego brudu w duszy ludzkiej i triumfalnie zawodzili: oto brud, i czym on lepszy od brudu innego? Oto ci obrońcy czystości! Tak zawodzili, gdyż dusze ich były oblepione brudem zapożyczonym, brudem wtłoczonym, brudem obcym, brudem, który lśnił niczym srebrniki. Gęgacze ci nie mieli nic własnego, nawet brudu – cali byli skąd inąd.

To są zresztą teoryjki, i nie mają one żadnego znaczenia. Wystarczy, że praktyka wykazała wyższość hasła suwerenności brudu nad hasłem internacjonalizmu brudu. To powinno starczyć każdemu marksisie, amen.

Oto, co ciekawego zaszło. Szlachetność i mądrość wtłoczone między brud swojski i brud obcy, stawały się śmieszne, żalodne, spodłone wreszcie – tak było przez lata. Gdy zniknęły te młoty i kowadła brudu, karierowicz stawał się człowiekiem postępu, egoista motorem przemian, sobek – menedżerem naszych marzeń. Ludzie mądrzy i szla-

chetni stali się świętynią narodową. Brud zwykłych ludzi zmieniał się w złoto całego społeczeństwa. Tak z kraju antymidasów, awansowaliśmy do rodziny krajów midasów. Co to jest socjalizm? Najkosztowniejsza droga od kapitalizmu do kapitalizmu. Trudno, koszty już zapłacimy, tylko czy mamy gwarancję, że przeszliśmy całą drogę? Stąd ten chłód sztyletów.

Ach, nie tylko stąd, poza tym – wcale wówczas tak nie myślano, przynajmniej powszechnie. Cały naród pod przewodem partii, z błogosławieństwem Kościoła i przy oklaskach opozycji, ulepił hybrydę, bałwana, skrzyżowanie socjalizmu z demokracją, no, jednym słowem, triumf Pawłowa pełny. Każdy w tym bałwanie widział własnego Golema, karteczkę z instrukcją między zęby mu wciskał, każdy czuł się jego stwórcą i panem.

Przypominało to dziwaczny ogród zoologiczny, gdzie publiczność staje tylko przed jedną klatką. Karmią swojego faworyta, pieszczą słownie i rękami, wabią, na łakocie chcą skusić – i tylko chyłkiem, cichcem, siłą mięśni badają, co wart Golem, pytają na naradach sztabowych, w środku nocy, w zaroślach ogrodu zwoływanych.

Na razie jednak dni Golema nastąpiły. Chodził ten stwór w pełnym słońcu, oblepiony etykietami. Radość była całkowita.

Tak mam utrwalone na zdjęciach w albumie. Trudno, zdjęcie jest zdjęcie, i niech mi teraz różni tacy i owacy nie wykrzykują, iż było całkiem inaczej. Już słyszę te krzyki, że w Golema nikt nie wierzył, że wcale mu nie klaskał, etykiety nie przyklejał, że uprzedzał, ostrzegał, iż zrobiony ten Golem w określonej fabryce fabrykowanych dowodów, że nie nam starym wróblom brać się na plewy kontrrewolucji i CIA, ani nam czyściochom narodowym na knowania bolszewi. Wiem, ostał się teraz ten Golem za sierotę, choć wcześniej miał wielu ojców. Tak to bywa, nie tylko w rodzinie.

Głaskałem Golema wraz z innymi. To żadne usprawiedliwienie, po prostu, skromny jestem i nie chciałbym obecnie uchodzić za jedyne go odważnego, co palce miłośnie w kędziory Golema zapuszczał. Jak pisał poeta – *jak mały bąk zza węgła sierpień patrzy* – ot kojarzy mi się wszystko jak Jasiowi, zresztą nie pierwsze to wadliwe, błędne odczytanie tego poety, odczytanie wbrew poecie, który pisał o portkach, gdy wieje wiatr historii, ale były to nie te portki, które powinny spadać, tylko te portki, które okrywały tyłki przypalane żelazem przez

obecnych rozmówców koleżanki Teresy T. – kłaniam się nisko. Więc sierpień patrzył, patrzył i oczom własnym nie wierzył. Cóż z tego zwycięstwa ducha narodowego nad materią bolszewi robić się zaczęło, robić zaczęto?! Kto bez winy, niech ciśnie, czym ma pod ręką. Ja nie cisnę, jestem winien, moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina. Głodziłem tego Golema, włoski mu fryzowałem, w oczka miłośnie zaglądałem i gdakałem do innych, że ten potworek to przyszłość nasza wyśniona, raj wymarzony, jasność nad jasnościami.

I znowu, dwoistość dziwną mam do odnotowania, wyplucia, ulżenia sobie. Z nieśmiałości towarzyskiej legitymację czerwonego w kieszeni trzymałem, i ta słabość pociągnęła za sobą inne. Na mózg mi się rzuciło. Zapomniałem, dlaczego chciałem legitymację oddać, z tej zaćmy umysłowej uwierzyłem w Golema. Wznosiłem mu pomnik, czołem biłem jak przed każdym bałwanem człowiek zwykł robić. Tylko chłód sztyletu serce mi przenikał.

Dystans w stosunku do kobiet i dystans w stosunku do polityki. Dystans w stosunku do siebie. I pasja – jedna, wielka pasja: do kobiet, rzecz jasna, do polityki, co każdy zgadnie, i do siebie, gdyż jakby mogło być inaczej. Zmieszanie dystansu z pasją było tajemnicą, którą posiadałem dzięki oddzieleniu kobiet od polityki. Jak to nazwać: chłodna namiętność? Stateczna eksplozja? Harmonijny orkan? Napinanie łuku do granic wytrzymałości cięciwy, ale bez wypuszczania strzały, igranie z ogniem bez rzucania się weń jak ćma, stwarzanie sytuacji krańcowych bez podejmowania krańcowych decyzji. Pasja z dystansem, ale można to nazwać nieodpowiedzialnością, słabością, rozmemłaniem psychicznym. Mniejsza z tym. Ostatecznie jest to na skroś polityczna i pisana na zamówienie CIA książeczyna, nie ma w niej miejsca na magajstwo. Mocodawca płaci i wymaga. Żaden dolar, w przeciwieństwie do rubla, nie jest dawany za frajer – tak wyraża się wyższość kapitalizmu nad socjalizmem, wyższość efektywności nad marnotrawstwem. Bo, gdybym tak, na przykład, pisał na zamówienie KGB, albo choćby SB, albo dajmy na to na zamówienie „Polityki”, to zarobiłbym swoje ruble za darmo, za ułożenie kilku frazesów, kłamstw i fałszerstw, byle podlanych sosem bogoojczyźnianym, państwowotwórczym, menedżerskim (w zależności od mody i trendu). Nic własnego dać bym nie

musiał, nic z siebie – kasa wyplaciłaby pieniądze, towar nie zostałby wyprodukowany, czysta inflacja. Jak długo można tak ciągnąć? Więc ja z tej troski o polską gospodarkę sprzedałem się Amerykańcom. Dla kraju czysty zysk. Produkt zostaje w kraju, pieniądze za jego wytworzenie, gdzieś tam poza granicami, w zachodnim banku, może w watykańskim, gdyż procent ma słuszny i niejedną aferkę finansową da się z jego pomocą uknuć. Oto mój wkład w rządowy program antyinflacyjny! Czy Sejm to doceni?

Postępowałem cwaniem i przezornie. Niepewność strajkową przeczekałem w lesie, co wprawdzie eliminowało mnie z grona najbardziej zaufanych ludzi Ruchu, ale – jak okazała przyszłość – uchroniło przed internowaniem. Znając obyczaje biurokracji socjalistycznej, odczekałem okrakiem na barykadzie czas przygotowania operacji „13 grudnia” i dopiero, gdy „czarne listy” były już zamknięte w sejfach policyjnych, spełzłem z barykady na stronę społeczną. Cóż, pomyliłem się nieco, ponieważ nie przewidziałem, że władza wygra. Jednak nie grałem wysoko, mierzyłem co najwyżej w posadkę ministerialną w rychłym Rządzie Tymczasowym (w tym celu nawet dwa razy nieznacznie, gdy nikt nie widział, ukloniłem się Kuroniowi), wiele więc nie przegrałem. Tyle, ile pokerzysta, który płaci stawkę za rozdanie kart, ale później pasuje. Jednym słowem, przegrałem wszystko, co miałem. Tym zresztą należy tłumaczyć, że nie siadłem do stołu, gdy generałowie rozdawali karty – nie miałem nawet „na wejście”. Wszelkie rozpowszechniane o mnie pogłoski jakoby był wrogiem stanu wojennego są nieprawdziwe. Stan ten wydaje mi się błogosławiony dla Polski i dla mnie osobiście – a dlaczego, jeszcze to wyjaśnię. Może nawet, jeżeli będę miał szczęście, odczyta ten tekst przed kamerami telewizji lektor Wrony, kapitan Karol, mój niegdysiejszy kolega ze studiów i z wojska, wspomniałem już o nim.

À propos, posadka. Winienem tu od razu złożyć pewne oświadczenie – wyjaśnienie. Otóż, ja, oczywiście, znam Kuronia, ale on nie ma o moim istnieniu najmniejszego pojęcia. Złośliwy los jednak zdarzył, że generałowie wyświetlili dwa filmy jednego producenta o jednej kontrrewolucji – i na tych filmach, telewizji sowieckiej i telewizji sowieckiej w języku polskim, bezlitosne oko kamery uwieczniło mnie,

w wyraźnym zbliżeniu, siedzącego obok Kuronia. Proszę sobie wyobrazić jak się poczułem, za oknem jeżdżą czołgi przywracające ład i porządek (ciekawe, kto w tym czasie dbał o ład i porządek w koszarach?), jeżdżą te czołgi jak najęte (o to dobry zwrot!), jeżdżą, ja wygodnie siedzę w fotelu, myśli socjalistyczne snuję, nagle z ekranu telewizyjnego wyskakuje Kuroń w moim towarzystwie. Strach. Ścierpłem cały, na górze, piętro wyżej, Rosjanin mieszka (dokładnie nade mną, na pewno nasłany), przez ścianę komuch (to też nie przypadek!), więcej ścian na szczęście nie mam, a ja tu zneglizowany, publicznie obnażony i zdemaskowany. Działki ucałowałem, żonie patriotyczne przesłanie zostawiłem – i ruszyłem w las. No, mniejsza o to, jeszcze bym za dużo powiedział, za każde słowo miesiąc paki najmarniej – więc, cicho sza. Ale nim mnie powieszają, muszę wyznać, że Kuroń siedział obok mnie nie dlatego, że mnie znał, knuł lub wykorzystywał, instruował, bechtał, oślepiął, ale jedynie dlatego, że właśnie obok mnie było wolne krzesło. Prawda była bowiem taka, że nikt w Ruchu nie miał do mnie zaufania, dlatego zawsze, gdy gdzieś siadłem na tej naszej drodze rewolucyjnej, zaraz obok robiło się pusto. Kuroń, jak to Kuroń, zajęty knuciem nie zwracał uwagi na drobiazgi, zdarzyło się – usiadł. Dwa razy. Jego pech. Nic dziwnego, że człowiek tak pechowy nie może wygrać.

Mam w albumie niejedno zdjęcie, jak siedzą obok mnie różne pocziwe osoby, zacne i godne szacunku. Może nawet, gdyby tak dobrze poszperać w archiwach, znalazłoby się zdjęcie pana Lipavskiego – niestety, nie znam go z widzenia, więc nie dałbym głowy, czy stałem z nim kiedyś ramię w ramię? A i z panem Cioskiem jestem na fotografii, którą noszę na sercu. Pragnę dodać również, że jeden z moich kolegów ma zdjęcie wspólne z generałem i to tym najważniejszym. Na życzenie sądu, mogę to zdjęcie kolegi dołączyć do akt.

Przemyślałem to sobie dokładnie – i wróciłem z lasu.

Ale to stało się później. Na razie, Kuroń hasał na swobodzie, ja kunktarzyłem. W socjologii nazywa się to obserwacją uczestniczącą. Niby jestem w środku, z jakimiś ludźmi, coś razem robimy, ale – przecież – mam w zanadrzu to perskie oko, alibi, że ja tak, z obowiązku dziennikarskiego, z naukowej ciekawości poznawczej, z dystansu, nie naprawdę.

Dobrze odżywiona pani właśnie zamachnęła się nożyczkami na czubek rakiety, kiedy wionęło ogniem, pęd powietrza wyźłobił lej w ziemi, dumna rakietka poszybowała na zaprogramowaną przez komputer trasę. Pani została z nożyczkami w nocniku. John Pulasky wywołał wojnę. Sierżant marines, Amerykanin, polskiego pochodzenia. W Oslo właśnie wręczano pokojową nagrodę Polakowi amerykańskiego powiązania, kapralowi. Zaczęły się ostatnie cztery minuty w dziejach świata.

Nie potrafię powiedzieć, dlaczego, ale zawsze mi się wszystko w życiu udawało. Nie musiałem nic robić, wystarczyło tylko poddać się bezmyślnie losowi. I zachowywać stoicki spokój. Teraz wyraźnie czuję, że nadszedł czas wyborów. Skończyło się *dolce vita*. Śmieszne to wszystko: zwłaszcza dzisiaj widzę to jasno. Przez kilka lat zabiegałem o pracę w szacownym tygodniku. Gdy nadeszły „dni sierpniowe”, szef tygodnika, w charakterystycznym dla siebie akcie bohaterstwa, przyjął mnie na posadę – widomy symbol odnowy. I teraz ja, ten symbol, już w czasie swojego pierwszego wyjazdu reporterskiego, wstydiłem się przed młodymi, brodatymi ludźmi, że jestem skąd jestem. Też było o co zabiegać!

Ze zdjęć w moim albumie wstyd wylewa się szerokim strumieniem. Unurzany w tym wstydzie, chłonałem Polskę, która jak spod ziemi wyrosła przed moimi oczyma. To prawda, zdjęcia to potwierdzają, wielu ludzi uchwyconych w moim albumie ma wokół głowy aureolę wstydu. Ten wstyd nie przygniatał ich do ziemi, nie gął karków, ale prostował, oczyszczał, był niczym kadzidło palone przed ołtarzem czystości – nie tak dużo czasu było trzeba, żeby aureola wstydu okazała się aureolą świętości. Nader wyraźnie można to dostrzec na tle czołgów.

Dopiero cud sierpniowy? (Ot, dwa cudy sierpniowe w historii współczesnej jednego narodu, to nieco za wiele; a może za mało? może jeszcze jeden?, cud ostateczny, o, tak!, tak właśnie, cud ostateczny!) Za oknem czas gna niczym osioł w rogatywce. Intryguje mnie problem, czy rogatywka wpływa na przyspieszenie czy na spowolnienie biegu osła? Na pozór wydawałoby się, że rogatywka niczym dziób łodzi rozpruwa toń

powietrzną, czyli działa dynamizująco. Z drugiej jednakże strony, skoro już wpadliśmy w żargon, ten dynamizujący element posiada daszek ciągnący do dołu, do ziemi – osłowi mogą się nogi poplątać, co jak świat światem zawsze kończyło się katastrofą. Tak czy siak, kwestia wymaga dalszych studiów i badań, jak mawiają nowopronowani profesorowie. Więc gna ten osioł w rogatywce, stan wojenny najpierw był po prostu, później był zawieszony (jeszcze nie na latarni), teraz jest zniesiony (wraz z sumieniami), a ja się grzebię z tym pisaniem i grzebię. Gdyby tak pracowali nasi dzielni agenci, imperializm dawno odniósłby zwycięstwo! O, to właśnie!, proszę uwzględnić przy wyborze postronka na moją szyję, że się lenię, ale w służbie wrogiej prawdziwym interesom narodu, społeczeństwa, partii i wszechpartii. Jest to, zatem, lenistwo chwalebne. Order proszę mi przysłać za zaliczeniem pocztowym.

Czy jest więc sens skupiać się na przyszłych śniegach, skoro słychać ciągły stukot z kuźni historii? Bracia! Tam osła kują! Bracia – zaraz, zaraz, gdybym tak wyrzucił tych „braci” i to, co między nimi w środku, to przecież zdanie poprzednie jak ułał pasowałoby do Przemówienia. Tak! Tak! Naprawdę! Wiwat, zwycięstwo (na polskie „z”), wreszcie osiągam maestrię tuzów naszego dziennikarstwa, naszych geniuszy pióra.

Stał na trybunie i krzyczał: – Chodźcie z nami! To my mówimy – mówić – chodźcie z nami!

Miał najlepsze przemówienia w socjalistycznej historii tego kraju; pisane przez mistrzów pióra. Było w nich wszystko, co trzeba, umiejętnie dozowane. Najszczytniejsze ideały patriotyczne, geopolityczne mruganie okiem do narodu, dowcip, ujmującą szczerłość, eleganckie przechodzenie od lekkości tonu do patetyczności. Dramaturgia jego przemówień godna była Brylla.

Wszystko jak grochem o ścianę! Medytował nieraz nad tym, dlaczego tak się dzieje? Sztaby zwoływał, konferowali, radzili, smucili, mendzili... Nic nie pomagało. Im bardziej się wyrobownicy starali, genialniejsze zdania wymyślali, tym fatalniej Główny Czytacz wypadał. Nikt nie miał śmiałości mu powiedzieć, że jedynie, gdy bełkotał coś do zgonionych przed kamerę telewizyjną włókniarek czy górników, gdy bezradnie truł o „operacyjnych wizytach”, „niespodziewanych” i mówił, że „ciężko jest, ciężko”, to właśnie wówczas wywoływał w ludziach cieplejsze uczucia. Ot, matoł, mówili, ot, zupak, ot mózdzek zaplątany w historię, cóż on, biedaczek, może zrobić?!

Gdy stawał na trybunie, cedził mistrzowskie mowy, spadał z niego pancierz głupoty i widziałeś mordercę jak z cynicznym uśmiechem zapewniał, że jest twoim bratem. Cyniczny morderca, wyrachowany, przebiegły, inteligentny, w pełni świadom swoich postępów – dla takiego została tylko pętla i ani centymetra miejsca na odruch litości!

Zgubili go mistrzowie pióra, odarli swoją inteligencją z możliwości obrony, zneglizowali przed narodem. Jeszcze nikt dobrze nie wyszedł na kontaktach z tą swołoczą!

A zza pleców Mówcy, wypęła ch.. z uszami, czyli – milcz pióro! Siepacze czatują za progiem. Lepiej się wstrzymać, niż nie dotrzymać kroku (narodowi, w jego pochodzie, ku socjalizmowi), gdy wezmą cię z boku (rym do „kroku”) i zamkną w więzieniu (rym, nie rym, na modłę nowoczesną, w każdym razie rym do „socjalizmu”; proszę spróbować: „więzieniu-socjalizmu”, „więzieniu-socjalizmu”, „więzieniu-socjalizmu”, prawda, że się samo mówi, i jak naturalnie!). Czasy ponure – wracajmy na stronę osiemdziesiątą.

Kobiety odeszły w cień, polityka won! Upiłem się reporterką.

Kiedy spadnie wam z duszy zmora, wówczas każda najprostsza, najbanalniejsza czynność zyskuje aurę świeżości, ba, niemal odkrywczości, urok przygody nieledwie, znajdujecie radość w byle czym. A kiedy taka zmora zsunie się z duszy narodu? Cieszyłem się własną pracą, cieszył się także hutnik i górnik, stolarz i murarz, tramwajarz, kolejarz i stoczniowiec też. Każdy cieszył się tym, co robił. Ciekawa rzecz. Jeszcze przed miesiącem, każdy tym, co robił się martwił, wracał zmęczony do domu, miał wszystkiego dosyć, kłął i smutniał. Teraz – każdy się cieszył z własnego zapieprzu. I jakby łaknął, żeby tego zapieprzu było więcej i więcej, i jeszcze więcej. Każdy wrzucał sobie na barki nowe obowiązki. (Tak, tak, koteczku, dla kariery i dla zdławienia czerwonego – oto do czego jest zdolny człowiek! Oto jakie siły w nim drzemią!).

Władza smutniała z każdym dniem. Ludzie pracowali (nie w odpowiedzi na jej apele). Ludzie myśleli (nie w odpowiedzi na jej hasła). Ludzie działali (nie w odpowiedzi na jej inicjatywy). Kiedy się okazało, że ludzie dają sobie radę w ogóle bez władzy, zebrali się różni głowacze, różne niedopieczki z ciężko wypracowanymi doktoratami,

nie jakieś tam fiu-bździu z honorizkautami, i te rozmaite głowacze, uchwałyły szybciuteńko, uchwałyły chytrunieńko, że Ojczyzna, prawda w niebezpieczeństwie, prawda, że, prawda, wzywają, prawda, do nałożenia kajdan we własnym, prawda, zakresie, nim nie zrobi tego, prawda, kto inny, prawda, przyjaciel.

Powoli, od słowa do słowa, od czynu do czynu, wyjaśniało się, co dla kogo znaczy ten kraj, co dla kogo znaczy człowiek, co dla kogo znaczy, to życie. I działało się tak w sposób nieubłagany, tak, jak z pąku rozwija się kwiat, nieuchronnie, niczym w opowieści o fatum, ludzie podobnie jak słowa zyskiwali prawdziwą treść. Byli nadal wewnętrznie pokręceni, trochę światła, więcej mroku i półcienia, ale liczył się ton, nuta wijąca się w ich duszy, linia przewodnia... U jednych była to nuta zdrady i zaprzęństwa, u drugich – nuta miłości i prawdy.

Przydałby się nam ktoś, kto niczym lekarz dokonujący sekcji zwłok, rozciąłby poszczególne słowa w ich błotnym splątaniu, w warstwach wieloletnich zakłamań, dwuznaczników, mrugnięć okiem, niedopowiedzeń, kompromisów, milczących założeń i objaśnił nam wszystkim, jak wyprostował się trakt naszych słów, słowa odzyskały barwę i świeżość, stały się tym, czym jeszcze do niedawna były w rozmaitych słownikach autorów, dobrej, starej szkoły.

Za słowami podążali ludzie.

Kiedy okazało się, że ludzie mają własny język, pomniki, miejsca pamięci, myśli, czyny, domy i własne biura – wtedy to rozmaite krety-niulki obraziły się ostatecznie na naród, zawiodły na społeczeństwie, które nie dało się odnowić pod światłym przewodem i kierownictwem, które w ogóle nie chciało tej światłości nad światłościami; no – taki naród zasłużył sobie w pełni na to, co otrzymał. Tak Wice, zwany niegdyś Mietkiem R., rozpoczął swój sen o wyprawie czołgiem po demokrację.

Jednak cały czas ciągnie mnie w przeszłość! Cóż, siła przyciąga. *Za mundurem panny sznurem!* Wprawdzie ze mnie taka panna, jak nie przymierzając; o! taka bardziej wysłużona kokota (w służbie dla przewodniej siły za to), ale przecież też mnie pociągnęło i ciągnie – nijak się od tej operetki generałów i kosmonautów odczepić nie mogę. Trzeba by inaczej. Smakować chwile wolności, niebywalej w tym kraju, krótkie niczym epizod na estradzie lub antrakt w teatrze. – A teraz wracamy na spektakl...? Więc nie wracać, tkwić w kuluarach, udawać, że nie było

żadnych dzwonek, przeciągać przerwę ponad wytrzymałość własną i czytelników, może wręcz pisać tylko o przerwie, może to była jedyna chwila historii w tym kraju, może to, co przedtem i to, co potem, to sen jedynie, duszny, mroczny, ze strachami, nocnymi krzykami, i przywidzeniami, sen pełen gorączki oczekiwania, pełen łez niespełnionych nadziei? Więc jak to we śnie bywa, trzeba zapaść głęboko, modląc się, żeby nic się nie śniło lub choćby, żeby niczego nie pamiętać, wstać dopiero w rozjaśniony poranek, z wysoko uniesionym czołem wyjść na ulicę, do innych ludzi, ścisnąć ich po bratersku, dzielić uśmiech z innymi, czuć się swobodnym niczym ptak – być u siebie!

Album pozwala mi być ptakiem. Dzięki niemu wszelkie duszne sny, gorączkowe jawy, zmory i widziadła mam niczym motyle przyszpilone, jestem poza – spoglądam na album, na jego poszczególne strony, na zdjęcia, w które mogę swobodnie wchodzić i z których bezpiecznie wychodzę; jestem widzem. Jestem wolny.

Ludzie długo zrzucali z siebie pęta. Akt buntu był szybki i jedno-razowy, jednak dusza przesiąknięta niewolą długo jeszcze musiała odparowywać truciznę. Najpierw ich świeże jeszcze zniewolenie czułość, gdy reagowali agresją i pogardą na każdego spoza Ruchu. Później, gdy kpili i wyszydali. Dopiero, gdy nabrali pewności siebie, stali się czysti i tolerancyjni, niemal spokojni – wtedy właśnie nadszedł czas śmiertelnej walki. Ich twardość była jak kryształ, nie bali się niczego. Byli gotowi do ofiar – nie chcieli walczyć. Niestety. Mam takie zdjęcie w albumie, na stronie osiemdziesiątej pierwszej: Lechu gałązką oliwną opędza się od brytanów we własnych szeregach, drugą gałązką zatyka lufy armatom zainstalowanym na wszystkich granicach przyjaźni, z jego ust usiłuje się wydobyć słowo będące krzyżówką prawdy-kompromisu-geopolityki-taktyki. To jest piękne zdjęcie. Ale dosyć opowieści, wejdźmy po prostu do środka.

W sali wirowało wszystko, co tylko namalował Matejko, napisał Sienkiewicz, w natchnieniu powiedział Norwid, nawet Żeromski... I inni, inni, inni. Cały legion innych. Oleodruk tak wspaniała, że każdy koneser sztuki zawiesiłby go na honorowym miejscu. Pulsowała

ludzka lawa, bulgotała wzniosłością i prawością, słowa choć wielkie pasowały do tych małych ludzi. Nie, to nie to, że ludzie rośli, dorastali do wypowiedzanych słów, nie, wcale nie rośli, zostawali sobą, słowa nie zniżały się do nich, nie dopasowywały, jednak coś dziwnego zachodziło w tej sali, powodowało, że mali ludzie i wielkie słowa tworzyli jedność, harmonijną całość. Co to było? Sam już nie wiem, może dzieje się tak zawsze, gdy ludzie mówią prawdę, może prawda ma taką moc, że wznosi ludzi wcale ich nie wznosząc, uwzniośla nie uwznioślając, jest z ludźmi nie czyniąc z nich herosów? Gdy w pewnym momencie, ktoś o kim wszyscy dobrze wiemy, wpuścił na tę salę szczura, to szczur nie zdołał nikogo pokąsać, zaszczepiając mu jad nienawiści i podłości, tylko bezradnie szamotał się nagi, choć owłosiony, jakby na jakimś podwyższeniu, widoczny przez wszystkich, a przecież zaplątany między nogami, przemykający się pod podszewkami – ta nagość, oczywista nagość, była zabójcza, była okrutniejsza niż najwymyślniejsza trutka; sam szczur miał jej świadomość i dlatego rozsypał się w proch nim zaistniał.

Och, piękny to był czas. Takich sal było tyle, ile miast w tym kraju, ile wsi, ile serc. Z każdej z tych sal, z każdego serca, gdy już przebrzmiał Sienkiewicz, gdy już wyblakł Matejko, rozlegał się głos i oferta – pracy i czynu, oferta ludzi małych, ludzi zwyczajnych, na rzecz czynów wielkich, czynów nadzwyczajnych. Nie były to same słowa, słów już nie ceniono, tylko nader nieuważny obserwator mógł to, co się działo widzieć jako obrzędowość, rytuał, szamaństwo, więc nie były to słowa, a konkrety, praca, mrówcza, codzienna, wytrwała, pełna wyrzeczeń i gotowa na tak wiele jeszcze... Nadszedł czas wychodzenia korzeni na powierzchnię, i oto w jednej chwili, sztuczne kwiaty sztucznego kobierca, perfumowane na modłę odekoloń lub eau de cologne, rozjaśniane sztucznym światłem akademijnych reflektorów, zwiędły. Po prostu, zwiędły. A niepozorne korzenie okazały się dębami, z ich pięknem i siłą.

W każdym oknie tej sali, w każdej szybie, przeglądał się szyderca. Taki co to wszystko wiedział. Wiedział, że pani z piątego rzędu, która za chwilę na mównicy będzie głosić potrzebę odnowy moralnej narodu, regularnie, co piątek, zdradza męża, a ten pan, za chwilę krzyczący o czerwonych złodziejach, przez telefon służbowy odbywa prywatne rozmowy (także międzymiastowe), szczył, co ledwo od ziemi odrósł,

a już będzie nas pouczał jak fachowo pracować, notorycznie spóźnia się do pracy i tylko kombinuje, jak by tu się urwać z biura. Szyderca miał przed sobą listę grzechów i grzeszków każdego z obecnych, śmiał się w kułak, widząc winowajcę na mównicy, szyderca wiedział swoje – i tego się trzymał. Szydercy mieli wszystko za sobą, po swojej stronie: zdrowy rozsądek, namacalne dowody, wiekowe doświadczenie z naturą ludzką, jednak było w ich postawie coś krótkowzrocznego, fałszywego, co powodowało, że niemal niedostrzegalnie, milimetr po milimetrze, staczali się na pozycje zajmowane przez wprawnych morderców, wytrawnych kłamców, szalbierzy i przენiewierców, staczali się na pozycje przeciwne heroicznym zmaganiom o wolność, prawdę i sprawiedliwość. Szydercy w sposób nieunikniony stawali się komuchami – nie ze swojej winy, jeżeli tu w ogóle można mówić o winie, ale dlatego, że czas jaki nadszedł nie był czasem szyderców, oto nagle zabrakło dla szyderstwa miejsca, zabrakło miejsca dla niewiary i zwątpienia, za ciasno stało się dla drwiny i pogardy, szydercy – choć potrzebni niczym krew organizmowi – musieli na chwilę zamilknąć, jeżeli nie chcieli stać się zdrajcami. Tak. To było tak właśnie. Nie dokonała tego nietolerancja ludzi, zawziętość czy brak poczucia humoru, nie, dokonał tego sam czas – ten sędzia najsurowszy wszelkich ludzkich uczynków.

Wzruszenie, gdy wspomnę tamte miesiące, płacze mi palce i uderzam nie w te czcionki maszyny, w jakie chcę. Stąd straszliwe pomyłki. Oto chciałbym napisać „Polacy zabrali się do pracy”, a maszyna wystukuje „Polaczki dostali sraczkę”, dusza mi śpiewa „Hosanna, hosanna”, a bezlitosny papier notuje „Jebialnia, jebialnia”. I tak, czego się nie tknę, zmieniam w gówno.

Na razie, sam zamieniłem się w ptaka-dziobaka i wyfrunąłem z tej sali pełnej patosu, no, nie od razu, chwilę jeszcze jako ten ptak-dziobak szybowałem pod sufitem, poobijałem się o żarówkę, ogonem podmalowałem lamperie. Cóż za dziw był ze mnie, ni to ptak, ni nie ptak, trochę ptaka trochę gada, trochę ptaka trochę płacze, ach, mniejsza o to, i tak się zapłaczę, w każdym razie, nie ukrywajmy, stałem się wroną. *Wrono, wrono, co na nieboskłono latasz, daj im bykiem, daj im bykiem, będę porucznikiem.* Ach, gdybym umiał czytać z fusów! Niestety, kawy było coraz mniej, wróżenie zanikało, jak i inne odmiany rzemiosła. Tak czy siak, wyleciałem wroną, wróciłem wołem. W tym

moim locie podniebnym łzę uroniłem, jedną, jedyną, ostatnią, jaka mi w duszy została, wiatr ją poniósł przed siebie, chmury przefiltrowały, grad rozproszył, mróz w kryształki zamienił, komu taki kryształek do oka wpadł, od razu obnażał się przed wszystkimi jak król jaki. Jeżeli był zły z natury, jeżeli miał złe zamiary, knuł, zamieniał się w potwora, jeżeli był dobry, szlachetny, jego oczy nabierały dziwnej, srebrzystej poświaty.

TAK, TO JA. Ja sprawilem to wszystko, moje łzy spadając na gmachy rządowe przemieniały je w warowne twierdze obcych garnizonów, moje łzy zaprzepaściły szanse porozumienia narodowego. To moje łzy nie pozwoliły ludziom udawać, a czerwony, gdy zobaczył łzy narodu, łzy radości, nie łzy bezsily, poczuł chłód sztyletu w piersi. To wszystko przeze mnie, ale wcale nie czuję się winny. Jeżeli mam do siebie pretensję to tylko o to, że nie odczytałem danego mi wroniego znaku – szybowałem sobie beztrzesko po sali i poza nią, a ślepy byłem jak nonarodzony kociak.

Ciekawa rzecz z tymi łzami. Czerwony lubi jak ludzie płaczą, czerwony wzywa do płaczu, czerwony płacze wraz z innymi. Płacze i wzywa innych by płakali nad historią, ofiarami, dolą robotników, dolą chłopów, walką i zmarnowanymi szansami... Płacz oczyszcza, krzyczy czerwony, więc płaczą matki nad zabitymi synami (tu wstawić odpowiednią datę i nazwę miejscowości), my też płaczymy, gdyż nie chcieliśmy tych niepotrzebnych ofiar – za te ofiary, za śmierć tych młodych ludzi, za tę niepotrzebną śmierć odpowiadają ci, co do niej dopuścili – ci co zabili? – nie! Ci co dopuścili! – znaczy ci, co zabili?! – Nie! Po trzykroć nie! Ci, co dopuścili – ale ci, co zabili? – nie! Nie ci! Ci, co dopuścili – to nie ci, co zabili? – nie – ach. Więc płaczymy, gdyż płacz oczyszcza, gdyż płacz pokrzepia. Wyjdźmy pokrzepieni tym płaczem, krzyczy czerwony, pokrzepieni, byśmy mogli budować, co nam do zbudowania zostało i co zostanie nam przydzielone. Więc czerwony kocha płacz, uwielbia łzy narodu. Łzy są w rządzeniu dobre, jak chleb i mięso. Pod warunkiem że są to łzy bezsily i rozpaczy. Teraz zaś naród płakał sam, nie na komendę, i płakał z radością nabrzmiwającą w duszy. Te łzy miały moc pershingów i SS-20, były potężniejsze od wszelkich rakiet i bomb, niosły odkupienie.

Dlatego łzy trzeba było rozstrzelać.

No i trudno, rozstrzelane pogrzebane. Co nam po tym?

Kiedy tak latałem po kraju, spotkałem Antoniego. – Powiedz mi ptaku-dziobaku – zagał Antoni – co mam robić?

Już szykowałem się do odpowiedzi, myśli we mnie wzbierały, patrzę, że koło mnie zaroilo się nagle, nie tylko Antoni stoi, tłum innych ludzi: i Mediator, i Pisarz, i E. (radość moich oczu), i tłum innych jeszcze, znajomych i nieznajomych, i takich, o których wiem, że nie są tu prywatnie. Każdy z nastawionymi uszami, każdy chętny odpowie- dzi, każdy wpatrzony w moje małe ślepka, och, gdyby oni wiedzieli, kto siedzi w tym ptaku-dziobaku! Ani chwili dłużej by tu nie stali. No, może Pisarz, który chciałby tak ogólnie podtrzymać dobrą znajomość, może i Mediator (z tych samych zresztą powodów), ale z ciekawości – nikt. Nie wyjawiam tego z masochizmu, nie. Przecież nie zraziłoby ich to, że to właśnie ja jestem, nie wrona, nie głos przyrody, nie ręka Opatrzności w postać ptaka przyobleczona. Ale skrywałem się dobrze między piórami, zaskrzeczałem, ci tylko strzygą uszami i czekają, czekają, czekają... Chciałem coś konkretnego powiedzieć, twórczego i konstruktywnego, co zaraz zrobiłoby karierę, w niejednym liście otwartym znalazłoby swoje godne miejsce, w poradzie niezależnych umysłów dla czerwonego byłoby rozsądnie podane, w obywatelskim proteście robotników fabrycznych, w liście pasterskim i apelu przewodniczącego Lecha miałoby swoją moc. Nawet wiedziałem – wówczas, wówczas! – co powiem, duch jakiś mnie natchnął, miałem to na końcu języka, a tu okazało się, tylko dziobem kłapnąłem, charkot z siebie wydałem – i tyle! Koniec, szlus, kłapa całkowita.

– Rozpruć mu brzuch i z wnętrzości powróżyć! – krzyknął zawieszony ekstremista.

Na szczęście, Mediator udzielił za mnie poręczenia społecznego, Lechu wydał oświadczenie, prymas otworzył przewód kanonizacyjny. Tak ocalałem. Nikt, łącznie ze mną, nie podejrzewał, iż ten charkot nieszczęsny, ten blamaż, że to właśnie było wróżbą prawdziwą, w tym charkocie była prawda najprawdziwsza, było objawienie objawień, był dziejokrzyk. Było ostrzeżenie i wielkie wołanie, chrzest gąsienic czołgów, krzyk bitych i zabijanych, zawodzenie maltretowanych i uciśnionych. Przez ten charkot, jak to teraz widzę jasno i wyraźnie, Opatrzność chciała nam wszystkim powiedzieć: ktoś musi być zaduszony. Och, nie jest to w zgodzie z miłosierdziem bożym, więc to nie mogła wtedy mówić przeze mnie Opatrzność, nie, na pewno nie – zresztą,

zostawmy to teologom. Prymas i tak wstrzymał mój przewód; nie będą się wdawał w nie swoje sprawy.

Tak czy siak, ja, znaczy się ptak-dziobak, odleciałem do ciepłych krajów, każdy z zawiedzionych słuchaczy pozostał przy swoim zdaniu. Zresztą, i tak by pozostał, jednak żałował, iż głos przyrody, czyli głos (Czasu, Boga lub wstaw co ci odpowiada, w zależności od wyznawanego światopoglądu) nie poparł jego słusznych konkluzji i wniosków, porad, rad i instrukcji na zbawienie Polski. Znowu zawiniłem, jak przedtem łżą ostatnią, zawiniłem i nie nadałem hierarchii rozmaitym receptom na szczęśliwość kraju. Trwał więc ten nieszczęsny stan, że każda recepta była równouprawniona.

Antoni wrócił do domu bez żadnej porady. Nie okazałem mu wsparcia w trudnym dla niego momencie, w chwili, gdy musiał zdecydować o najważniejszych dla siebie sprawach. Właściwie nigdy nie chciał być działaczem (Znamy to. Co znamy? No, to właśnie, że „nigdy nie chciał być działaczem”, ale mu „Ojczyzna kazała”. „Ojczyzna, czyli zbiorowy obowiązek”. Czyż nie tak?).

Nie! Niby masz rację. Niby w tle była cały czas ta „Ojczyzna”, ale tak naprawdę, to kazali mu trwać koledzy, ci, którzy wybrali go w strajku i ci z następnych tygodni. Franek, który w skrytości ducha sam chciał być szefem w zakładzie, ale tak się tego wstydził, tak bał, aby nikt się tego nie domyślił, że tym goręcej agitował Antka, żeby ten nie ustępował. Józek, dla którego nie istniało nic poza komisją i zebraniem. Wszyscy oni, także ci, dla których Antek był już symbolem zwycięstwa w strajku, także ci, którzy bali się sami występować do przodu; wszyscy oni upierali się, wmawiali w Antka, że nie wolno mu zrezygnować. Dlatego został.

– Ach, biedaczek. Jakbym to już słyszał. Na pewno, w domu go nigdy nie było, prawda? Dzieci przestały poznawać ojca? Cały czas się spalał w pracy i działaniu? A później za tyle poświęcenia, reżim zamknął go w pudle? Cóż za niesprawiedliwość!

– Co później, to później. Jeszcze do tego dojdziemy (jeśli służby specjalne pozwolą).

– Czy nie sądzisz, że to już zdarta płyta? Przecież choćby komuniści, których pogardliwie nazywasz komuchami lub czerwonymi, choćby taki premier, sekretarz, wiecznie są poza domem, nie wiedzą, co to życie rodzinne, wszystkie siły, wszystek czas poświęcają na

sprawy publiczne, na swoje obowiązki zawodowe, swoją pracę. I co ty na to?

„Nie znają co to dom...”

Ale dlaczego? Może dlatego, że go nie mają? Czy można mieć dom służąc złu? Nie, wtedy tylko się gdzieś mieszka, ma się żonę, dzieci, kochanki – nie ma domu. Więc, niech się nie użalają, siedzą w tych swoich biurach, w ważnych urzędach, niech jeżdżą na ważne spotkania, polowania, ciamkania – gdyż i tak niczego innego nie mają do roboty. Nie mogą przecież filozofować (wtedy musieliby się obwiesić), nie mogą mieć szczytnych planów (wówczas złamaliby sobie karierę), mogą jedynie knuć i wisieć u klamki pańskiej. Co czynią. Zaprawdę, nie ma im czego zazdrościć.

Normalny człowiek dużo traci, gdy weźmie się do polityki. Och, nie mówię o dniu dzisiejszym, kiedy to trzy lata więzienia jawią się jako wyrok łagodny. Nie, myślę o dniach rozpasania i kontrrewolucji. Antoni i inni chcieli lub musieli działać. Tracili dom, dzieci i żony. Oni naprawdę tracili, choć przecież wymieniali jedne wartości na drugie; inaczej – chwilowo poświęcali wartości domowe, kameralne, rodzinne na rzecz wartości publicznych, społecznych, wspólnotowych. Wielu z nich czuło, że nie ma to większego sensu, czuło, że musi przyjść żaloszny koniec. Tym silniej jednak żyli chwilą bieżącą, jeszcze jeden dzień normalności, godzina złudzeń, sekunda wolności...

A później, trzasło, praszło, i zgasło. O, te nasze jutrzeńki! O, te nasze swity! O, te nasze zrywy ku...!

W dniu wczorajszym zmarł Bóg. Właśnie takim zdaniem, już zresztą sformułowanym przez pewnego heretyka, mogłyby czy powinny rozpoczynać się wszelkie eposy narodowe. Naród, który walczy, czyni to w imię Boga, ale przecież fakt, że walczy o prawa elementarne, o prawo do oddychania i życia, i walczyć musi o to nieraz przeciw innym narodom, które także odwołują się do Boga, ten fakt powoduje, iż gdzieś tam w głębi duszy pojawia się zwątpienie: może Bóg nas opuścić? Albo skrajnie – może Bóg zmarł? Albo, co najgorsze – Boga nigdy nie było i nie ma?!

My, Polacy, – och, jak ja lubię te odezwy! – no więc, MY POLACY, jesteśmy w jakże szczęśliwym położeniu. Walczymy w imię Boga prze-

ciw tym, którzy Boga się wyrzekli, przeciw tym, którzy służą szatanowi. Nasza walka jest podwójnie uświęcona: patriotyczna i bogobojna. Taka walka to jest coś! Kto wie, może nawet lepiej ponosić w niej porażki? Szatan jest wieczny, jak i Bóg, zwycięstwa Szatana są dowodem na istnienie Boga, i są wezwaniem, ciągłym moralnym wezwaniem, do oddania się Bogu, do oddania Mu wszelkich sił, myśli, marzeń, energii. My, Polacy, przegrywając z Szatanem – ale przecież ciągle, ciągle z nim walcząc – ratujemy chrześcijaństwo, gdybyśmy jednak wygrali – tak raz na zawsze – to może wcale by to chrześcijaństwu nie wyszło na zdrowie? Popatrzmy, przyjrzyjmy się temu bliżej, czy to nie jest tylko paradoks bez sensu. Przecież, czy Bogu może chodzić o cokolwiek innego, niż zwycięstwo nad Szatanem? Czyż, w konsekwencji, takie zwycięstwo, ot na przykład w Polsce anno domini 1984, nie jest umocnieniem Boga, klęską Szatana? Och, tyle pytań! Bóg nie może wygrać z Szatanem. Gdyby Bóg wygrał całkowicie i bezapelacyjnie, to zniknęłyby kolory – czy gdyby nie było kolorów, to moglibyśmy powiedzieć, że coś jest czarne albo białe? Dlatego nigdy nie wygramy naszej walki, zawsze będziemy w podziemiu, zawsze w opozycji, jak nie przeciw Sowiетom, to przeciw Niemcom, Szwedom, albo – w najlepszym wypadku – przeciw sobie samym! To, to właśnie! W najlepszym wypadku... Nam chodzi właśnie o „najlepszy wypadek”. Nie mamy ambicji filozoficznej, nie chcemy bynajmniej rozstrzygać zagadek człowieczego bytu, jeżeli człowiek z natury rzeczy ma cierpieć, niech cierpi! Co nam do tego?! Całkiem jak z tym brudem. Brud własny – oto nasz ideał! Cierpienie własne – o to walczymy. Opozycja we własnym gronie – to nasz program polityczny. Niektórzy, prywatnie, zapewniają, że to nierealny program niepodległościowy, mrzonki – niebezpieczne i zdradliwe. Inni, w gazetach, które możesz kupić co rano w pobliskim kiosku, opluwają cię jako obcego agenta, faceta na służbie imperializmu. I tak, stopniowo, dochodzisz do prawdziwego dylematu Polaka: na czyjej być służbie?

Przez wiele, wiele lat byłeś na służbie socjalizmu. Co zyskałeś, do czego doszedłeś? Na fotografii, która wysuwa się usłużnie z albumu i na której nie ma Boga ponieważ zmarł wczoraj, widzisz same bezceństwa i sromoty. Więc tak sobie myślisz, nieśmiało, półgębkiem, że może by spróbować służby u imperialistów, choćby dla odmiany – może nie byłoby lepiej, na pewno inaczej, na mur beton nie gorzej.

Tak sobie właśnie myślisz. Jeśli jesteś wyrafinowanym intelektualistą lub prostackim dogmatykiem, twoje myślenie nie ulega ułudom. Wtedy, po prostu, wiesz. Wiesz, że – w wypadku dogmatyków – socjalizm to szczęście Ludzkości, no, może jeszcze nie dzisiaj, może nie tak prędko, może w tym pokoleniu, no, twoich dzieci, albo dzieci twoich dzieci, tak, to wszystko wiesz, albo wiesz trochę mniej, wiesz, że tak trzeba, takie są wymogi chwili (historycznej), to dla dobra twojej Ojczyzny, inaczej po prostu nie sposób, tak musi postępować każdy rozsądny Polak, albo wiesz jeszcze mniej, że taki jest twój zakichany interes, że w innym układzie w ogóle nie masz czego szukać, jednym słowem – masz się tego trzymać i już! (Niektórzy powiedzą zapewne, że ten ostatni gatunek ludzi wie stosunkowo więcej niż inni dogmatycy. Można tak powiedzieć, nie mam nic przeciwko temu).

Wyrafinowany intelektualista wie to samo, nawet jeżeli sformułuje inaczej, w strawniejszych, elegantszych zdaniach, sens będzie taki sam; choć przecież może być inny. Gdy jesteś wyrafinowany, możesz mówić o nieuchronności procesu dziejowego, o fatum historii, albo cyniczniej – o konieczności realizacji jednych wartości kosztem innych, albo jeszcze cyniczniej – o realizacji siebie samego, nawet za cenę zła (przecież, do diabła, realizacja siebie samego jest dobrem, czy nie tak?!).

Gdy różni dogmatycy znowu odzyskali monopol przemawiania, gdy ten monopol odzyskali cwaniaczkowie władzy, to autentycznie, jestem tego pewien, że szczerze, nie mogli się nadziwić intelektualistom – za czym oni poszli, czemu są wierni, przy czym trwają? No, zaczadzieli, jak bumcykcyk, zaczadzieli!

Problem największy, wielki gdyż niespodziany, jak tych jajogłowych, tych fircyków myśli, te kwiaty salonów, no, przynajmniej spacyfikować, jeśli nie kupić, chociaż spacyfikować. Ot, zawsze mówiono i każdy myślał, że siła największa drzemie w bicepsach robotników, w halach fabrycznych, tak było w momentach przełomów; ale co to za problem, prawdę mówiąc, na siłę zawsze można odpowiedzieć siłą, jeszcze większą siłą – tak zrobiono, Łońce niech będą dzięki! Więz z tym spokój. Nagle w najmniej odpowiednim momencie, ci bez siły, jajogłowi, stanęli dęba. No, sam powiedz, jak zwalczyć coś, co nie jest siłą? Zareagujesz siłą, twój cios pójdzie w próżnię, przecież tam nie ma żadnych barykad, żadnych wyłączonych maszyn i milczących tłu-

mów – nic, co mógłbyś rozjechać czołgiem. Nie możesz posłać czołgu, musisz agenta. Zaczyna się inna zabawa. Agent rozmawia, przekonuje, szantażuje, kupuje, straszy. Ale w rozmowie, bo wszystko jest wówczas rozmową, jajogłowy ma naturalną przewagę – i jeżeli już się zaparł, to żaden agent choćby najbardziej inteligentny, choćby najbardziej zakamuflowany, strategiczny i „wewnętrzny”, nie da mu rady. Na tym zaparciu się jajogłowych polega obecny dramat komuchów. W krótkiej historii sowietyzmu w rosyjskiej i demoludowych odmianach, jajogłowi zapierali się własnych ideałów – teraz, zmienił im się obiekt. Oto zaparli się czerwonego! Słuchajcie, słuchajcie! Zaparli się.

Mam w albumie takie zdjęcie, którego jeszcze nie ma. Dobrze przeczytaliście: tego zdjęcia jeszcze nie zrobiono, a ja już mam je w albumie. Na tym zdjęciu widać jajogłowych na śmietniku, walających się wśród innych odpadów. Tego zdjęcia jeszcze nie wykonano ponieważ fotograf nadworny nie otrzymał stosownych instrukcji. Na razie. Trwa zażarta dysputa ideologiczna w Pałacu pod tradycyjnym wezwaniem „Kto kogo?” (albo inaczej: „Co robić?”). Dopóki trwa dysputa, żadnych zdjęć ekstremalnych wykonywać się nie będzie. Żadnych śmietników! Co najwyżej w formie aluzyjnej („I ty możesz zostać Indianinem”, co jest znakomitą aluzją do znanego powiedzenia „Dobry Indianin to martwy Indianin” (uprasza się PT Czytelników o nie wstawianie w tym miejscu zamiast słowa „Indianin” słowa „czerwony”, choć tak przecież brzmiało to znane powiedzenie, ale wówczas cały sens ideowy tego fragmentu ulegnie odwróceniu, innymi słowy – szlag go trafi), acha, no więc, co najwyżej w formie aluzyjnej lub ewentualnie zdjęcia drogi na śmietnik, którą kroczą ci czy owi, sami zresztą pochopnie dokonując takiego wyboru na własną szkodę (i polskiej kultury). Tak, żadnej ekstremalności!

Boję się tych zdjęć, niechętnie w nie włożę, kryguję, że nic dobrego nie może mnie spotkać, ale przecież przepadam za światem z fotografii, uwielbiam babranie się w nierealności, żyć bez tego nie mogę, przynajmniej nie mógłbym pisać tego, co właśnie piszę, no, przynajmniej pisać tego, co piszę w tej konwencji w jakiej właśnie piszę, no, bo przecież te fotografie i to w nie włożenie stanowi właśnie tę konwencję. Tak, ale mimo wszystko, tym razem pomyślałem, że nie wejdę w zdjęcie, którego jeszcze nie ma, a które już mam w albumie. Zawahałem się, głównie z przecucia nudy. Przestraszyłem się, że ten temat mam już dobrze opanowany, już wiem – jak na wiele razy oglądanym filmie –

jak będzie rozwijać się akcja, jaka scena będzie następować po jakiej, co będzie działo się z bohaterami... Nagle zaskoczenie: nie pamiętam zakończenia filmu, JAK TO SIĘ KOŃCZY, do diabła?! No, trudno, wejdźmy. *Ryzyk fizyk, raz się żyje raz umiera, taka dola jest frajera.*

Sala dzieliła się na kilka rejonów. Był rejon bród dystyngowanych, upstrzonych eleganckimi fajeczkami Walala lub Dunhilla. W sąsiedztwie przycupnęli brodacze in spe, tacy, co to bród nie mają, jednak każdym swoim gestem, niewypowiedzianym słowem dają do zrozumienia, że mają. W dalszej części sali kotłowali się brodacze, ćmiący papierosy, mierzwa intelektualna, pretendenci do tronu, udający, że na żadnych splendorach im nie zależy, „swojacy”, „równiacy”, byle tylko ich lubić, no i – docenić. Och, było oczywiste, dlaczego dołączyli się do stoczniovców! Siła przyciąga niczym magnes, siła ludu ma jeszcze w sobie moc moralną, charyzmę słuszności i sprawiedliwości. Więc do tej pory, wszystko jasne. A te zachwyty nad prawdami ludowymi, nad zgrzebnością języka i prostotą myśli, prostotą o znamieniu genialności (jak szepotali jajogłowi między sobą)! Wylał ci taki robotnik na jakiś dźwig czy inny podnośnik, wykrzyczał to, o co chodzi rzeczywiście, to do czego dochodzono miesiącami żmudnych badań na różnych seminariach. No, jak takich nie pokochać?! Więc za tę siłę i prostotę pokochali jajogłowi proletariaci. Może i pokochali jeszcze za swoje zmarnowane lata, za jałowość kompromisów, mdły smak taktycznych sojuszy z Pałacem, wszelkie porażki, poczucie daremności własnej pracy. Ten robotnik, myśleli, to on chociaż coś konkretnego zrobił, jakiś statek zbudował, węgiel wydobył, a ja co?, tylko zniszczoną przez redaktora i cenzora książkę wydałem.

Nie było między nimi różnicy, młody czy stary, z brodą dystyngowaną czy z brodą rozczochraną, w ogóle bez brody, katolik czy ateusz czy innego jeszcze wyznania. Wszyscy klękali przed ołtarzykiem, który sami zbudowali. Nawet, jeżeli ten i ów a byli przecież i tacy, zżymał się na ten kult niespodziewany, wietrzył w nim odmianę totalizmu, doktrynerstwa i wszelkiego dogmatyzmu, to milczał, albo bąkał cichcem, właściwie prywatnie, na boku, bez zobowiązań. Niby każdy z jajogłowych, jeżeli w ogóle miał zasługiwać na to miano, wiedział, że musi nastać dzień przebudzenia z idylli jedności, ale każdy podświadomie lub z motywów taktycznych, odsuwał ten moment do jeszcze nie wydrukowanego kalendarza.

Kiedy jajogłowi szli w jedności w zaparte, uderzył w tę salę żołdak mianowany generałem. Byłem na sali w tym samym momencie, mam na to dowód w albumie, i dobrze widziałem, jak przed oniemiałym, ale i roziskrzonym wzrokiem jajogłowych, zupak z generalskimi gwiazdkami demonstrował siłę. Przejechały czołgi i rakiety, przemaszerowały bataliony, na tle ich chrzęstu i stukotu, agent zwany generałem udzielił prostych odpowiedzi na podstawowe pytania: z kim, po co, gdzie, dlaczego? Ojczyzna kazała, dla Ojczyzny, Historia nas oceni.

Odczułem lęk przyzwolenia. Lęk ten nie był groźny w sensie fizycznym, nie chciałem krzyzczeć, płaszczyć się, nic z tych rzeczy. Ten lęk był groźny moralnie. Czuję jak powstaje we mnie pustka, jak uciekają w kąt wartości, jak w tę lukę łatwo może wejść zdrada, sprzeniewierzenie, przyzwolenie na zło – bylebym ja sam, ja osobiście, nie był na nic narażony. Chyba pierwszy raz w życiu tak wyraźnie odczułem swój egoizm; dlatego przestraszyłem się o jajogłowych. Ale to był tylko moment, mgnienie oka, i jeszcze, gdy zupak ubrany w generalski mundur zawodził na patriotyczną nutę, jakiś fałsz w tej melodii, fałsz, którego nie sposób ukryć, nałożył mi pancierz niezgody, hełm opozycji, puklerz konspiracji, mundur warchoła i czapkę sprzedawczyka na obcej służbie. Oto jakie mogą być skutki patriotycznych przemówień! Niezgåębiona jest moc ludzkiego słowa! Przedobrzył żołdak-agent-zupak, oj, przedobrzył. Po co było tyle gadać o historii i ojczyźnie, truć o obowiązku i socjalizmie, po co? Gdyby powiedział, jak Polak Polakowi, że w takich warunkach dogadać się nie sposób, a teraz właśnie stworzy się warunki do dogadania, o!, to by było co innego, tutaj mógł liczyć na otumanienie. No, ale nie wyszło, było się zmyło. A zostali intelektualiści. Właśnie, co oni? Czy jak ja, czy inaczej? Strachu u nich nie widziałem, to fakt. Myślę jednak, że teatr, jaki im ciura awansowany na dowódcę zaserwował zneglizował nie tyle czerwonego, ile samych jajogłowych. Oto, czarno na białym, zobaczyli swoją dotychczasową rolę, zobaczyli jakiej służyli frazeologii i dogmatom, zobaczyli – i po raz pierwszy odrzucili! Tak, z nimi też komuch przesadził. Inteligencja, która na całym świecie i od dawna szła na lep frazeologii socjalistycznej (obojętnie jakby się nazywała), powiedziała teraz demagogom socjalistycznym: mamy was w dupie! No, naprawdę, to niebывałe, ale tak się stało, że jajogłowi w tym kraju budującym socjalizm stali się w swojej masie jawnymi zwolennikami konserwatyizmu,

jeszcze czasem, z przyzwyczajenia, nazywanego „socjalizmem o ludzkiej twarzy”. Stała się taka inteligencja! Stała się młodzież! Robotnicy! Chłopswo! I chłopacy i dziewczyny, a nawet homoseksualiści, którzy zwykle nie mieszają się do polityki! Wszystko widziałem na własne oczy, byłem na tej sali...

No dobrze, co dalej? Powiedz wreszcie, co na tym zdjęciu, którego nie ma? Nie opowiadaj w kółko o fotografiach znanych wszystkim na pamięć.

Na tym zdjęciu, od lewej znajdują się: to, co już powiedziałem (na długości trzech centymetrów), dalej – kąsanie, flekowanie, gryzienie, szmacenie, opluwanie, szarganie, dołowanie jajogłowych (na długości trzydziestu trzech centymetrów), chociaż, zaraz, zaraz, obraz mi się mgli, coś zasnuwa zwierciadełko, zwierciadełko powiedz przecie, kto jest najpiękniejszy w świecie, ach, tak, z mgły oparów wysuwa się szpiczasta niczym jajo głowa, co to?!, co to?!, oto toto (cicho!), co to?!, co to?!, oto toto (cicho do diabła!) co to?!, co to?!, miecz złowrogi ścina czubek jaja, gdzie ta głowa?! *Oto sprawa całkiem nowa, oto nowy jest problemat była głowa, lecz jej nie ma.* I trzask, prask, plasnęło zwierciadełko o ziemię, rozprysnęło się jak w każdej bajce – i ciągle nie wiadomo, nadal nic nie wiadomo pewnego. Pamiętam, to był zawsze największy problem: że nie było nic wiadomo na pewno. Trwał ten problem szesnaście miesięcy o!, i już wiadomo, już wiadomo, ale czy na długo?!

Co ja wam powiem? No, pękło zwierciadełko, rozsypała się fotka, nadal nic nie wiemy. Ale coś wam szepnę na uszko: bądźcie gotowi!, nigdy nie wiadomo, kiedy pstryknie fotograf dziejów, lepiej już z góry upozować się do chwalebego zdjęcia. Tak wam radzę, Bóg czuwa.

Jaki Bóg? Przecież Bóg zmarł wczoraj wieczorem.

Siedzę więc na tej sali, na tej sali z fotografią, której nie ma (ponieważ siedzę w środku, to nic nie wiem o tym, że fotografia się rozprysła niczym zwierciadło), więc siedzę na sali z jajogłowymi. Jajogłowi się zaparli, zaraz potem przestraszyli się swojego własnego zaparcia, ale jeszcze bardziej przestraszyli się swojego przestraszenia, no, było nie było, siak i owak, w efekcie – trzymają się dzielnie. Czyż może być piękniejsza fotografia, choćby nawet rozprysnięta?

Jajogłowi zmądrzeli do granic ludzkiej wytrzymałości? Nic z tych rzeczy – nie przybyło im grama rozumu. To może wyszlachetnieli,

cnót sobie przydali, aniołami się stali? Też nic z tych rzeczy! Jak z tym brudem, każdy indywidualnie brudny, nic się nie obmył, jednak brud służy czystości, byle brud własny, brud suwerenny, i tak też z tymi jajogłowymi – nic się nie zmienili, jako ludzie nadal zostali zawistnikami, przechercami, łasymi na komplementy, próżnymi, a te ich wady, o dziwo, zaletom służą. Bo tak to jest, że szlachetniejsz wraz z celem, do którego dążysz; i nie ma to, broń Boże, niczego wspólnego z celem, który uświęca środki. Wręcz przeciwnie, powiedzmy to raz na zawsze, żeby żaden komentator naszych dzieł zebranych nie miał wątpliwości, naszym, autora, zdaniem, żaden cel nie uświęca środków. Bezceństwo zawsze pozostanie bezceństwem, zbrodnia zbrodnią. Jednak dążąc do celu szlachetnego, jeżeli dbamy o moralność środków, nabieramy blasku wewnętrznego, czystości duchowej, wówczas nasze drobne i mniej drobne ludzkie ułomności wytapiają się w tyglu służby, przetapiają z brudu w czystość.

Tak jajogłowi odzyskali moralność.

Ciekawe zresztą, że moralność zaczęto odzyskiwać na tle czołgów, ba, przeciw tym czołgom, których silniki zapuszczono w imię szczytnych, jak zapewniono, haseł. Och, zaraz jakiś purysta solidarnościowy wyskoczy z oburzeniem, że moralność odzyskano po sierpniu. Tak, tak, drogi przyjacielu, po sierpniu – ale była to moralność nie utwardzona, łatwa, wynikająca z prostej wymiany czarnego na białe. Co nam się przedtem podobało, teraz (po sierpniu) odrzucaliśmy, o czym wcześniej nawet myśleć nie śmieliśmy, teraz jawiło nam się jako oczywistość. I co w tym za przemiana, co za walka moralna, co za zysk dla morale narodu? Dopiero czołg, połaskotawszy cię łufą między żebra-
mi, zmusił do wyboru: z kim, po co, dlaczego?

I wybrałeś.

Właśnie tak, przyjacielu, odzyskuje się godność.

W tej sali z fotografii był Pisarz, poznajecie to już po stylu, to jego słowa, bracie, to jego słowa, dostojny, to jego słowa, czcigodny. Pisarz zaprowadził mnie do salki obok, tam, gdzie rodziła się konspiracja. W tej salce był i... no, w ogóle wszyscy. Była też ukochana E., która ze wzgardą odwróciła ode mnie głowę, nie widząc na moich rękach kajdanek. Bolesny to punkt w mojej biografii, myślę, że pora już powrócić do wątku osobistego. Czerwony skrzywdził mnie poczwornie, albo i więcej, owej pamiętnej nocy. Załadował mnie do suki, ale zabrakło

dla mnie kajdanek, po prostu, zabrakło, jak to w polskim bałaganie, po drugie – zaraz wypuścił, a to było gorzej niż gdyby całkiem nie zatrzymał; gdyby nie zatrzymał, to zawsze można było się “ukrywać”, mówiliby ludzie, taki cwany, że go nie złapali, i byłoby w porządku, a tak, to miał już czerwony w saku i wypuścił do domu?, tak raz ciach, dziwne, nieprawdaż? Przyjdzie może jeszcze odpowiednia pora, to o wszystkim opowiem. Teraz, uciekajmy już z tej fotografii, która zbyt prędko prowadzi nas do dnia dzisiejszego, przecież chcemy jak najdłużej zachować czas anarchii i kontrewolucji, jak najdłużej pożyć normalnie.

– Proponuję – mówił Beda – zakończyć już jałową dyskusję, tak dłużej nie może być. Czas przestać rozmawiać, apelować, błagać władzę, żeby zechciała łaskawie dotrzymać porozumień. Nie chcą to nie. My ich zmusimy! Musimy ogłosić strajk!

– Nie tak szybko – zaproponował Antoni. – Co nam to da? Strajk dla strajku? Najpierw sobie powiedzmy, co chcemy osiągnąć.

– To wiemy – nie ustępował Beda – Wiemy od dawna. Nie musimy sobie tego tłumaczyć, wyjaśniać. Czy mamy inną drogę poza strajkiem? Proszę bardzo – teatralnie rozłożył ręce – mogę już, zaraz, siadać do stołu rozmów, proszę, ale z kim? Gdzie są nasi rozmówcy?! Pochowali się w bunkrach komitetów! Przemawiają do nas zza szklanej szyby telewizora. Bezkarnie nas obrażają, nie licząc się z wolą narodu!

Na sali panował zgiełk. Antoni czuł, że czas płynie w niewłaściwym kierunku, intuicyjnie bał się ludzi typu B., nigdy nie miał pewności, skąd oni właściwie są, komu służą? Jednak wiedział również, że B. ma rację, że z tamtej strony nie ma rzetelnych partnerów, są tylko gracze patrzący własnych pozycji. No, dobrze, niech nawet tak będzie, ale czy to znaczy, że nie mamy żadnych szans, żadna polityka nie ma szans, zostaje tylko kwestia, kto silniejszy? Przecież wiedziano o braku partnera, podpisując porozumienia, przecież musiano o tym wiedzieć, gdyż o służalczości władzy wobec obcego kraju wie tutaj każde dziecko. W co wierzono? Na co liczone? Jak się teraz zachować?

– Wiemy czego oni chcą i wiemy czego chcemy my sami – tłumaczył kiedyś Antkowi Józef K. – ale przecież jesteśmy skazani na siebie i na własne możliwości. Nikt – kontynuował J., bawiąc się pozostałą na talerzu frytką – nie osiągnie wszystkiego, czyli jesteśmy skazani na kompromis.

Antek bardzo dobrze to zapamiętał. Spodobało mu się określenie: skazani na kompromis. Tego trzeba się trzymać. Wypluł te słowa, rzucał je wszystkim zebrany na sali pod nogi, przed oczy. Zamilkli najwyżej na ćwierć sekundy, może nawet na krócej, ot, mgnienie powieki. Ale jak mgnienie przesłony umożliwia zrobienie zdjęcia, tak mgnienie powieki przeniosło mnie w inne fotografie, w fotografie innych sal, innych zdarzeń.

Baba z nożycami stała jak wryta. John Pulasky meldował przez radio o odpaleniu rakiety. Pershing mknął po niebie. Wówczas Mediator, który uważnie śledził losy bohaterów tej sagi – był przecież człowiekiem najlepiej poinformowanym – zatrzymał zegar świata. Żeby można było porozmawiać, jak sierżant z kapralem. Wszystko, łącznie z rakieta i nagrodą w dalekiej Skandynawi, zamarło w bezruchu. Zostały tylko słowa.

W chwili przerwy w dziejach świata, postanowiłem zmienić biurko. Była to doprawdy ostatnia chwila, kraj normalizował się i stabilizował na potęgę. Nowe meble malowano w fabrykach „na wojskowo”. Zieleń ze srebrnym szamerunkiem dla zestawów oficerskich, drelichowa płowość dla proletariatu, kameleonowata nieokreśloność dla służb specjalnych. Brygady ZSMP i bratnich organizacji łącznie z ORMO chodziły po domach i przemalowywały dobytek. Ze względu na przejściowy brak farby, na razie malowano meble obywatelom wytypowanym przez komitety dzielnicowe. Nigdy nie lubiłem wypinać piersi do orderów więc zadowolilem się zdobytym od tyłu w domu meblowym skromnym mahoniowym biurkiem. Przyznam również, że telewizyjne apele, aby obywatele dla dobra własnego sumienia i dla dobra obronności Ojczyzny przemalowywali meble na kolory ochronne w ramach społecznej akcji „Zrób to sam”, odbijały się ode mnie jak groch od ściany. Chociaż, trudno, powiedzmy raz szczerze, nie reagowałem, ponieważ w głębi serca byłem przeciwnikiem własnego kraju. Och, jeszcze inaczej, niech raz się stanie, przecież ja w ogóle nie mam serca, po prostu jako płatny (zresztą słabo, recesja!) agent realizowałem swoje brudne zadanie: mahoniowa plama mojego biurka będzie stanowić świetny cel dla lądujących w nocy

natowskich spadochroniarzy. Tak, jestem piątą kolumną w Polsce, która miała stać się drugą Japonią, a została pierwszym zadupiem.

Kiedy z plam na słońcu prześwitujących przez warszawski smog i moje brudne okna, wróżyłem przyjscie marines, odwiedził mnie Antoni. Miał wygląd uszaty i pękaty, twierdził, że internowano go do rządu. Przyjrzałem mu się bliżej, wił się pod moim przenikliwym spojrzeniem, aż stało się oczywiste, że nie jest żadnym Antonim, jest Stefanem, który przebrał się za robotnika i zszedł do podziemia. Jednak nadal patrzyłem uważnie, ciało gościa zaczęło się skręcać niczym owad w płomieniu świecy; stał moich oczu szybko rozszyfrowała zagadkę, to był kolega M., który przeszedł na służbę czerwonego, właściwie nigdy z niej nie wyszedł powodowany nader szlachetnymi intencjami, iż należy wrogowi patrzeć na ręce i dobrze wiedzieć co knuje. Dlatego były M. knuł razem z czerwonymi. Ale i to rozpoznanie okazało się błędne. Kiedy dotknąłem kolegi M., rozsypał się niczym domek z kart znaczonej przez Teodorka-Odorka. Już sam nie wiedziałem, kto mnie odwiedził – i to właśnie okazało się tym, o co chodziło. Dopiero wówczas mój tajemniczy gość przemówił. Nie używał słów, ani języka, w ogóle nie otwierał ust. Słyszałem go, jeśli można tak powiedzieć, bezpośrednio w mózgu, w świadomości, w podświadomości, w psychice i w inte, no, w ogóle wszędzie. Przestraszyłem się, zaraz później ukoilem; z perspektywy czasu, jaki upłynął od tamtego wydarzenia, myślę, że właśnie ukojenie, jakie odczułem, oznaczało, że tajemniczy przybysz opanował moje ego, super ego i co tam jeszcze zostało do opanowania. Po prostu – stałem się nim.

Tak, bez żadnej walki wyborczej, zostałem partyjnym bogiem.

Jak każdy Bóg, byłem wszędzie i nigdzie, byłem wszechogarniający i w każdym z osobna, krzyczałem wielkim głosem i milczałem w duszy każdego. Chwilowo siedziałem w bunkrze. Na zdjęciu widać, że był solidny, wybudowany według najnowszych instrukcji marszałka Żukowa (Tu wypada zdradzić pewną tajemnicę Układu Warszawskiego – układu, kto z kim się układał? – no, dobrze, tajemnicę Paktu Warszawskiego – paktu, kto z kim paktował? – ach, dobrze, tajemnicę Armii Przyjaźni – przyjaźni? – no więc zdradźmy tajemnicę, że marszałek Żukow żyje; ostatnio został oddelegowany do wymyślenia schronów niezniszczalnych, wybudowano takie dwa schrony: dla najwyższego kierownictwa i dla samego marszałka, „sposobem go-

spodarskim”, niech drży wróg – marszałek nadal kombinuje). W tym bunkrze byłem, nie pomnę już czyjej własności. Przede mną, placikiem i – strach powiedzieć – krzyżem leżeli bohaterowie pierwszych stronich urzędowych gazet. Szukali u mnie natchnienia: powiedz, och, powiedz, co robić?!

Od lewej klęczeli: Andropow*, Wałopow, Matopow, Kutasow, Pałkow i Duszow. W przedpokoju świątyni pełzali w oczekiwaniu na wyrok Jaruzel, Pedruzel, Morduzel, Pałkuzel i Wymóźdzel.

W dymie kadzidła nieustępliwie wisiało pytanie: co robić?

Odzyskałem świadomość swojej dwoistości. Wiedziałem kim jestem naprawdę, wiedziałem, kim stałem się dzięki nieznanym wyrokom Opatrzności. Odczułem przymus odegrania historycznej roli. Wolność umęczonej Ojczyzny była w mojej mocy. Przede mną stanęło dramatyczne pytanie: co im poradzić?

Pomysły miałem różne. Na przykład, mogliby się rozwiązać, mówiąc ich językiem – zrealizować prawo do samostanowienia. Albo – upaść z hukiem wielkim, acz niegroźnym dla narodów braterskich. Albo – odejść cicho z tego świata, oddalając się w nieznanym kierunku, niczym skromna, szara myszka. Och, ale to bynajmniej nie myszki! Wiedziałem o tym dobrze – wstrętne szczury! Szczyrzyli teraz do mnie zęby, patrzyli miłośnie w oczy (każdy wie, że to przenośnia, nie można Bogu zaglądać w oczy), czekali na wyrok.

Co robić?

John Pulasky też stał przed tym dylematem. I wybrał. Naród stał przed dylematem – też wybrał. Teraz moja kolej.

Z nieodpartą jasnością narastało mi w mózgu zdanie, które widziałem litera po literze: idźcie precz! Dajcie ludziom spokój, uwolnijcie ich od siebie, niech sami sobie radzą ze swoimi problemami! To najlepsze, co możecie zrobić! Idźcie precz!

Starałem się przekształcić obraz, jaki powstał w moim mózgu, w dźwięki. Starałem się ułożyć usta i język w litery. Czułem opór własnego, nieistniejącego przecież, ciała. – Krzywi się, krzywi! – zwyli zgromadzeni w świątyni. Jeszcze bardziej się rozpląszczyli, rozkrzywiali.

* Wstaw obecnie obowiązujące nazwisko i odpowiednio skoryguj nazwiska pochodne.

Wyczuli mój nastrój. Mnie przecież nie było w sensie materialnym, ale boski duch emanował. Zwietrzyli go doskonale, nie na darmo tyle lat pętali się po Pałacu, nie bez przyczyny dostali się na szczyty. Stare wyciruchy!

Wzmogłem wysiłki. I już, już, jaśniała jutrzienka wolności dla mojej Ojczyzny, już, już, słowa twarde, acz prawdziwe, ucieleśniały się w kadzidlany dymie, kiedy nagle zabrzmiały w mojej duszy – w duszy duszy – nieznanie przedtem tony. Ludzie zdali mi się nędznym robactwem, narody zbiorem debili i degeneratów, wszyscy zdadni jedynie do przyrodzonego im stanu niewolnictwa. Złość wielka, pogarda przeogromna, niesmak olbrzymi ogarnęły mnie od umownych stóp do umownej głowy. Wrzasnąłem: **PALCIE I MORDUJCIE !!! JESTEŚCIE WIELCY NAJWIĘKSI !!! JESTEŚCIE PANAMI !!! WASZ JEST ŚWIAT !!!**

Śpiew radosny gruchnął ze świątyni pod same niebiosa.

Ocknąłem się z głową opartą o nowe, mahoniowe, szpiegowskie biurko. Trudno, pomyślałem, nie udało się, muszę zamówić u stolarza tajne skrytki. Jest taki jeden specjalista, nakierowany gospodarczo na kraje NATO, pokazywali go w telewizji (robił dla Najdera). Jeżeli coś już robić, to dobrze. Chciałbym mieć zdjęcie z wydrążonym przez Matę Hari kamieniem w rękę. Jak śpiewano w latach gierkowskich, kiedy naród zaprzedał się na służbę zachodnich wywiadów: „Ściskając w rękę kamyk zielony... wsiąść do pociągu byle jakiego...” Otóż to! Byle jakiego, byle dobrze płatnego, nieprawdaż, kochaneńki? Dobrze płatnego! A przecież płacą wszyscy. Och, czerwony wcale nie rządził (rządzi) jedynie przy pomocy bagnetów. Nic z tych rzeczy. Bagnet był impulsem, z bagnetu jak z żebra Adama powstało zło, czyli życie w pełnej postaci. To zło opanowało duszę narodu.

Zło przybiera zwykle formy kuszące, ponętne. Zło wkrada się do twojej wyobraźni niczym kochanka do domu rodzinnego. Zło zawsze jest atrakcyjniejsze niż dobro.

Więc najpierw ulegałeś złu dlatego, że Historii nie zmienisz (że taki los, trzeba ratować co się da, nieobecni nie mają racji, że... itd.), albo ulegałeś złu, gdyż zło było już w tobie (to ty byłeś niewolnikiem diabła, na ciebie zawsze można było liczyć, robiłeś karierę, wileś sobie wygodne gniazdko, to ty... itd.), albo ulegałeś złu nieświadomie (nie chciało ci się spojrzeć dokoła, nigdy nie mieszałeś się do polityki, zawsze byłeś cichym, skromnym człowiekiem, nie mogłeś... itd.), albo

ulegałeś złu z innego jeszcze powodu. Wygodniej ci było ulec złu niż mu się sprzeciwić. Oficjalnie nazwano to rewolucją socjalistyczną.

Rosły zastępy czerwonych. Garstka, która przyjechała w sowieckich czołgach, grupka, która była na miejscu, pęczniały z dnia na dzień, obrastały w tłuszcz jak każde właściwie karmione zwierzę. Były też szczytne hasła, strawa dla idealistów, ot, to wszystko. Niektórzy mieli pokarm w sobie, wyspany z mlekiem matki, nazywano ich lewicą. Mediator, Wojtek, inni, oburzają się świętym oburzeniem, ale przecież czy nie fascynująca jest droga od lewicy do zdrady narodowej?! Ba, niektórzy sądzą, że na tej drodze nadal możliwy jest powrót do punktu wyjścia. Skruszeni grzesznicy? Ludzie boży? Nie! Nie miej złudzeń, przyjacielu, najmniejszych złudzeń, chwili wahania. Taka chwila może cię drogo kosztować. Ostrzegam: to są niepoprawni czerwoni, czerwoni nad czerwonymi, czerwoni tym groźniejsi im szlachetniejsi, im bardziej ludzcy i uczciwi. A czerwoni to gorzej niż dzuma, to powolne umieranie w męczarniach wymóżdżonych narodów. Dlatego ostrzegam.

No i wykrakałem. Przyszedł do mnie czerwony. Tu głucha noc okupacji, tu czerwony. Co robić? Rozsypałem czcionki maszyny, same ułożyły się w obojętny tekst (maszyna też człowiek), ale co dalej? Siedzi i gada. Niby były czerwony, legitymację oddał, ale czy z nimi to wiadomo? Więc cedzę słowa ostrożnie, chowam w nich myśli. Jednak diabeł nie śpi i podkusiło mnie: tak, tak, potwierdziłem ochoczo, wiem jak to jest, sam byłem czerwony. – Ty?! – oburzył się, a zna mnie połowę życia. – Ty nigdy nie byłeś czerwony, co ty możesz wiedzieć o dusznych problemach, o odchodzeniu od czerwoności?

Nie byłem! Co począć z takimi słowami? Niby radość z nieoczekiwanego glejtu, piękne zaświadczenie do przyszłego zbowidu, a przecież gównu mi podrzucił do kieszeni. Ja z narodem byłem czerwony i z narodem odchodziłem od czerwoności. Z narodem, przez naród, dla narodu, naród narodem, narodowy naród. Ja tak zawsze, a teraz co? To ja nie z narodem? Och, ty wyrodku!

No, bo rzeczywiście. Raz mogę być szczery. Ten naród był katolicki i był czerwony. Więc z narodem byli wierzący i z narodem byli czerwoni. A ja nie wierzę, nie wierzę w Boga i nie wierzę w czerwonego. Czerwonego nienawidzę, Boga lubię, ale czy to wystarczy, aby być przyjętym do wspólnoty. Co ja, biedak, zrobię bez narodu, co ja pocznę bez swego miejsca na ziemi. Prawda, teraz ten naród jest wierzą-

cy i nienawidzi czerwonego. Nienawidzi jak ja. Ale czy na nienawiści można budować wspólnotę?

Postanowiłem w tej sprawie napisać do wyższych czynników.

List do Boga odesłano mi z adnotacją, że adresat jest nieznanymi i z pieczętką „ocenzurowano”. Niczego mi w tym liście nie skreślono ani nie wymazano. Co oni ocenzurowują, do diabła?! O, przepraszam!

Napisałem do papieża. W odpowiedzi dostałem list podpisany przez niejakiego Levi, że papież modli się za wszystkich ludzi na świecie i że bym wyleczył się z polocentryzmu. Leniłem się zajrzeć do słownika wyrazów obcych, napisałem do prymasa. Niejaki Orszulik w urzędowych słowach poinformował mnie, że ponad dziewięćdziesiąt procent Polaków to katolicy. Informację przyjąłem do wiadomości, lubię się czegoś nauczyć. Napisałem kolejny list, do proboszcza pobliskiej parafii. Po kilku dniach przyleciał przejęty chłopak i powiedział, że jeżeli chcę się ochrzcić, to powinienem przyjść do kościoła.

Wysłałem więc list do prasy katolickiej. Z „Więzi” dostałem odpowiedź, że na razie, dopóki, i tak dalej, aż, to nie skorzystają, choć przecież, przy najbliższej okazji, gdy sytuacja, i tak dalej, to byłoby może, ewentualnie, zainteresowani, co, oczywiście, nie znaczy, że na pewno, tym niemniej, a w ogóle to przesyłają wyrazy uszanowania.

Wyrazy przyjąłem i napisałem do „Tygodnika Powszechnego”. Jak kamień w wodę. Nawet szanować mnie nie chcieli. Uznałem więc, że w katolicyzmie nie znajduję zrozumienia.

Wtedy postanowiłem zagrać *va banque*. Napisałem do Lecha. Gdybym wiedział, ile dostanę odpowiedzi!

Najpierw przyszedł poczmistrz. Zabawił niedługo, kilka godzin za ledwie, interesował się listami i papeterią. Wszystkie zabrał, mówił, że otwierają muzeum epistolografii, ach, dodał także, tajemniczo i dwuznacznie, że w muzeum nie przewidują działu Lecha. Następnego dnia zjawił się filatelista. Po zerwaniu klepki znalazł szczególnie, jak zaznaczył, interesujący egzemplarz znaczka; w przeciwieństwie do innych, podkreślał, posiadanych przeze mnie, ten był nie ostemplowany. Filatelista nic nie mówił o muzeum.

Już od rana następnego dnia oczekiwałem niespodziewanego gościa, ale przyszedł jedynie mleczarz, jak w wiejskiej anegdocie. Dopiero wieczorem zastukał do drzwi grafolog osiedlowy. Okazało się, że pewne cechy mojego pisma mogą świadczyć o schizofrenii. Właśnie

tak się składa, osiedle jest od pewnego czasu męczone przez zboczeńca, który – dodał grafolog znacząco – obnaża się w kształcie niepopolskiej litery. Jako człowiek otwarty i szczery zaproponowałem grafologowi wspólny pobyt w ubikacji. Krzyknął, że to prowokacja, spisek światowego syjonizmu, że Reagan, i że on sam w czasie wojny pomagał. Po czym uciekł. Ale zaraz przyszedł ktoś nowy, i jeszcze ktoś, i jeszcze. Jeden nie wyszedł, gdy drugi wchodził, drzwi dosłownie się nie zamykały. Któż się tam nie przewinał, i psycholog (dostosujemy mieszkania do charakteru), i ekonomista (jak się komu powodzi?), i socjolog (stresy a budownictwo), i ... i tak dalej.

W sobotę przyszli oni.

Właściwie niczego nie chcieli. Nie mogli się tylko nadziwić. Z tego zdziwienia przyszli. No, bo tak. Obserwują mnie od tylu lat, ile liczę. Wszystko mają w teczkach, och, może to nadmiar biurokracji, ale użyteczne. Więc tak, tyle lat obserwacji i nic, niejasne przeczucie, mętne denuncjacje, żadnego konkretnego, żadnego, jak to mówimy w branży (śmiech) złapania za rękę. Od paru lat, obserwacja uważna jak rzadko: dwóch kumpli, jedna przyjaciółka, trzy dziewczynki. I nic. Więc podrzucili mi jeszcze dwie dziewczynki, jednego brata łątę i nową przyjaciółkę. Byli przecież pewni, knują na potęgę, inaczej po co bym był taki ostrożny?! I znowu żadnego rezultatu.

W czasie wojny, to już w ogóle nie liczyli się z wydatkami. Pięć podsłuchów, cztery „ogony” (w tym jeden zmotoryzowany), trzy dziewczynki, dwóch koleżków, jeden prowokator... Rezultat zerowy.

Tak się męczyli, tak się męczyli, specjalnie dla mnie przedłużyli ustawę o amnestii, a nuż się skuszę?, a tu teraz, ja sam, z własnej woli, leżę im w łapy, sam (he, he) kręcę powróż na własną szyję. No i tego właśnie nie mogli zrozumieć, dlaczego tak głupio, dlaczego tak otwarcie, dlaczego tak po prostu list do Lecha. Kto tam teraz do niego pisze, ha, ha?! Wariaci, my sami i trzech idealistów.

Dlaczego ja tak?

Od razu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przypomniały mi się odległe epoki peerelu. Przecież jesteście inteligentnymi ludźmi, swoje wiemy, chcemy mieć wygodne życie, no, to po co przejmować się tą ciemną masą, po co coś im gadać, coś dla nich drukować, coś objaśniać, i tak nie rozumieją, będą ciemni, będą przeciwko nam, my tylko dostaniemy w dupę, więc po co?

Ba, po co ludziom głosić prawdę, dlaczego częstować ich słowem?!

Ba, gdybym to wiedział, to zapewne nie pisałbym tej książki. Ale piszę. Cóż, żyję z pisania. Tak, to dlatego. Ja z tego żyję, innego zawodu nie mam. O tak!

No i poszli sobie. Razem ze mną. Później zostawili mnie samego. Wreszcie, trzask judasza, zgrzyt zamka, chrobot klucza, patrzę: Jezu, Lechu! Więc na kolana już prawie padłem, ale w ostatniej chwili coś mnie tknęło. Niby Lechu, a nie on. Niczym ostrze skalpela przeszło mnie doświadczenie bydgoskie, tak, to Stachu, brat. Upewniłem się jeszcze czy ma magnetofon i zaczęliśmy rozmawiać.

Stachu: hm, hm.

Ja: Tak to tak, kurwa.

S.: No, ale jednak...

Ja: Dobra, wiesz jak jest.

S.: No tak.

Ja: To kurwa jak?

S.: Jak jak?

Ja: Więc widzisz?

S.: Ale ja...

Ja: Ja nie mogę!

S.: Ale ja...

Ja: Wiesz jak jest?

S.: No, ale jednak.

Ja: Tak to tak, kurwa!

S.: hm, hm.

Zaraz potem Stachu wyszedł. Kiedy odtworzyli naszą rozmowę w telewizji (po wycięciu brzydkich wyrazów), wiedziałem, że i mnie puszcza. Zostałem już wykorzystany i więcej nie było potrzeby mnie trzymać; tylko objadam budżet resortu. Tak też się stało. W te pędy wróciłem do domu.

Tu nieprzerwany strumień gości. Tylko innych. Zacnych i szczerých. Jeden mi radził, żebym wytoczył czerwonym proces, inny nazywał to kretynizmem prawnym i radził podjęcie działań odwetowych. Jeszcze inny doradzał pracę organiczną i cierpliwość; cnoty miałem w sobie kultywować, żeby były jak znalazł na stosowny moment. Znowu byłem ciemny jak tabaka w rogu. Uciekłem od doradców. Na ryby, wypocząć. W albumie mam też fotki wczasowe. I tam właśnie stanąłem spławik

w spławik z Lechem. A w dalekim Oslo, tak, ta, my tu na rybach (te głupki dziennikarze zachodni podali, że na grzybach, tfu!), a tam w dalekim Oslo, tak, ta, to było właśnie tego dnia, co to wy wiecie, a ja rozumiem.

Zaproponowałem, nie wiem skąd u mnie tyle bezczelności, żeby pogadać jak płotka ze szczupakiem. Lechu nic nie odpowiedział, spławikiem dał znać, że nie jesteśmy tu sami. Spojrzałem uważnie i co widzę! Swołocz przynętę nam podbiera, gębę w pyszczek zwiija, z gwiazdek usiłuje zrobić skrzela. Och, ty, pomyślałem, i chodu w las. Lechu za mną. Przystanęliśmy pod dębem. Zerkam w górę, tu pułkownik w konar zwinięty żołądziami potrząsa. Więc my dalej chodu, widzę jamę, daję w nią nura, Lechu za mną. W jamie borsuk siedzi – o znajomej twarzy! Wreszcie do bagien dopadłem. Lechu za mną. Myślę, porządny chłop z tego Lecha, chce konsultacji społecznych, z masą związkową szuka kontaktu, nie wysferzył nam się, nie wysferzył. I chlup do bagna, Lechu twardo za mną. Opadliśmy na dno, korytarze betonowe, drzwi żelazne, stuku puku, otwiera się sezam niespodziany, tam – no tak, tam całe podziemie siedzi, ze Zbyniem na czele. Siedzą i bagnią nasz kraj umiłowany. Ledwo zdążyłem zaczerpnąć oddechu, Lechu wpada i krzyczy: włókl się za mną i włókl – tu wskazał na mnie – odczepić się od niego nijak nie mogłem, zwiążcie go, później zobaczymy.

Rzucili się chłopcy do sznura, ja do kieszeni sięgam.

Gdzie legitymacja, gdzie legitymacja? – myślę gorączkowo. Prawda, nie zdążyliśmy ich wydrukować, uzgodnić koloru i kształtu, treści i zdjęcia, jednym słowem żadnego zaświadczenia. Kto mi uwierzy, że jestem członkiem Ruchu?

– Stój! – krzyknąłem gromko. – Toż ja swój, ja od nas, ja krew z krwi, i kość z kości, ja nos z nosa (tfu, co też plotę, nie wnিকajmy w nosy), w każdym razie, jam jest „Solidarność”!

Cisza zapadła, że słychać było chrzęst przesuwanych w sąsiednim bagnie rakiet SS.

– Boże – jęknął Zbynio wzruszony – to jednak jesteś, istniejesz, święta ty moja.

Zasiedliśmy do stołu obrad. Kilku doradców na znak protestu opuściło salę. Ich zdaniem, nie należało wracać do trupa, trzeba było iść naprzód, bez zbędnego bagażu. Lech nie w ciemną bitę, pozostał. Jak

to on jednak, gdy doszło do głosowania nie podniósł ręki ani „za”, ani „przeciw”, ani przy „wstrzymał się”. Tylko pykał i pykał swoją charakterystyczną, wygiętą mocno w dół fajkę.

Działacz I: Nastroje w fabrykach są coraz gorsze. Ludzie mają dość podwyżek cen i obniżek pensji. Ludzie są gotowi na wszystko.

Działacz II: „Na wszystko”, byle tylko się nie narażić!

Działacz I: To jest głęboko ludzkie, trzeba zrozumieć.

Działacz II: A ty to rozumiałeś?!

Działacz III: Nastawiamy się na długi dystans. Rozwijamy wydawnictwa, samokształcenie, oświatę.

Doradca I: Ale radio, co z radiem?

Działacz III: Mamy straty.

Doradca I: Może zrezygnować? Po co narażać ludzi?

Kierowca: Najlepiej w ogóle zrezygnować.

Działacz II: Ruch należy do nas. To dobrze. Czy jednak władza podejmie naszą inicjatywę.

Działacz I: Jaką inicjatywę?

Doradca II: To jest problem. Powtórzyć ofertę ugody? Teraz, po nagrodzie, z pozycji wywyższenia to inny głos niż głos opluwanego i zniesławionego, więc może jednak?

Działacz I: Ale konkretnie, konkretnie!

Doradca II: Zaoferować współpracę przy reformie gospodarczej, w zamian za pluralizm związkowy?

Doradca III: Czerwonemu nie zależy na reformie. Musimy być w ciągłej ofensywie, zalewać władzę propozycjami, jakby wszystkim było dobrze, gdyby znowu była „Solidarność”, oni i tak na nic się nie zgodzą. Trzeba być widocznym, sprawnym organizacyjnie, obecnym na scenie publicznej. Czekać na nasz moment, na chwilę, która nadchodzi. Gdy rozleje się strajk po fabrykach, a nastąpi to lada miesiąc, sami do nas przyjdą.

Kierowca: Na kolanach.

Doradca III: Ale musimy dobrze wiedzieć, czego żądać, co załatwić, co będzie realne, co nie?

Doradca II: Ciekawe, gdzie widać ten strajk?

Działacz I: W fabrykach mojego regionu!

Działacz powiedział to z tak pewną miną, że poczułem jak moje kruche i zmęczone ciało pęka pod uderzeniem jego niebieskich i prze-

nikliwych oczu. Dłonie, którymi opierałem się o stół, wsuwały się milimetr po milimetrze w ręce, ręce w ramiona, tułów w szyję, nogi już sam nie wiem w co. Zwyczajnie kurczyłem się, miniaturyzowałem. Znikałem. Ktoś dmuchnął w moją stronę dymem z papierosa, co na moją odcieleśnioną postać podziałało niczym podmuch huraganu. Wdusiło mnie w betonową ścianę. Kiedy tak przenikałem przez ścianę, z niej w bagno, by po chwili zabulgotać na powierzchni, jak z zaświatów dobiegł mnie głos Lecha: – Mam program, dobry program, jedyny plan. Nie powiem teraz. Przyjdzie pora, to powiem. Przyjdzie pora... A po chwili, długiej jak wieczność, zboląły okrzyk Zbynia: Solidarność! Gdzie się podziała nasza Solidarność?!

Więcej już nic nie pamiętam. Ocknąłem się na polanie w głębi nieznanego lasu. W ręce ścisnąłem „Zorkę 5”. Świeciło słońce. W kraju postępowwała normalizacja, pron wam w dupę.

Tak, jak Boga kocham, że tak. Mam zdjęcie, na dowolnej stronie mojego albumu, swoje zdjęcie, jak ja, we własnej postaci, szczerzę zęby do migawki, twarz mam skapaną w słońcu. Czyż nie jest to dowód mojej pozycji, zasług dla Ruchu?

Niech wam będzie. Skoro już nalegacie swoim milczeniem, uchylę rąbka tajemnicy, powiem wam, jak było. Jak było naprawdę. Z wami, ze mną, z ruchem, pod ruchem, związkiem, zawiązkiem, ojczyzną, krajem, rajem, wolnością, obcością, nocą generałów, jutrzeńką swobody, akcją, prowokacją, okupacją.

„Grudniową nocą, nie wiedzieć po co, przywłókł się glina po lodzie...”, albo „Trzynastego grudnia roku pamiętnego...”, albo „Zielona wrona, wężyk szamerowany...”, albo ... Zresztą, czy to ma znaczenie, jakich użyto rymów? Ostatnie pieśni dziadowskie powstały „za niemca”, aż tu taki niespodziewany renesans! Wiem, wiem, były gniewne ballady po grudniu 70 – „Janek Wiśniewski padł”, były po czerwcu 76. Ale dziadowskich nie było, to wielka różnica. Tam były nienawiść i strach, łaknienie zemsty. W obecnych drwina, pogarda i błysk topora. Patos umierania za ojczyznę. Za niepodległość. Nie zapominaj o tym, przyjacielu.

Dzięki tej „Zorce” i wstawiennictwu umiłowanej E., trafiłem na kongres etnograficzny. Pierwszy, tajny, naukowy.

Porobiłem, bez wiedzy i zgody autorów, wiele fotografii. Ciekawe widoki! Teksty niestarannie powielone, aby nie można było zidentyfikować maszyny, na której były przepisywane – jedyne czytelne zdanie to „Wydane bez wiedzy i zgody autora”. Teksty są sygnowane pseudonimami, sugerującymi prawdziwe nazwiska np. Sergiusz Kowalski, Jan Strzelecki, Jan Malanowski itd. Cechy osób, które sfotografowałem na kongresie są świadomie zafałszowane, np. „blondyn” to brunet, „szatyn” to albinos, ale dla utrudnienia zadania służbom specjalnym, czasem „blondyn” to blondyn i już, a nawet szatyn. Pozmieniałem także treść wypowiedzi.

Referat. Autor: Sergiusz Kowalski. Tytuł: *Dziadostwo jako symbol naszych czasów, czyli pieśni ludu mazowieckiego i innych wyznań, a także samo bezwyznaniowców i bezpaństwowców, jako też obyczaje, anegdoty, napisy, przeczucia, wróżby, sny, powiedzonka i żarty w kraju nadwiślańskim, a.d. 1982 przez męża uczonego spisane bez żadnej nadziei na przyszłość.*

Treść: *Etnografię, jak wiadomo, dzielimy na etnografię dworską i etnografię naturalną. Paradoksalnie, etnografia dworska unika wszelkiego zajmowania się pałacem, zaś etnografia naturalna interesuje się jedynie tymże. Czy jednak etnografia dworska, per analogiam, opisuje naturę ludzi, naturę społeczeństw, naturę narodów? Nic z tych rzeczy. Współczesny badacz jest więc skazany na siebie samego. Niech będzie to choćby częściowym wytłumaczeniem wszelkich błędów i uchybień niniejszego opracowania. Wracajmy do naszych dziadów, pardon, baranów. Jak słusznie zauważył Arystoteles, dziadostwo społeczeństw poznaje się po stopniu zdziażdżenia jego cech przyrodzonych. Za cechy przyrodzone zwykło się uważać cnotę godności, cnotę sprawiedliwości i cnotę miłości. Rozpatrzmy je po kolei na tle trudności i uwarunkowań dnia dzisiejszego. Cnota godności. Spotykane opinie publiczne: „Rządzą nami dziady, sługusi obcego mocarstwa, dziady, którzy z kraju zrobili dziadostwo”, albo opinia oskarżanych: „Czego te dziady tak szumią, żebrzą po całym świecie, dary przyjmują od Bangladeszu, pracować im się nie chce, dziadom”. Cnota sprawiedliwości. Spotykane opinie: „wszystkiemu winni są oni, te dziady czerwone”, albo przeciwstawna: „Czy z tymi dziadami, robolami, warto w ogóle rozmawiać, przecież to oni gubią kraj”. Cnota miłości: „Och, wydusimy ich wszystkich”, i opinia drugiej strony: „Och, wydusimy ich wszystkich”. Jak więc widzimy jasno z tego krótkiego przeglądu,*

cnoty, przynajmniej sądząc po wyrażanych publicznie opiniach, uległy totalnemu zdziedzieniu. Możemy więc zasadnie twierdzić, że zdziedzieniu ulegli ludzie, społeczeństwo i naród. Teoria dziadostwa jako symbolu naszych czasów została potwierdzona przez empirię (patrz Aneks z wykazem i zapisem literalnym: obyczajów, anegdot, przeczuć, wróżb, snów, powiedzonek i żartów, a także pieśni). Dla porządku dodajmy jeszcze, że z twierdzeniami Arystotelesa i naszymi nie zgadzają się: strukturaliści, fundamentaliści, faszyci, marksiści, zajebiści, taszyści i inniści. My jednakże, i Arystoteles, nie zmieniamy zdania.

Komunikat z badań. Autor: Jan Malanowski. Tytuł: *Przyczynek do położenia proletariatu.*

Treść: Według ostatnich danych i najnowszych doniesień, ilość skarpetek przypadająca na nogi proletariatu waha się: w Zawichoście – plus dwa, w Miedoni – bez zmian, w Płocku – minus czterdzieści dwa, w Gdańsku – wszyscy czują się dobrze.

Komunikat z badań. Autor: Jan Strzelecki. Tytuł: *O wyższości nad niższością.*

Treść: *Nikt nie bada, nikt nie bada, wszystkim biada, wszystkim biada. Humanizm i socjalizm, dwa zagadnienia. A wyjścia z tego nie ma. Kto to zbada, kto rozsądzi, byśmy byli mądrzy? Kto to zbada, kto pobłądzi? Osobiście – mam nadzieję.*

Głos w dyskusji. Autor: blondyn o krótkich nogach.

Treść: *Skarpetka a totalizm, nadzieja a zdziedzienie. Ważne, nader ważne zagadnienie. Czy jednak nie zapominamy o Kurpiach?.*

Głos w dyskusji. Autor: długonogi brunet.

Treść: *Kurpia kurpi lba nie urwi, jak mawiają. Tym niemniej postuluję byśmy nie odbiegali od tematu, lecz do niego wrócili.*

Głos w dyskusji. Autor: zez większy od piegów.

Treść: *Popieram przedmówcę i gorąco protestuję przeciwko zamulaniu naszej owocnej dyskusji nieodpowiedzialnymi wypowiedziami o Kurpiach, których zresztą szanuję i cenię.*

Głos w dyskusji. Autorka: wamp o zielonych oczach.

Treść: *Chciałam podziękować, ponadto dodać, jak również podziękować, i po dodaniu, ponownie podziękować. W sprawie Kurpiów nie będę się wypowiadać.*

Głos w dyskusji. Autorzy: prowadzący obrady pierwszego dnia do obiadu.

Treść: Ja na prawie dyskutanta. Nie chciałbym Szanownym Kolegom niczego narzucać, prawda, nie po to się tutaj zebraliśmy, prawda, żeby komuś cokolwiek narzucać, tym niemniej czuję się w obowiązku powiedzieć Szanownym Kolegom, że temat Kurpiów choć interesujący, nie należy do rozważanego dzisiaj problemu, mimo, iż, prawda, na pewno należy do tematów, które, prawda, znajdują się w polu naszej obserwacji. Dziękuję. Przy okazji, ogłaszam dwudziestominutową przerwę w obradach.

W przerwie spotkałem się w piwnooką E. Rozmawialiśmy o polityce, czerwonym, etnografii i dziennikarstwie. Miałem wrażenie, że nasze łakome oczy szukają siebie nawzajem, że ciągle badamy czy starczy nam odwagi. To była rozmowa o miłości, o konieczności, o losie, o fatum i o niemocy – także lekcja niechęci. Wprost nie mówiliśmy ani słowa.

Duszne było to spotkanie. Czułem ciężar powietrza, dławiący ucisk na gardle. Przeczucie beznadziejności. Mrok pożądanego – niemożliwego.

Referenci przywołali nas do sali obrad. Mówił brunet o oczach zranionej łani:

Kotwica jako symbol zwycięstwa i jako symbol „zakotwiczenia” w teraźniejszości. Jednocześnie jako bezpośrednie nawiązanie do bohaterkiej przeszłości, do pokolenia, które wprawdzie przegrało, ale jednak walczyło, wyginęło, zostało wymordowane, jego niedobitki dały się w większości zeszmacić, zepchnąć do pełzania, tak że swoim przykładem świadczyli o triumfie zwycięzcy i marności pokonanych. Historia była więc, w tej optyce, sprawiedliwa i premiowała lepszych moralnie, czystszych. Ale subtelna podmiana w kotwicy „P” na „S” może być odczytana na dwa sposoby. Jako bezpośrednie nawiązanie do „Solidarności”, jednak także jako subtelne nawiązanie do „Socjalizmu”. Tak, tak. Proszę nie protestować (dały się słyszeć gwizdy i hurgoty na sali). Kiedyś, gdy ten znak powstał, była „Polska walcząca”, czy teraz – po doświadczeniach 40-lecia – nie mogłoby być „Socjalizmu walczącego”? Walczącego z socjalizmem realnym. To nawet intrygujący nurt badawczy. Poddaję to zebranym pod rozwagę.

Przewodniczący poprosił o chwilę uwagi i odczytał telegram gratulacyjny do członków Kongresu: *W chwili tak uroczystej – głosiła treść telegramu – pozwalam sobie przesłać Państwu życzenia najlepszych, owoc-*

nych obrad dla dobra naszego Związku i Ojczyzny. Szczególnie gorąco pozdrawiam nasze Panie, które nie bacząc na obowiązki domowe i rodzinne poświęcają swój czas dla wyższych idei. Wszystkim zatem – serdecznie i solidarnie dziękuję. Podpisano: Żbik. I drugi telegram: Wielce Szanowni Państwo. Bogu dziękując modłę się żarliwie za powodzenie Waszej sprawy. Prawda, którą uosabiacie, zwycięży. Niech Matka Boska ma Was w Swojej opiece. Podpisano: prymas. Telegram przyniósł i odczytał ksiądz P., co spowodowało, że niektórzy zwątpili w jego autentyczność. Było nie było, obywatel P., znany bumelant, bigamista, hochsztapler mieszkaniowy, dynamitard i lekkomyślny konspirator, nie cieszył się pełnym zaufaniem. Ponadto, mówili niektórzy, skądże by u prymasa takie słowa?! Ale w stenogramie zapisano skrupulatnie „telegram od prymasa” i przepisano, co podyktował P. Oto jak przechodzi się do historii!

Unikam wspomnień o kobietach. Ich zdjęcia utykam po kątach, choć zawsze były dla mnie ważne. Nieraz wręcz przesądzały moje decyzje życiowe (ze stereotypowych powodów: chęć zaimponowania, obawa lekceważenia, potrzeba zwrócenia uwagi). Dlaczego więc unikam pisania o nich, pisania o swoich miłościach i przygodach? Och, zapewne dlatego, że – jak w wypadku robotników – kobiety są mi obce, nieznanne i nie potrafię nic sensownego na ich temat napisać. Że – jak w wypadku E. – potrafię zaledwie odnotować, zapisać imię, kolor oczu, a kołowaciznie mi język, gdy mam napisać to, co naprawdę ważne, gdy mam opisać swoje emocje, uczucia, pragnienia... I jeszcze je zrozumieć! Lepiej już wracajmy do polityki. Choć, przecież, wróż mi to odradzał. Cóż więc zostaje? Czyżby: życie skończone?! Ach, nigdy mi się nic nie udawało!

Jeżeli straciłem kolor czerwony, czy zyskałem inną barwę? Problem istotny, zwłaszcza, że nie jadłem ostatnio bananów. Przyznam się od razu, że banany są moim żywiołem. Zawsze pragnąłem tego owocu, nie był mi dany. Słyszałem, że w Polsce powstała cała grupa ludzi uformowanych przez banany, tzw. bananowców. Podobno byli i są to całkiem inni ludzie, nie wiem czy mają ogon czy rozum, coś ich w każdym razie różni od pospolitych obywateli. Rozumowałem jak piroman, zapisujący się do straży pożarnej i wstąpiłem do egalitarystów-marksistów. Niestety, nie dało mi to tej przyjemności, co proste konsumowanie bananów, przepisałem się do opozycji, ba, niemal się

o KOR otarłem, i kiedy już miałem otrzymać bony do specmagazynu (nikt mi tego wyraźnie nie powiedział, ale wyczułem pismo nosem), magazynu, w którym o północy dawano banany do zjedzenia na miejscu (bez prawa robienia fotografii i wynoszenia skórek), wybuchł stan wojenny. Ale czy banan starczy za program? Są tu trzy szkoły odpowiedzi. Wszystkie, żeby nie było nieporozumień, jednako szkaradne. Pierwsza, która mówi, że banan jest owocem CIA (vide prasa wojskowa; stąd zresztą republiki bananowe), druga – banan jako przejaw braku poglądów (vide pisarz Bratny), trzecia – banan jako szczególnie wyrafinowany przejaw koniunkturalizmu (vide dziennikarz Passent). Jak by nie patrzył, źle! Dla obronności kraju, dla której mój banan jest wybitnym zagrożeniem, dla morale społeczeństwa, które nie po to oddało daninę krwi synów najlepszych, żeby teraz jego losami kierował byle banan, dla spokoju i komfortu jedzenia bananów przez real-socjalistów, którzy nie po to dzierżą władzę, żeby ją oddać byle komu. Więc jednak mam kolor! I to dzięki bananowi. To kolor antysocjalistyczny. No, dobrze, ale to znaczy jaki? Czy rzeczywiście musi być jakiś? Czy ja nie mogę być spokojnym, apolitycznym obywatelem? Oto prawdziwe wyznanie wiary: jestem apolityczny. Co mnie interesuje, na czym mi naprawdę zależy, to komfort bytowy, pisanie książek, sława, uznanie, miłość kobiet, rozwój moich dzieci. Polityka mnie ani ziębi, ani piecze, w ogóle jest mi niepotrzebna. Zostałem w nią rzucony jak każdy obywatel w tym kraju, jak każdy obywatel w dyktaturze. Chyba, że nie chce być obywatelem. Och, lata robią swoje, i zapewne już nigdy nie głosowałbym na żadnych lewicowców, ot, może na liberałów, konserwatystów, chadeków, niezależnych (w zależności od pogody, kolacji w wieczór poprzedzający wybory, kroju kołnierzyka u koszu-li kandydatów). Bez przekonania, wiary, w ogóle zainteresowania jakiegokolwiek – a jakbym się już oswoił z demokracją, to w ogóle bym nie głosował. Zabawne! Przecież takie będzie hasło „Solidarności” na wybory: bojkot, nie głosować! Czyli efekt finalny u mnie taki sam, tak w dyktaturze, jak i w demokracji. A jakże różne samopoczucie! Bo, proszę różnych komentatorów i innych propagandystów, czyż ja nie mogę być normalnym człowiekiem, którego polityka obchodzi tyle, co zeszłoroczny śnieg? Dlaczego mi tego zabraniać? Każecie grać w jakiejś drużynie? Owszem, jestem na boisku jak cały naród, i jak wszyscy czyham na okazję, żeby was nieodwołalnie skosić – ale to nie

ma niczego wspólnego z polityką, to zwykły odruch przyzwoitości. Czyż nie rozumiecie, że o waszej degeneracji najwymowniej świadczy obrócenie się przeciwko wam ludzi, którzy nie interesują się polityką? Ileż musieliście zrobić, żeby was tak znienawidzono!

Mam swoje zdjęcie z bananem w ustach. Zdjęcie z bananem pokazywano sobie u nas w szkole potajemnie pod ławkami na lekcjach. Największym powodzeniem cieszyły się zdjęcia grupowe. Podobne zdjęcia są nadal pokazywane w szkołach (złamanie tajemnicy służbowej – rok więzienia w zawieszeniu), na naradach partyjnych (zniesławienie – dwa lata w zawieszeniu), w jednostkach wojskowych (złamanie tajemnicy państwowej – trzy lata, objęte amnestią), w domu pewnego wicepremiera (zdrada stanu – recydywa, odwieszenie wszystkich poprzednich zawiesznień, anulowanie wszelkich amnestii, w sumie czapa). Mógłbym dać swoje zdjęcie do kolekcji, nie będę się jednak napraszał. Jednak wiele bym dał za to, żeby jeść banany zamiast zajmować się polityką...

Tak dużo kłębiło mi się w głowie, nim prowadzący obrady wydukał swoją sakramentalną formułkę o zakończeniu kongresu! Uzmysłowiłem sobie wówczas, że moja bananowa drzemka trwała półtora dnia roboczego. Na szczęście, przesłona w „Zorce” nie ustawała w pracy ani przez chwilę.

Komunikat z badań. Autor: Nepomucen Niewiadomski. Tytuł: *Siekiera, pałka, bat i knut, czyli lewy socjalizmu but*. Treść zawarta w tytule.

Referat. Autor: Jan Pułkownik. Tytuł: *Honor munduru*.

Treść: *Och, te szczytne tradycje! Ojczyzna, swojszczyzna, wolność, bój krwawy, obrońcy uciśnionych. To było dawno i nieprawda. Prawdą było, że w mundur włożył nieudacznik, kretyń, pomiotło, niemota, psychopata, kukła, wazelinarz, zupak. Tacy właśnie tworzyli armię nierobów. Z urodzenia gnojki, w armii utrwalili swój debilizm, bałaganiarstwo, pasożytnictwo i marnotrawstwo. Byli sfrustrowani, całe życie sfrustrowani lekceważeniem, jakie im okazywano. Cóż więc z tego, że teraz otacza się ich pogardą, skoro pogarda ma w tle lek i zazdrość, a za lekceważeniem stała pustka. Ta pogarda jest fundamentem odradzającej się psyche armii obiboków i szkodników. Na pogardzie rośnie honor munduru. Pogarda, oto lot orłów z pułkowych sztandarów!*

Z komentarza E.: *Nie wiem, kto mówił.*

Też nie wiem. Mimo, że przez kilka wieczorów wpatrywałem się w fotografię sali obrad, szczególnie mównicy, nie mogłem rozpoznać Jana Pułkownika. Kto kryje się za tym subtelnym pseudonimem? Kto jest tym kamikaze sztychującym z wojska? Kto przekracza wszelkie granice przyzwoitości?

Kim by w każdym razie nie był, naraża się na słuszny gniew ludu i proces przed wojskowym trybunałem. Proszę uwzględnić, że pierwszy wskazałem na winowajcę.

Komunikat z badań. Autor: N.N. Tytuł: *Więzenie, katowanie, mordowanie, strzelanie, opluskwanie, zniesławianie, wyzyskiwanie, skazywanie i inne „anie”, jako przejaw wyższości stanu wojennego nad każdym innym.*

Treść: *Centralny Ośrodek Studiów nad Opinią Publiczną, po przeprowadzeniu gruntownych badań ankietowych i innych, stwierdził, iż elementy wymienione w tytule komunikatu są jedyną skuteczną formą utrzymania ustroju socjalistycznego w Polsce. Na tym badanie zakończono, Ośrodek awansowano do stopnia generała rezerwy.*

Tego E. już nie skomentowała. I tak kończą się moje zdjęcia kongresowe...

Światu, Europie, Polsce, mnie, ba!, socjalizmowi i Rosji, zostały cztery minuty istnienia. Cztery minuty, dlatego, że John Pulasky nacisnął guzik. Ale, właśnie, czy rzeczywiście dlatego? Przecież, to byłby fałsz interpretacyjny, temu muszę zapobiec, zwłaszcza, że po fakcie nie będzie już komu upomnieć się o prawdę. Ostatnia to więc chwila, żeby wziąć się za bary z kłamstwem. Nie dlatego cztery minuty, że John Pulasky itd., ale dlatego, że... Och, Boże, czyż mam znowu wertować swój album, od początku do końca, idąc za każdym zdjęciem, śledząc każdy ślad?!

Cisnąłem album na biurko. Mahoniowe, nie przemalowane, albowiem nadal płaciło mi CIA (że też w socjalistycznych służbach specjalnych, tzw. SSS, nie mają funduszy na wynajęcie mojej skromnej osoby; czyżby czekiszczak pławił się w marmurowych basenach i na nic innego nie starczało?). Biurko zatrzeszczało, coś w nim się omsknęło i nagle usłyszałem nieznanego głosu: „Będzie mówił papież”. Pomyślałem,

że wariuję i poszedłem spać. Przyśniło mi się, że siedzę przy własnym biurku, wertuję album, a tam już na stronie osiemdziesiątej czwartej, wklejają się nowe zdjęcia: Papież, Bóg, Historia, Honor, Szatan, Zło, Fatum, Dobro, Ojczyzna, Ja i E. To był sen proroczy. Jedyne prawdziwe zdjęcia w tym albumie, choć nie pozostało po nich ani śladu.

Papież myślał, że jestem Bogiem i dlatego przyszedł do mnie na pogawędkę. Nie ukrywam, że byłem pewien, że odwiedził mnie Bóg. Słabo znam się na hierarchii i na liturgii, do Kościoła nie chadzam, wspominałem już, że jestem niewierzący, wydało mi się, że ktoś o takim głosie i żarliwości może być tylko Panem Bogiem. Papież odczytał mi wiersz, taki tam, przeciętny, prawdę mówiąc, nędzny:

Przyszła z Nowym Rokiem miłowana nadzieja –

Oczy moje widzą róże na zawiejach.

Lazurowe niebo przechodzi w błękitność:

Sady tego roku radością zakwitną!

Któż się nie zanurzy w tym radosnym rytmie?

Aniołami niebo bajecznie zakwitnie.

Kazał mi odczytać słowo, powstałe z pierwszych liter każdej linijki: POLSKA. Ten wiersz, dodał papież, ukazał się w okupowanej Polsce w jakiejś gadzinówce, taki dowcip. Teraz też są dowcipy, ktoś składa napis WRONA w muzycznej recenzji – i to analizując orkiestry wojskowe!

Panie Boże, powiedział papież, z tak dowcipnym narodem nikt nie może wygrać! Śmiać mi się chciało, skręcało mnie od środka, przecież zdrętwiałe usta nie drgnęły o milimetr. Widziałem jak dowcip zмага się z pałkarzami, ratuje górników z „Wujka”, pozwala żyć pocie Przemysłowi... Za papieżem szły tłumy, rozśpiewane, patriotyczne, tłumy, ach, cały naród! Naród, w który papież tchnął życie, nadzieję i miłość. Wolę zwycięstwa.

Pomyślałem, że skoro są razem papież, Polska i Bóg, to pora kończyć. Lecą rakiety, mamy cztery minuty, przez ten czas musimy się wyzwolić. Zaprawdę, przestańcie czytać, weźcie się za coś konkretnego! Już dawno powiedziano a, b, c.

Warszawa, luty 1984 r.